

Pierre Barbet

Babel 3805

(Babel 3.805)

przełożyła Anna T. Kowalewska

Pierre Barbet to pseudonim dr. Claude'a Avic'e'a (ur. 1925). Jest on jednym z bardziej znanych obecnie francuskich pisarzy SF. Pod prawdziwym nazwiskiem pracuje jako farmaceuta i jest ekspertem do spraw bioniki. Używał również literackich pseudonimów David Maine i Olivier Sprogel. Zadebiutował w 1962 roku powieścią „Vers un avenir perdu” napisaną dla serii SF „Le Rayon Fantastique”. Do dziś wydał już ponad 40 książek; niektóre zostały przetłumaczone na język angielski, węgierski, portugalski i polski.

Do najbardziej znanych utworów Barbeta zaliczane są: „Evolution magnetique” (1968), „Les grognards d'Eridian” (1970), „Liane de noldaz” (1973), „Venusine” (1976), „Landemains incertains” (1978).

Pierre Barbet jest aktywnym działaczem europejskiego ruchu SF i współzałożycielem Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction.

(D.M.)

Wprowadzenie

Wyjątki z raportu sporządzonego przez porucznika Blossowa, dowódcę patrolowca 345, dnia 10 Dekana 3804 roku. Raport ten, wraz z komentarzem uzupełniającym zawarty jest w *Opus Mirabilia Storie Galacticae*, zwój nr 5377.

Znajdowaliśmy się na krańcach Piątego Ramienia Spirali Galaktycznej. Sześć parseków dalej, w konstelacji Perseusza jedna z gwiazd była dla nas szczególnie ważna. Atlasy astronomiczne opisywały ją jako zmienną nie dlatego jednak, że blask jej bywał okresowo zaćmiewany przez towarzyszącego jej czarnego karła. Niestabilność reakcji atomowych sprawiała, że rozbłyśkała niespodziewanie.

Straż Galaktyczna kontrolowała regularnie gwiazdę Algol, gdyż obawiano się o bezpieczeństwo kolonistów osiadłych na jej planetach. Ostatnie badania specjalistyczne przyniosły jednak bardzo uspokajające rezultaty. W najbliższym czasie nie należało spodziewać się wzmożonej aktywności.

Analiza informacji przekazywanych przez sztuczne satelity Algolu wykazała, że wchodzi on w fazę spokoju na okres około siemiu lat. Aspirant Varzog złożył mi krótki meldunek: żadnego niebezpieczeństwa.

Tego dnia na drugiej planecie układu obchodzono rocznicę założenia kolonii. Pełne przerażenia meldunki dotarły do nas z obszaru dziennego, a intensywna zorza polarna rozświetliła ciemności na drugiej półkuli. Gwiazda trysnęła protuberancją na odległość tysiący kilometrów. Jednocześnie wiązka fal elektromagnetycznych dosięgnęła drugą planetę układu zagłuszając wezwanie RL (Ratujcie ludzi).

W stacji obsługi radarów niedaleko północnego bieguna planety nadal trwała gorączkowa krzątanina. Szef bazy Borzof na tyle zachował przytomność umysłu, by zapis dokonanych obserwacji umieścić w automatycznej sondzie.

Rakiety tego typu, zaopatrzone w elektromagnetyczny układ lokalizacyjny, znalazłszy się w przestrzeni kosmicznej emitują stały sygnał informujący o ich położeniu. To pozwoliło nam otrzymać wstrząsające informacje.

Tuż po starcie sondy języki ognia z eksplodującej gwiazdy dosięgnęły orbite drugiej planety. Nieszczęśni koloniści, którzy usiłowali znaleźć schronienie po nocnej stronie globu widzieli, jak otaczająca ich atmosfera rozżarza się, a wokół szaleją grzmiejące cyklony zmiatając wszystko z powierzchni planety.

Tylko kilku statkom udało się wystartować. Żaden jednak nie osiągnął prędkości międzygwiazdnej, wszystkie zostały pochłonięte przez płomień. Planety wyparowały...

Powstała Nowa. Jej promieniowanie biegło w przestrzeni we wszystkich kierunkach. Czastki o energii większej niż 10^{40} elektronowoltów zalały całą Galaktykę.

Zwiększyliśmy szybkość. Dzięki temu zdołaliśmy uciec i wrócić na Ziemię.

I. Mutanci

Biuro Biosbuilding w Galaxii, stolicy Układu Słonecznego. Dwóch wysokich funkcjonariuszy noszących odznaki inżyniera pierwszej klasy – topazową strzałę – rozmawia z żywieniem.

– Pierwszy meldunek dotarł do nas z Laponii... Donosił o narodzinach dziecka – ryby. Powie mi pan, mój drogi Terfill, że w Laponii jest to przypadek banalny i że Inspektor Kontroli Malthusiańskiej ma co innego do roboty, niż zajmować się ichtologią. Oczywiście, będzie pan miał rację, tylko że w tym wypadku rodzice to dwoje normalnych Lapończyków, tacy sami ludzie jak pan czy ja!

– Mój drogi Notum, to nadzwyczajne! – wykrzyknął ze zdumieniem Główny Inspektor Sanitarny (G. I. S.). – Ale czy to aby nie jakiś kawał? Zawsze pokazywano takie „cuda natury”, na przykład syreny, które w rzeczywistości były dziełem zrecznych oszustów.

– Ależ nie, G. I. S., nic podobnego! Gdy otrzymałem ten meldunek, aż podskoczyłem z wrażenia, tak samo jak pan. Przewidując jakiś kiepski dowcip sprawdziłem wszystko dokładnie. Ale informacje, które uzyskałem, potwierdziły te zdumiewającą wiadomość.

– I co pan zrobił, I. K. M.?

- Co zrobiłem? Wsiadłem w autostat i poleciałem do Lapongradu, skąd przysłano mi ten raport. Pobiełem wszelkie rekordy! Przelot zajął mi tylko trzydzieści pięć minut. Lokalny Inspektor wszystko potwierdził. Przez zlodowaciałą równinę zaprowadził mnie do starego domu, w którym mieszkała ta para prokreatorów. Tam zobaczyłem pierwszego człowieka - rybę. No, powiedzmy może raczej rybę - człowieka, bo w tej istocie nie było nic ludzkiego.

- Jak to? Nie miała rąk ani nóg?

- Nie, mój drogi. Tylko śliczne małe pletwy. A wie pan w czym ona leżała?

- Nie mam pojęcia.

- W łódce!

- Co?

- Tak, w starym plastikowym czólnie wypełnionym po brzegi wodą. Ponieważ dusiła się w powietrzu, jej „rodzice” wsadzili ją do największego naczynia, jakim dysponowali.

- Czym pan tłumaczy ten przypadek teratogenezy?

- Niczym. Podejrzewamy, że w atmosferze powstał kanał przepuszczający promienie kosmiczne. Na obszarach okołobiegunowych, jak panu wiadomo, linie sił pola magnetycznego biegną prawie pionowo. Mogła się więc utworzyć swego rodzaju soczewka kondensująca promienie kosmiczne. W warunkach zwiększonej radioaktywności po eksplozjach nuklearnych mogło to mieć wpływ na embrion w pierwszych miesiącach życia i spowodować mutację.

- Czy zbadał pan wszystkie szczegóły tej sprawy?

- Przywiozłem tutaj tę rybę - człowieka i oddałem w ręce Głównego Specjalisty Palikana. Oto wyniki przeprowadzonych analiz...

- Ach, zdjęcia rentgenowskie! To rzeczywiście ryba! Pletwy piersiowe są bardziej rozwinięte niż u latimerii. Jeśli chodzi o mózg, to jest prawie tak duży, jak u ludzkiego dziecka. Wszystko inne przypomina organizm ryby: czerwone ciałka krwi, system nerwowy. To zadziwiające, jak taki fenomen mógł się rozwijać w macicy normalnej kobiety nie wywołując konfliktu? Czy budowa białka zbliżona jest do naszej?

- Tak, przynajmniej w przypadku komórek wątroby, serca i żołądka. Rzecz jasna, białko pletw i skrzeli ma budowę właściwą tym organom. Niech pan zwróci uwagę na brak łusek: skóra jest podobna do naszej.

- To potwierdzi tezę o naszych praprzodkach żyjących w wodach przybrzeżnych.

- Jeśli chodzi o rozwój osobniczy, jesteśmy skazani na hipotezy. Wie pan równie dobrze jak ja, że embrion po przejściu przez fazę moruli, blastuli i gastruli przechodzi stadia przebyte niegdyś przez przedstawicieli gatunku homo sapiens. Moim zdaniem musiało tu nastąpić uwrażliwienie na promieniowanie kosmiczne, co zahamowało rozwój jaja w pewnym stadium. Płód rósł dalej jako ryba.

- Fantastyczne... zupełnie nieprawdopodobne! Gdyby ten raport nie został mi przedstawiony przez największego biologa naszych czasów, nigdy bym nie uwierzył!

★

Dziesięć lat później w tym samym biurze Biosbuilding spotykamy naszych dwóch rozmówców wyglądających tylko nieznacznie starszej. Nowoczesne metody regeneracji komórkowej dają znakomite rezultaty. Problem, nad którym wtedy dyskutowali, wcale nie stracił na znaczeniu.

- Witaj G. I. S. Wciąż zajęty?

- O tak, jak mogłoby być inaczej? Od 3805 roku sytuacja wciąż się pogarsza. Czy przypomina pan sobie dzień, kiedy zgłosił mi pan pierwszy przypadek mutacji? Nie myślałem, że do tego dojdzie...

- Niech mi pan opowie, co się dzieje? Właśnie wróciłem z inspekcji planet Układu Słonecznego. Spędziłem pół roku na Plutonie, ale nie polecam go panu jako miejsca na spędzenie wakacji. Tam Słońce to tylko mały punkt nie dający prawie wcale ciepła. Wszystko jest zamrożone, nawet skały. Pół roku na Neptunie... Rok na Wenus, gdzie jest duża kolonia Ziemiaków. I w końcu na Marsie. Przynajmniej stamtąd mam dobre wspomnienia. Widzi pan więc, że nie jestem „w kursie”.

- No tak. Staramy się utrzymywać tę sprawę w tajemnicy. Niewiele informacji przedostaje się na zewnątrz. Przypadki teratogenezy są coraz częstsze, mój drogi I. K. M. Po rybach mieliśmy płazy, gady, ptaki, owady a nawet przedstawicieli wymarłych gatunków: ogromne jaszczury, które dawno już znik-

nely z naszych planet, urodzone w stadium zapłodnionego jaja. Mieliśmy mnóstwo kłopotu, by zebrać razem całą tę menażerie. Rodziny, dając dowód przerażająco aspołecznego nastawienia, ukrywały je przed nami. Wstydząc się, chciały za wszelką cenę, by nikt nic nie wiedział. Trzeba było specjalnej ustawy i wielu poszukiwań, byśmy mogli umieścić wszystkich mutantów w przystosowanych do ich potrzeb wivariach. Niech mi pan wierzy, nie jestem przewrażliwiony, ale to nieprawdopodobny widok. Jeżeli pan sobie życzy, pokaże panu jedno z nich i sam się pan przekona. Najgorsze jest to, że codziennie rodzą się nowe.

- A jak się rozwijają pod względem umysłowym?
- To zależy. Większość osiąga dość niski poziom inteligencji.
- Co za przerażający problem! Jak rząd zamierza je integrować w społeczeństwie?
- Nic nie wiem na ten temat; to sprawa psychologów. Osobiście uważam taką integrację za niemożliwą. W najbliższej przyszłości, dopóki są jeszcze młodzi, nie będą sprawiali nam dużych kłopotów. Ale gdy dorosną!... Już teraz mieliśmy wiele trudności. Proszę posłuchać nagrań dokonanych podczas jednej z inspekcji!

G. I. S. nacisnął przycisk na biurku, zgąsto światło i w przestrzeni przed oczyma dwóch naukowców pojawił się panoramiczny obraz wivarium. W nieskończoność rozciągały się jeziora i łąki otoczone nieprzeniknionym murem światła. Kilko normalnych ludzi krzątało się wokół stworzeń jak z koszmarnego snu. Na pierwszym planie G. I. S. dyskutował z młodą i piękną kobietą ubraną w efektowny, purpurowy kombinezon. I. K. M. nie mógł jednak należycie docenić jej wyglądu. Kobieta była wściekła!

- Główny Inspektorze, niech mi pan odda moje dziecko! - krzyczała.
- Proszę się uspokoić! Wie pani, że to niemożliwe. Ono wymaga specjalnej opieki, której nie może pani zapewnić mu w domu. Dam pani zezwolenie na częstsze odwiedziny, jeżeli okaże pani więcej rozsądku...
- Ja nie chcę żadnego zezwolenia na odwiedziny, panie Inspektorze. Moje maleństwo... moje dziecko... Czy pan nic nie rozumie? Jaki by nie był, to moja krew, moje ciało... Nie ma pan żadnego prawa mi go odbierać!
- Obywatelko! Nie można się tak denerwować! Ja stosuję się tylko do zarządzeń Rady, które jak pani wiadomo, są bardzo szczegółowe. Pani dziecko jest tu bezpieczne, o wiele bezpieczniejsze niż w domu. Zdaje pani sobie przecież sprawę, że podekscytowane tłumy żądają śmierci takich właśnie mutantów. Dość mamy z nimi kłopotów i nie powinna nam pani jeszcze utrudniać sytuacji!
- To moje jedyne dziecko, moje dziecko! Nie mogę go nawet zobaczyć, nie wolno mi się nim opiekować... To tak, jakby go nie było... Nawet nie wiem, czy jest zdrowy!
- Chwileczkę, obywatelko! Przecież co tydzień otrzymuje pani szczegółowy raport o stanie jego zdrowia.
- Nawet mnie nie zna. I będzie mówił „mamo” do jednego z tych wstrętnych biologów... Ależ ja jestem głupia! Czy on w ogóle będzie mówił?
- To bardzo możliwe. We wszystkich badanych przypadkach, a jest ich teraz wiele, wskaźnik inteligencji osiąga prawie normalny poziom. Mutanci często wykazują również nieprzewidziane zdolności.

G.I.S. zgasił ekran.

- Widzi pan, I.K.M., za każdym razem to samo! Musieliśmy wstrzymać odwiedziny. Ludzie zupełnie szaleją, kiedy chodzi o dzieci!
- Oczywiście, tak jest o wiele bezpieczniej! Ale niech mi pan powie... Wspominał pan o nieprzewidywalnych zdolnościach... O co właściwie chodzi?
- To najściślejsza tajemnica, mój drogi! Mówiliśmy o tym na ostatniej sesji Rady. Ale będę odrobinę niedyskretny wobec starego przyjaciela. Czy pamięta pan, jak obaj zajmowaliśmy najlepsze lokaty w Instytucie Biologii?
- G.I.S., może pan być całkowicie pewien mojej dyskrecji. Te problemy biologiczne naprawdę mnie fascynują!
- A więc tak: ci, którzy mają mózg rozwinięty tak jak ludzie, wykazują inteligencję o wiele wyższą od

przecietnej. W wieku pięciu lat niektórzy z nich przyswoili już sobie program klas wyższych. Rozumie pan teraz, dlaczego zmuszeni jesteśmy trzymać te istoty pod ścisłą kontrolą.

- Na Galaktykę! To nadzwyczajne! A jak mógłby pan wytłumaczyć to zjawisko?

- Mamy do czynienia z istotami humanoidalnymi, które wykazują w porównaniu z nami niewiele różnic somatycznych. Ci, którzy są w stadium ssaków bądź płazów odznaczają się bardzo niskim wskaźnikiem inteligencji. Ale człekopodobni rodzą się z miękką chrząstkową czaszką i przeciwnie niż to dzieje się z nami, czaszka nie ulega skostnieniu. Stąd też ich niezwykle zdolności. Zwoje mózgowe nie są zamknięte w sztywnej klatce, jaką stanowi nasza czaszka. Obszary mózgu specjalizujące się w nowych zadaniach mogą rozwijać się w sposób dotychczas niespotykany. Podejrzewamy na przykład, że potrafią przewidywać niedaleką przyszłość, są wrażliwi na fale elektroakustyczne a nawet na podczerwień i ultrafiolet. Wciąż jeszcze mało znamy ich prawdziwe możliwości. Obawiają się naszych eksperymentatorów i ukrywają swoje niezwykle zdolności. Najbardziej niepokojące są ich możliwości przyswajania ogromnych zasobów wiedzy i ogarniania problemów, które potrafią rozwiązać tylko nasze mózgi elektroniczne. Mają również wspaniale rozwiniętą pamięć.

Słowa G.I.S. przerwał sygnał akustyczny. Na ekranie pojawiła się twarz strażnika.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale jakaś grupa obywateli atakuje Wiwarium Nr 3. Strażnicy nie użyli jeszcze broni, ale nie są już w stanie dłużej panować nad tłumem. Ludzie mają neutralizatory pola i mogą zniszczyć zapory świetlne. Co mamy robić?

- Czego oni chcą? - spytał G.I.S.

- Dzielą się na dwie grupy. Spokojniejsi żądają wolności dla swoich dzieci. Drudzy, bardziej podekscytowani, chcą zlikwidować mutantów i przy okazji domagają się dziesięciogodzinnego tygodnia...

- Trzeba ich uspokoić. Proszę wezwać do mnie Sarukę, Dyrektora Wiwarium. Niech tu natychmiast przyjdzie!

- Według rozkazu, Ekscelencjo!

Kilka minut później do pokoju weszła piękna, młoda kobieta. Nosila błękitno-złotą odznakę inżyniera drugiej klasy - trójkąt opisany na kole. Prawdę mówiąc, wysokie stanowisko, które zajmowała zawdzięczała tyleż swojej urodzie, co niezwykłym zdolnościom.

Szeptano, że G.I.S. nie był obojętny na piękno jej rudych włosów i gorąco popierał jej kandydaturę na stanowisko Dyrektora Wiwarium Mutantów (D.W.M.).

Ze względu na swoje wpływy w Komitecie Biologicznym, którego był przewodniczącym, spośród wielu kandydatów na to wysokie stanowisko wybrano Sarukę. Trzeba zresztą przyznać, że miała wysokie kwalifikacje zawodowe.

- Wzywał mnie pan, Ekscelencjo? Starałam się przyjść jak najszybciej. Zostałam jednak zatrzymana przez jakiegoś strażnika, który nie zauważył emisji mojej przepustki. Musiałam zatrzymać autostat i odpowiedzieć na pytania. Uparł się nawet, by sprawdzić fale osobiste. Co za idiota!

- No cóż! Proszę to zgłosić, jeśli sprawił pani kłopot... Moja droga D.W.M., chciałbym poznać pani opinie o sytuacji w wiwarium.

- Całe to zamieszanie jest bardzo szkodliwe dla naszej działalności, G.I.S. Potrzebujemy spokoju, by badać L2. Jest niezwykle istotne, by wpływ, jaki wywieramy na naszych „gości” nie był zakłócany przez jednostki nieodpowiedzialne. Policjanci pilnują nas w sposób niewystarczający. Widzi pan, L2 wcale nie lubią wiwariów, czują, że są więźniami i ich największym pragnieniem jest wydostać się spod kontroli. Dotychczas udawało mi się utrzymać spokój, ale jeśli przypadkiem dowiedzą się, że są w niebezpieczeństwie, długo to już nie potrwa. Obawiam się, że dysponują bronią.

- Co pani radzi? Te wzajemne oskarżenia do niczego nie prowadzą!

- Na razie: podwoić strażę, by utrzymać demonstrantów w pewnej odległości od zapór energetycznych. To pozwoli nam zyskać na czasie i zastanowić się nad bardziej skutecznymi środkami. Wie pan, że nie pochwalam tego przymusowego zamknięcia. Pas równikowy szerokości 2000 km, który został nam przyznany przez Radę Najwyższą, okazuje się o wiele za wąski. Podkreśliłam tę sprawę w moim ostatnim raporcie. Ale czy ktoś go czytał? Pan przynajmniej zapoznał się z jego treścią i zdaje sobie sprawę, jak bardzo brakuje nam miejsca. Klimatyzowane, ciepłe i wilgotne namioty, przeznaczone dla płazów i insektów są ładne na papierze. W praktyce jednak nie są z gumy, a codziennie przeprowadzają mi

nowych wychowanków! W przypadku istot czelakopodobnych jest jeszcze gorzej. Są mniej kłopotliwi, ale o wiele bardziej niebezpieczni niż się na ogół sądzi. Thor jeden wie, co się stanie, gdy uświadomią sobie własną siłę.

- Zgadzą się z panią, Saruko. Nic nie może pani na to poradzić. Wypełnia pani swoje obowiązki. Ja, z mojej strony, poparłem te żądania. Jak dotąd, nie zostały potraktowane poważnie, ale nie tracę nadziei. Rozmawiałem z niektórymi moimi przyjaciółmi i myślę, że na następnym posiedzeniu Rady czeka nas miła niespodzianka. Cóż mogę zrobić więcej! Nas, biologów, jest tylko dwudziestu. Chemicy, fizycy i wojskowi mają zdecydowaną przewagę: stanowią większość a nie mają świadomości istniejącego zagrożenia. Sądzą, że w razie buntu, ich broń wystarczy, by zniszczyć mutantów, niezależnie od inteligencji i siły tych ostatnich. Wojskowym przewodzi Tubal, a jego zdaniem byłoby najlepiej, żeby wszyscy mutanci wyginęli.

- To po prostu wojna domowa - zauważył I.K.M.

- Tak Ekszelencjo - przyznała Saruka. - Oto, do czego zmierza świat, po tylu latach pokoju! Tylko drakońskie metody mogą nas jeszcze uratować przed klęską. Niech pan zobaczy, co znalazłam w kieszeni jednego z L2. Nazywa to „bateria strumieniowa”.

- Do czego to może służyć? - zdziwił się G.I.S.

- Nie mogę się dowiedzieć. Nie chcą nic mówić i nawet hipnoza jest bezsilna wobec nieugiętej woli. Nie wiem czy sami to skonstruowali. Dałam jeden taki przyrząd Głównemu Specjaliście Tisławowi i mam nadzieję, że on w końcu wykryje, do czego to służy.

- A tymczasem - przerwał jej G.I.S. Notum - musicie mieć lepszą ochronę. Proszę: oto rozkaz wymarszu dla 22 pułku straży i dla 3 eskadry lekkich śmigłowców. Jeśli trzeba będzie, użyjcie wobec mutantów promieni Deka.

- Według rozkazu, Ekszelencjo! Chciałabym jednak dodać, że jeśli nie będziemy uważać, nowy gatunek uświadomi sobie własne możliwości, a wówczas cała nasza broń stanie się po prostu nieszkodliwą zabawką. Na razie mutanci usiłują poznać samych siebie. Są ogłupiani bezwartościowymi audycjami, narkotyki usypiają ich inteligencję, a środki odurzające niweczą odwagę. Nie należy jednak sądzić, że tak będzie zawsze. Ataki na ich osobowość spotykają niewiarygodny wprost opór i już teraz wielu z nich pracuje w tajemnicy. Kradną używane maszyny, demontują je i budują z nich nowe. Najlepsi nasi technicy nie wiedzą do czego one służą. Kiedy pytamy, mutanci twierdzą, że to udoskonalone kamery albo magnetofony nowego typu. Na próżno jednak włączają je i próbują mnie o tym przekonać, nie jestem taka naiwna. Powtarzam: trzeba wywalić ich z Ziemi, zanim nie zrobią z nas niewolników, gdyż w przeciwnym razie to oni nas wyrzucą z tej planety.

- Moja droga Saruko, jest pani zbyt wielką pesymistką! Niech pani będzie rozsądniejsza... Czy pani sobie wyobraża, że opowiem te bzdury członkom Rady? Jest pani przemęczona i zbyt poważnie traktuje swoje obowiązki. Potrzebuje pani odpoczynku w miłym otoczeniu. Muszę jechać z misją na Mirak III... To bardzo przyjemna planeta, niech pani jedzie ze mną...

- Chętnie, Ekszelencjo. Ale bardzo żałuję, że na razie nie mogę opuścić wiwarium. Przykro mi. Do widzenia. - Saruka skinęła głową na pożegnanie.

- No trudno... To może innym razem: Do widzenia moja droga D.W.M.

- Ta mała jest urocza! - wykrzyknął I.K.M. połykając pastylkę uspokajającą. - To musi być prawdziwa przyjemność spędzić z nią Wénd.

- Mój drogi przyjacielu! Niech pan o niej za dużo nie myśli. Niech pan będzie zadowolony z fortuny, która jak sądzę sprzyja panu podczas licznych podróży! - odparł Notum z miną człowieka, który wie, czego się trzymać.

- Żartowałem tylko, mój drogi! Wracając jednak do rzeczy; trzeba przyznać, że ta mała chwilami mówi przekonująco. Tych ludzi trzeba pilnować. No, jeżeli okażą się zbyt przedsiębiorczy, zawsze przecież możemy zastosować Mimed.

- Mówi pan o nasyceniu obszarów zmysłowych syntetyczną wizją?

- Tak, o to właśnie mi chodzi.

- Biorąc pod uwagę demonstrantów, to świetny pomysł. Możemy im zasugerować, że wiwarium zamieszkują nieszkodliwe stworzenia pracujące dla dobra ludzkości. Jeżeli chodzi o mutantów, to sły-

szął pan, co mówiła Saruka: obawiam się, że natrafimy na opór z ich strony. Podoba mi się ten pomysł w odniesieniu do jaszczurów i innych gigantycznych zwierząt, które w razie buntu pomogłyby L2. Kilka ziejących ogniem potwórow wystarczy, by je przerazić...

- No dobrze... Cieszę się, że mogłem z panem porozmawiać, mój drogi, ale na mnie już czas. Jest pan oczekiwany na posiedzeniu Rady i nie chciałbym stać się przyczyną pańskiego spóźnienia.

W przestronnym amfiteatrze, w którym członkowie Rady oczekiwali na rozpoczęcie sesji, panował nieopisany gwar.

Nie wszyscy jednak byli obecni fizycznie. Wielu Głównych Specjalistów brało udział w posiedzeniu tylko za pośrednictwem mirowizji, która przesyłała do sali Rady ich pozorny, trójwymiarowy obraz. Nie uprzedzony o tym postronny obserwator przysięgłby, że ma przed sobą prawdziwych ludzi z krwi i kości.

W końcu zapanowała cisza. Na salę wkroczył Przewodniczący Rady poprzedzony wymaganą protokołem eskortą. Przeciwpromienne skafandry strażników błyskały tysiącem iskier.

- Głos ma czcigodny Przewodniczący Rady Najwyższej Hagupian - zaskrzeczał.

- Szanowni Koledzy Doradcy - rozpoczął P.R.N. Hagupian spokojnie - zostaliście tu wezwani, by podjąć decyzje w dwóch istotnych kwestiach. Najpierw przedyskutujemy, jeśli pozwolicie, sprawę mutantów humanoidalnych, zwanych potocznie L2. Rozwiązania przyjęte na ostatnim posiedzeniu Rady nie zadowalały ani ludzi ani samych L2. Stąd zamieszki, mające na celu uwolnienie trzymanyh w wiewiach istot. Upprzedzam was, że pod żadnym pozorem do tego nie dopuszczę. Najważniejsze jest, by ich działalność pozostawała pod ścisłą kontrolą Specjalistów. Moim zdaniem, najlepszym wyjściem byłoby przeniesienie wszystkich mutantów na jakąś odległą planetę. Należy więc rozważyć dwie sprawy: po pierwsze, jak ich tam przetransportować, i po drugie, którą planetę należy wybrać? Oddaje głos Głównemu Specjaliście do spraw transportu G.S.T. Clarubowi.

- P.R.N. Hagupian, drodzy koledzy! Gdyby ten problem został mi przedstawiony pół roku temu, powiedziałbym wówczas, że transport tych dziwnych stworzeń uważam za niemożliwy. Skąd wziąć statki mające odpowiednio obszerne, klimatyzowane ładownie. Nasze superliniowce, zdolne do całkowitego zniszczenia planety, nie są wystarczająco duże. Wielkie transportowce, którymi przywozimy ferm, einstein i kaliforn dla naszego przemysłu ledwie zaspokajają nasze potrzeby i nie może być mowy o tym, by wykorzystać któryś z nich. Plan, który zaproponowałbym wówczas zakładałby zniszczenie tuż po urodzeniu każdego następnego mutantu i przeniesienie kilku par z każdego rodzaju na planetę, gdzie mogłyby swobodnie się rozmnażać. Większość z nich wykazuje bardzo niski poziom inteligencji: to przecież tylko zwierzęta. Mniej kłopotliwi L2 mogliby zostać wprowadzeni w stan katalepsji i umieszczeni w ładowniach. Na szczęście Szanowny G.S. Tisław opowiedział mi niedawno o właściwościach pewnego interesującego przyrządu, o którego zbadanie prosiła go D.W.M. Saruka. Przedmiot ten, nazywany... - zajął do swoich notatek - „baterią strumieniową”, wytwarza w przestrzeni kanały fal wysokiej częstotliwości, w których ciała zostają zmienione w taki sposób, że słabe impulsy pozwalają osiągnąć prędkość przekraczającą prędkość światła. Zwykle hermetyczne kontenery mogą być wysłane w kierunku odbiornika umieszczonego uprzednio w miejscu, do którego „przesyłka” jest adresowana. W kanałach tych materia traci swoje właściwości jako masa, tak więc możliwości transportowe baterii strumieniowej są nieograniczone. To wspaniałe urządzenie pozwoli mi zapewnić przewóz mutantów. Muszę przyznać, że mimo wielu poszukiwań G.S. Tisław nie zdołał odkryć zasady działania urządzenia. D.W.M. Saruka nie jest w stanie wytłumaczyć, w jaki sposób bateria mogła znaleźć się w rękach L2. Nie mamy nawet pewności, czy to oni ją zbudowali.

- Niepotrzebne wprawdzie głowy - przerwał gwałtownie G.S.F. Tubal. - Te dziwaczne stworzenia nie okażą nam żadnej wdzięczności za takie traktowanie, wręcz przeciwnie. Nic nie dowodzi, że „bateria strumieniowa” jest tylko nieszkodliwym środkiem transportu. W rzeczywistości Tisław nic z tego nie rozumie. A może to jakaś pułapka? Cała ta hołota nie jest warta energii, którą trzeba będzie zużyć na transport. Laboratoria biologiczne powinny wreszcie spełnić swój obowiązek. Trzeba dokonać szczegółowej sekcji. Zbadać ich mózgi! Trzeba poddać ich badaniom automatycznych inkwizytorów. Kiedy będą mieli elektrody umieszczone w mózgu, powiedzą w końcu jak działa ta wspaniała strumieniowa bateria. Jeśli zdechnie dziesięciu czy dwudziestu, to tym lepiej. Oskarżam D.W.M. Sarukę o niebezpiecz-

na w skutkach opieszałość. Można sądzić, że boi się L2. Dajcie kilkoro z nich moim technikom. Już oni się nimi zajmą.

Po pełnej nienawiści wypowiedzi sala zawrzała. Fizycy kłócili się z biologami. Zewsząd rozległy się okrzyki:

– Śmierć L2! Torturować ich! Banda dzikusów! Władza dla Tubala!

P.R.N. próbował opanować sytuację:

– G.S.F. Tubal, pańskie zachowanie jest nie do przyjęcia! Chce pan sprowokować przewrót i zająć moje miejsce! Nie dopuszczę do tego, źle się pan do tego zabrał! Nigdy panu nie ufałem. Zostałem wybrany Przewodniczącym Rady zgodnie ze wszystkimi zasadami i pozostanę nim! Straż, zatrzymać G.S.F. i wszystkich jego techników.

Natychmiast w sali obrad zaroilo się od uzbrojonych wartowników, którzy wyprowadzili szarpiącego się z wściekłością Tubalą.

– Nie zrezygnuję tak łatwo! Moi przyjaciele mi pomogą! Jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa! – krzyczał, podczas gdy wywlekano go z sali.

– Posiedzenie trwa nadal. Głos należy do G.S.A. Okosowa – odezwał się już spokojnym głosem P.R.N. – Gdzie deportujemy L2?

– Na szczęście, P.R.N. jest w czym wybierać! Wiele gwiazd posiada planety, niektóre nawet dwadzieścia pięć. Jedynym problemem jest znalezienie obiektu, który zapewni odpowiednie warunki dla przemiany materii. Pod tym kątem rozpatrując zagadnienie, w dalszym ciągu mamy pewien wybór. Sądzę, że najlepszą dla L2 byłaby α Cygni 3, gdzie przyciąganie, atmosfera i temperatura są optymalne. Będą tam również mogły żyć jaszczury. Jeśli chodzi o inne zwierzęta, jestem przekonany, że też doskonale się zaadaptują.

– Nie mam zastrzeżeń. Przejdźmy do głosowania – zaproponował P.R.N.

Po kilku minutach spiker ogłosił przyjęcie wniosku.

– Została nam jeszcze jedna sprawa do rozwiązania – odezwał się Przewodniczący. – G.S.A. Okosow przedstawi nam ten problem.

– Przyznaje, iż jestem nieco zakłopotany tą ostatnią kwestią – odezwał się G.S.A. – Moje służby statystyczne meldują, że Nowe pojawiają się o wiele częściej niż powinny. Zjawisko to jest szczególnie wyraźne w naszej części Galaktyki. Sam zastanawiałem się nad tymi przypadkami i z żalem przyznaje, że przy naszym obecnym stanie wiedzy, eksplozji nie możemy wytłumaczyć. Zastanawiam się, czy nie jesteśmy świadkami systematycznie prowadzonych ataków na nasze najbogatsze kolonie...

– Z pewnością, mój drogi G.S.A. Okosow, takie podejrzenie nie jest bezpodstawne – odparł z zamyśleniem Notum. – Rozpocząłem dochodzenie, gdy tylko kapitan Blossow przedstawił mi swój raport. Informowałem o trzech tajemniczych „obiekciech” dostrzeżonych tuż przed pierwszą intraplozją. Ale zdobycie jakichkolwiek danych na temat tajemniczych wrogów okazało się niemożliwe. Oczywiście, jeśli są to wrogowie... W każdym razie patrole otrzymały rozkaz, by wzmocnić czujność. Statki naszej floty wyposażone są w najnowocześniejsze urządzenia, na których można polegać. Od 3804 r. nic podejrzanego nie zaobserwowano, a intraplozje gwiazdne ciągle się powtarzają.

– Czy nie sądzi pan, P.R.N., że trzeba stworzyć specjalną brygadę, której jedynym zadaniem byłoby poszukiwanie ewentualnych intruzów w przestrzeni przez nas kontrolowanej? Powinna być ona w ciągłym kontakcie ze specjalistycznymi laboratoriami, aby stosować najnowsze metody poszukiwań. A ponieważ tylko kapitan Blossow miał szczęście cokolwiek zaobserwować, dla czegożby nie powierzyć mu dowództwa takiej brygady?

– Poddajemy pod głosowanie tę ważną propozycję!

Ostry głos spikera oznajmił w chwili później:

– Wniosek przyjęty.

– Szanowni Doradcy – P.R.N. zabrał znów głos – pozostało nam jeszcze do rozstrzygnięcia, kto ma być odpowiedzialny za ewakuację mutantów. G.I.S., proszę zabrać głos.

– Zanim wypowiem się w tej sprawie, chciałbym, jeśli pozwolicie, zwrócić uwagę Rady na pewne ważne zagadnienie. Mutacje, które zachodzą na Ziemi są bezsprzecznie wynikiem silniejszego promieniowania kosmicznego. A jest to skutek intraplozji. Mój szanowny kolega G.S.A. powiedział nam, że

postara się zrobić wszystko, by wykryć i jeżeli to możliwe, zahamować te nietypowe zjawiska. Jednak w najbliższym czasie musimy przedsięwziąć środki ostrożności, które sprawią, że rodzące się dzieci znów będą normalne. Należy ochraniać mężczyzn, i przede wszystkim ciężarne kobiety. Moi specjaliści od pewnego czasu zajmują się tym istotnym problemem. Nie są jeszcze w stanie określić czy zgubny wpływ wywierany jest na gamety przed zapłodnieniem, czy też na zarodek in utero. Proponuję więc, by wszyscy Ziemianie nosili stroje z materiałów o wysokiej zawartości ołowiu. To jednak nie wystarczy. Aby zmniejszyć ryzyko pojawienia się mutantów, trzeba by każda kobieta w pierwszych miesiącach ciąży mieszkała w specjalnie przystosowanych ośrodkach, w miarę możliwości pod wodą. W ten sposób embrion, chroniony przed szkodliwym wpływem promieniowania, będzie mógł rozwijać się normalnie. Pozwoli to doczekać chwili, gdy poziom promieniowania kosmicznego na Ziemi powróci do normy. Odpowiadając na pytanie szanownego P.R.N. Hagupiana, sądzę, że młoda specjalistka, która kieruje obecnie wiwarium, świetnie dałaby sobie radę z ewakuacją mutantów. Wbrew opinii wyrażonej przez G.S.F. Tubalą, sądzę, że dowiodła już swoich wysokich kwalifikacji i wykazała niezwykłą znajomość psychologii L2. To ona znalazła baterię strumieniową, o której przedtem mówił nasz szanowny kolega G.S.A. Okosow.

- Zdajemy się na pana, mój drogi G.I.S. ... Ponieważ poleca pan te młode kobiety, znaczy to, że jest ona godna przyjąć na siebie tak wielką odpowiedzialność. Jeśli chodzi o środki ostrożności przez pana proponowane, rozkazuje, by od dzisiaj były obowiązujące. Jeśli nie rozwiążemy tego problemu, to gdy ewakuacja L2 zostanie zakończona, kwestia transportu nowo narodzonych mutantów będzie wciąż aktualna.

G.I.S. był zadowolony. Saruka dowie się o wszystkim i kto wie? Być może okaże się bardziej wyrozumiały...

II. Wygnanie

D.W.M. Saruka przeprowadzała niespodziewaną kontrolę wiwarium. Dzięki takim poczynaniom lepiej znała pracę swych podwładnych. W Strażnicy 73 bis dziesięciu funkcjonariuszy stało na baczność. Ich dowódca Garrett meldował:

- Zgodnie z pani instrukcją, D.W.M., L2 pozostają nadal pod ścisłym nadzorem. Czuwamy szczególnie nad tym, by nie mogli nawiązać kontaktu z mutantami zwierzęcymi o niższym wskaźniku inteligencji. Patrole nadzorują okolice i bezustannie nadajemy program mirowizyjny o niskim wskaźniku kształcenia. Jakakolwiek aktywność fizyczna i intelektualna jest zabroniona. Choć wieczorami dużo ze sobą rozmawiają, upewniliśmy się, że w tych rozmowach nie ma nic wyrotowego. A zresztą co mogliby zrobić? Nasze poszukiwania i rewizje nie przynoszą rezultatu. Z całą pewnością nie dysponują książkami czy zwojami pamięci, ani żadnymi narzędziami.

- Dobrze, Garrett, ufam panu całkowicie. Niech pan jednak uważa, oni są przebiegli i mogą nas wyprowadzić w pole. Miejcie się na baczności!

- Moi ludzie robią wszystko, co mogą, D.W.M. i wiedzą dobrze, że za zaniedbania zostaliby surowo ukarani.

- Jaki jest stosunek L2 do deportacji?

- Są raczej zadowoleni: spokojni i posłuszni. Ewakuacja przebiega zgodnie z planem. Moim zdaniem, L2 wolą odjechać byle gdzie, niż siedzieć w ciasnym wiwarium.

- Niech pan zatrzyma te komentarze dla siebie Garrett!

Saruka opuściła wiwarium zadowolona. Już niedługo będzie mogła powrócić do swych eksperymentów biologicznych. Niech L2 radzą sobie sami na α Cygni, to już nie jej sprawa...

Mylili się jednak. Tubal miał trochę racji, oskarżając mutantów. Ci bowiem, sprawiając całkowicie niewinne wrażenie, wykorzystywali słabości swych strażników. Funkcjonariusze znudzeni mirowizją i muzyką, opuszczali swoje posterunki, by trochę poczytać i odpocząć w spokoju. Kilka porzuconych niedbale książek i gazet dostarczyło więźniom okrucich informacji. A ładne dziewczęta L2 podczas rozmów ze strażnikami swymi długimi, smukłymi palcami przeskakiwały równocześnie ich kieszenie, przywłaszczając sobie skarby.

Oczywiście te drobne kradzieże nie zawsze pozostawały niezauważone. Zdarzało się, że któryś ze strażników podejrzewał o nie L2, wołał jednak milczeć niż ryzykować wysoką karę za „takie nic”. Obiecywał sobie, że następnym razem będzie ostrożniejszy.

Na o wiele większe trudności napotykali L2 chcąc zdobyć narzędzia i poszczególne części, których potrzebowali, by po kryjomu budować swe niezwykle urządzenia.

Pomogła im w tym przyroda. Na północy wiwarium przylegało do wapiennego wzgórza, u stóp którego wiał się strumień.

Pewnego dnia Darruth, młody L2, podczas spaceru znalazł grote. Gdy nurkował w małym jeziorze, z którego wypływał strumyk, odkrył cały łańcuch podziemnych jaskiń, które, łącząc się ze sobą, przebiegały pod zaporą świetlną otaczającą wiwarium.

Od tego czasu L2 używali tajnego przejścia udając się na wyprawę poza obwód wiwarium. Przede wszystkim od razu ukradli kilka propulsorów, które pozwalały z łatwością poruszać się po okolicy.

Tego wieczoru Darruth, wraz z dwojgiem L2 po raz ostatni wybierał się na wyprawę. Wszyscy mieli ze sobą szczelne plastikowe pojemniki, w których zamierzali przynieść zdobyte przedmioty.

Jak cienie ześliznęli się bezgłośnie w spokojną toń jeziora.

– Brr... jaka lodowata woda! – jęknął któryś wynurzając się w jaskini, gdzie głos jego odbijał się zwielokrotnionym echem.

– Szkoda, że nie poprosiłeś strażników, by ci ją podgrzali! – zauważył ironicznie drugi.

– Cicho bądź Zakur! – rozkazał Darruth. – To nasza ostatnia wyprawa. Jutro wylatujemy na α Cygni. Potrzebuję jeszcze kilku części do mojego magnetycznego kłiwra. Nie chcielibyście chyba, żebyśmy przybyli tam z pustymi rękoma!

– Pozwól mu trochę ponarzekać! Naprawdę w tej jaskini strasznie zimno! – Zakur stanął w obronie przyjaciela.

L2, przyświecając sobie znalezionym przypadkowo elektronicznym reflektorem, posuwali się gęsiego pośród lasu stalaktytów i stalagmitów. Nieproporcjonalnie wielkie cienie groteskowo tańczyły dookoła.

– Żeby tylko propulsory były na swoim miejscu – szepnął Darruth usiłując odnaleźć zagłębienie ukryte wśród skalnych bloków.

– Świetnie, są!

Pomagając sobie nawzajem włożyli pasy, które utrzymywały na plecach lekki aparat, a potem cicho jak wielkie ptaki odlecieli w czarne niebo.

Po dziesięciu minutach lotu wzdłuż rzeki, na horyzoncie ukazały się światła:

– Medium, miasto Równika. Rozdzielmy się teraz – zaproponował Darruth. – Spotkamy się w pracowni elektronicznej na siedemnastym piętrze wieżowca przy południowej bramie!

Tak jak ustalili, wszyscy trzej spotkali się na dachu opustoszałego budynku. Ich sylwetki były widoczne przez chwilę na tle nieba, potem zniknęły.

Rezygnując z wind, lotem ślizgowym zsunęli się wzdłuż schodów do laboratorium na 17 piętrze.

Uważając, by niczego nie zniszczyć, zabrali z szaf kilka tranzystorów, oporników, kondensatorów i układów scalonych. Potem, jak tylko mogli najciszej, wrócili na tarasowy dach.

Tutaj czekała ich przykra niespodzianka. Niebo, puste w chwili ich przybycia, teraz pełne było strażników. Reflektory krzyżowały się wśród chmur. Patrole uzbrojone w detektory krążyły wszędzie wokół.

– Uwaga! – ostrzegł Darruth – coś wyweszyli... Nie sądzę jednak, by o nas wiedzieli.

– Może kogoś szukają... – zasugerował Harroz.

– W każdym razie nie L2 – zgodził się Darruth. – Przecież tylko my przyszliśmy tu dziś wieczór. Wszyscy inni pracują w ukrytym laboratorium na wzgórzu. Prześlizgnijcie się wzdłuż ścian. Potem polecimy tuż nad ziemią, to najlepszy sposób by umknąć detektorom. Dotrzemy tak do drzew, które rosną wzdłuż rzeki.

Udało im się. Wprawdzie stacja radarowa ogłosiła alarm, ale interferencje spowodowane zabudowaniami nie pozwoliły wykryć tajemniczych gości.

Cali i zdrowi wrócili do wiwarium. Zdążyli zająć swoje miejsca w dormitorium przed nocnym ape-

lem. Raz jeszcze zakpili sobie ze strażników. Ci jednak postanowili się zemścić. Następnego dnia rozpoczęły się represje. By ukarać L2, ludzie zastosowali „technikę Mimed”.

★

Dwoje wielogłowych i długowłosych młodych mutantów oglądało fascynujące widowisko. Trzymali się za rece nienaturalnie wielkie w porównaniu z ich drobnymi korpusami, jakby chcieli dodać sobie odwagi.

Na horyzoncie błękitnożłota, płomienista kula unosiła się coraz wyżej. Wokół niej sypały się iskry, a języki ognia utworzyły na niebie łuk, po którym nadciągały przerażające zastępy istot jak z koszmarnego snu. Potwory o rubinowych skrzydłach, uzbrojone w krogulcze, ostre pazury miały groteskowo powykrzywiane ludzkie twarze. Te przerażające stworzenia z początku rozproszone i z trudem tylko widoczne za migotliwą zasłoną ognia chwilę później ożywił oślepiający wybuch. Zaczynały wyginać się we wszystkie strony zdeformowanymi członkami sięgając w dół, tak jakby chciały rozgnieść ziemię.

Mutanci stali nieruchomo naprzeciw tej przerażającej potęgi widziadeł. Po chwili niektóre z tych strasznych stworzeń zaczęły opadać na ziemię gdzie, czołgając się i wijąc w konwulsjach przeistaczały się w gorzącą, bezkształtną masę. Bezustannie odradzały się jednak na nowo, wzbudzając coraz większe obrzydzenie i strach.

L2 skupieni w małych grupkach, wpatrywali się w to ohydne widowisko i by uniknąć bezpośredniego zetknięcia z którymś z koszmarnych stworzeń wykonywali czasem jakiś obronny gest. W oddali, oddzielone przezroczystym murem zwierzęta, kuliły się z przerażeniem, przytłoczone wiszącym nad nimi zagrożeniem. Owładnięte strachem jaszczury rzucały się do ucieczki, rycząc donośnie. Natychmiast ruszały za nimi w pościg ogniście potwory.

Strażnicy wiwarium tu i ówdzie, wymierzali L2 chłostę elektronicznym batem. Ofiara uderzona niebieskawym płomieniem skreślała się w konwulsyjnych drgawkach. Z jej ust sączyła się obficie piana.

U stóp przezroczystego muru, próbując skryć się przed wzrokiem oprawców skuliło się dwoje mutantów. Jednym z nich był Darruth.

- Dlaczego oni nas tak traktują... - Jęczała cicho drobna, młoda dziewczyna, której twarz oświetlana drgającymi błyskami przypominała twarz bogini. - Co myśmy im zrobili?
- Podejrzewają, że po kryjomu wydostaliśmy się z wiwarium. Słyszałem, że Tubal jest znów na wolności. Wszyscy technicy z laboratoriów fizyki i chemii zażądali od Hagupiana, by go wypuścił.
- Gdyby mógł, zabiłby nas wszystkich! To on wznicił przeciwko nam rozruchy.
- Na szczęście Hagupian i Saruka są spokojniejsi. Dzięki Bogu, udało im się przeforsować swój punkt widzenia. Deportacja trwa nadal.
- Czy słyszałeś, że oni próbowali wiwisekcji? Telsa mówiła mi, że Olier zniknął bez śladu.
- Tego nie wiem... Zdaje się, że Tubal zażądał obiektów doświadczalnych dla swoich techników. Biolodzy byli temu przeciwni. Ale rzeczywiście w ciągu ostatnich dni wielu z nas zniknęło. Może wzięli i Oliera!
- Trzeba mieć nadzieję, że się uspokoją... Biolodzy już na samym początku usiłowali zmusić nas do mówienia. Szybko jednak zrezygnowali, kiedy zauważyli, że jesteśmy odporni na środki psychotropowe i mało wrażliwi na hipnozę. Telsa mówiła mi również, że słyszała jak strażnicy rozmawiali o doświadczeniach na naszym mózgu. W komórkach nerwowych umieściliby elektrody, by zmusić nas do mówienia.
- Saura, nie myśl już o tym wszystkim. Nic na to nie poradzimy. Dopóki tutaj jesteśmy, nie możemy się buntować. Trzeba, by Rada kontynuowała naszą deportację na α Cygni. Później pomyślimy o zemście...
- Jesteś pewien, że wejdziemy do następnego konwoju?
- Tak, załadują nas do sto drugiego kontenera. W sto trzecim będą zwierzęta. Wykorzystując moment nieuwagi strażników, poszedłem odwiedzić jednego z naszych towarzyszy podróży. Dlatego właśnie zostawiłem cię na chwilę. Musimy zabrać na α Cygni broń i narzędzia, bez których zaczynalibyśmy od zera.

- Jak udało ci się przejść na drugą stronę?

- Nie chciałem zostawiać narzędzi, które z takim trudem zdobyłem, ponieważ nie wolno nam nic mieć ze sobą... Wykorzystałem ukryty tunel, który przechodzi pod barierą. Zwierzęta, które zostaną dzisiaj wysłane, są umieszczone oddzielnie. Ukryłem mój cylindroid Zurnara, dwa toroidy Bokeima i kliwer magnetyczny pod pancerzem jednego z ankylosaurów. Wszystkie te jaszczury nie osiągają rozmiarów swych przodków z drugiej ery, ale są jeszcze wystarczająco duże, by w razie potrzeby oddać nam przysługę!

- I nikt cię nie widział?

- Kto? Ci biedni, głupi strażnicy? Rozczarowujesz mnie... Wiesz, jak łatwo ich oszukać. Przecież tylko dlatego, że tego chcieliśmy, znaleźli „największy cud techniki” jak nazywają naszą strumieniową baterię. Musieliśmy dać im środki, by mogli wysłać nas bezpiecznie na jakąś planetę!

- Nie jestem pewna, czy rzeczywiście łatwo ich oszukać. Ta ich dyrektor Saruka musi coś podejrzewać. Na szczęście to najlepszy z dyrektorów. Wydaje mi się nawet, że ma jakąś słabość do mutantów...

- Nie ufaj jej za bardzo...

- UWAGA! UWAGA! - wrzasnęła ogromna postać ludzka mirowizowana ze strażnicy - wszyscy L2 noszący numery od 16000 do 21000 muszą natychmiast stawić się przed Bramą Numer Dwa. Ta informacja nie będzie powtórzona. UWAGA! Surowe kary czekają tych, którzy nie będą obecni na apelu. Nie wolno brać nic poza ubraniami, które macie na sobie.

- No, nareszcie! Saura... Czy zdajesz sobie sprawę... Będziemy wolni! Wolni, by iść gdzie chcemy, by pracować jak nam się podoba, a nie w ukryciu. Wolni, by żyć...

Oboje, razem z innymi L2, udali się natychmiast na miejsce zbiórki.

Wszyscy zebrali się, tak jak im kazano, przed Bramą Numer Dwa - czarną płaszczyzną w widmowym murze, który zakreślał otaczając ich pierścieniem.

Powoli oba skrzydła bramy rozwarły się pozwalając dostrzec błękit nieba.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi deportowanych. Niezależnie od tego, jakie będzie ich nowe życie na α Cygni, na pewno będzie im lepiej. Przestaną być niewolnikami.

Za nimi świetlisty mur zwał się na nowo oddzielając ich od nieszczęśliwików, którzy mieli jeszcze pozostać na Ziemi. Ruszyli naprzód. Saura ścisnęła wciąż rękę Darrutha.

Starażnicy otoczyli ich, zmuszając, by każdy przeszedł obok kontrolnego automatu weryfikującego numery.

L2 po zakończeniu formalności wepchnięto do ogromnego, metalowego sześcianu stojącego na gołej ziemi, pod dziwnym urządzeniem, z którego wydobywał się przenikliwy świst. Po niebie tam i z powrotem przelatywały rakiety straży.

Wyposażenie kontenera zredukowano do absolutnego minimum. Generatory tlenu umieszczone były na poziomych półkach co osiemdziesiąt centymetrów.

Mutanci ułożeni zostali obok siebie tak, jak dawniej układano Murzynów na statkach handlarzy niewolników.

L2 bez szemrania zgadzali się na wszystko. Traktowano ich jak zwierzęta, ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie skoro była to jedyna droga do wolności?...

Rozległ się ostry dźwięk gwizdka. Strażnicy szybko opuścili transporter i hermetyczne drzwi zamknęły się z suchym trzaskiem. W środku zapanowały nieprzeniknione ciemności. Jakaś kobieta jęknęła cicho z przerażenia. Teraz byli już całkowicie odcięci od świata. Ich los był przesądzony.

Przeraźliwy świst rozdarł im uszy - wystartowali. Ziemia odrzuciła ich z pogardą, z nienawiścią. Gorycz ścisnęła im serca...

Ile czasu trwała ta podróż wśród gwiazd? Godziny, dzień, dziesięć dni? Zamknięci, pozbawieni jakiegokolwiek punktu odniesienia, nie mogli tego wiedzieć. Chłód mroził im oddech, wkrótce zaczęli odczuwać pragnienie, potem głód. Każdy z pasażerów usiłował znaleźć wygodniejszą pozycję na twardych płytach. Niektórzy lizali metal, by w ten sposób oszukać pragnienie. Czas mijał... Coraz częściej słychać było kobiece jęki. Temperatura obniżała się stale i po pewnym czasie kontakt z płytami, na których leżeli, stał się nie do zniesienia.

W końcu znów usłyszeli świst, tak jak przy starcie. Zrobiło się cieplej. Z tysięcy ust wyrwał się okrzyk radości. Powitalna pieśń nadziei. Przez otwarte drzwi widać było niebo α Cygni, pomarańczowe w zachodzącym słońcu.

★

Wychodzili kolejno, zataczając się ze zmęczenia, oddychając głęboko chłodnym powietrzem nasyconym wonią nieznanych roślin, upajającym po dusznej atmosferze kontenera.

Przed nimi stała dobrze im znana maszyna: receptor baterii strumieniowej, która umożliwiła tę podróż przez bezmiar przestrzeni.

Nie było tu nikogo. Żadnej istoty ludzkiej, żadnego ze znienawidzonych strażników. Rozległa, pusta równina ciągnęła się aż po krańce horyzontu. Nieznane rośliny o błękitnych kwiatach układały pod ich stopami wielobarwne desenie.

Zachwyceni, szczęśliwi jak dzieci, ruszyli na przelaj przez łąkę, zapominając o dreczącym ich głodzie i pragnieniu.

W oddali można było dostrzec drzewa o dziwnym wyglądzie rosnące wokół migoczącej szmaragdowo tafli jeziora. Na horyzoncie wysmukłe wieże wznosiły się ponad miastem lśniącym w blasku słońca. Widok, jaki przedstawił się oczom L2 sprawił, że nie zauważyli nawet odlotu kontenera, którym przybyli. Byli naprawdę zdumieni, gdy inny pojazd tego samego typu zmaterializował się w polu działania strumieniowego receptora.

Wysunęła się z niego cała menażeria najdziwniejszych, przestraszonych zwierząt. L2 stawili czoła ogromnym stworzeniom. Te zaś, jakby pod wpływem czarów uspokoiły się i zaczęły to skubać trawę, to pełzać obwąchując ziemię, to znów niezręcznie próbowały unieść się w powietrze. Wyrażone myślą rozkazy L2 rozwiązywały ich obawy i agresywne instynkty.

Darruth, w towarzystwie kilku swych towarzyszy, skierował się w stronę ogromnych jaszczurów, które zaczęły powoli rozchodzić się po okolicy. Wszystkie jednocześnie stanęły w miejscu, a potem położyły się na ziemi, jak dobrze wytresowane zwierzęta.

Bez obawy wspinając się na ich grzbiety, L2 dzielił kilka zrogowaciałych płytek i wydobyli spod nich ukryte tam narzędzia i aparaty. Potem wrócili do pozostałych.

Ceratodonty, stegozaury i inne jaszczury spokojnie skierowały się w stronę widocznych na północy drzew.

Mutanci udali się w kierunku miasta lśniącego kryształowymi iglicami.

Gdy tylko doszli do pierwszych zabudowań, dostrzegli kilka okrągłych, zbliżających się w ich kierunku platform. Kierowali nimi przybyli tu wcześniej L2.

Członkowie Najwyższej Rady Ziemi byli zdumieni, gdyby wiedzieli, że są to płytki antymaterii wbudowane w małe okrągłe platformy z absolutną próżnią. Dzięki ekranom magnetycznym kontrolującym ich antymasę aparaty te przemieszczały się we wszystkich kierunkach niewiarygodnie płynnie. Mogły osiągać wysokość równą granicy przyciągania planetarnego, czyli około 500 000 km.

Powitanie było krótkie, ale wzruszające. Przewodniczący grupy powiedział kilka słów, a potem wszyscy wsiedli do grawimobów i odlecieli w stronę roziskrzonego miasta.

Nowo przybyli nie mogli się nadziwić, jak bardzo widok, który mieli przed oczyma różnił się od tego, do którego byli przyzwyczajeni. Wszystko w tym mieście było piękne. Począwszy od materiałów, z jakich zostało zbudowane, poprzez zdobiące je rozsiane tu i ówdzie rzadkie minerały, aż po formy budynków świadczące o artystycznych zdolnościach nowej rasy.

Na centralnym placu L2 zgotowali im długą owację witając ich jak braci powracających z daleka. Jeden z osiadłych już na α Cygni mutantów zabrał głos:

– Bracia, oto jesteśmy wolni! To nowe wspaniałe miasto nosi nazwę Mirapol. Przede wszystkim musicie poznać panującą tu zwyczaję. Zajmą się tym automaty hypnopedyczne. Wiedźcie też, że wszystko na tej planecie należy do was. Nasza społeczność potrzebuje w zamian waszej pracy, którą wybierzećie sobie sami. Tak jak niegdyś Żydzi w Ziemi Obiecanej będziemy rosnąć w siłę i mnożyć się. Dziś jesteście znużeni, lecz wolni i żądni wiedzy. Nie obawiajcie się niczego! Przyzwyczajcie się szybko! Po kursach hypnopedycznych, które wszystkim wam dadzą wiedzę podstawową, pogłębicie swą znajomość wy-

branego przedmiotu, zanim zostaniecie przydzieleni na odpowiadające wam stanowiska. Dzięki wspólnej pracy, nasz gatunek zrealizuje swe cele. Bądźmy cierpliwi! Dzięki wielkim zdolnościom Homines Superiores będą rozwijali się o wiele szybciej niż Sapientes. Trzeba, byśmy przed przybyciem ostatnich kontyngentów byli w stanie udaremnić jakiegokolwiek próby podporządkowania nas. Nie możemy jednak liczyć na pomoc z Ziemi. Ostatnie kroki podjęte przez G.I.S. uniemożliwiają dalsze narodziny mutantów. Na tej planecie będą mieszkali tylko nasi potomkowie. Trzeba mieć nadzieję, że wskaźnik urodzin będzie wysoki. Tym problemem zajmują się już nasi biolodzy. Świat ten należy do nas i naszym pozostać. Jest bogaty w różne minerały, dziewiczy, dotychczas nie eksploatowany. Życie właśnie pojawiło się na tej planecie i osiągnęło stadium odpowiadające ziemskiej epoce kambru. Tutejsze prymitywne stworzenia są niegroźne. W przestrzeni wokół nas również nie mamy niebezpiecznych sąsiadów. Wszystko sprzyja spokojnej egzystencji. Musicie jednak wiedzieć, że Superiores nie są jednak bezbroni. Już w tej chwili dysponujemy statkami o zasięgu galaktycznym i potężnym uzbrojeniu. Cele naszej rasy są pokojowe, ale musimy też myśleć o obronie! Proszę was więc, moi drodzy, oddajcie technikom urządzenia, które udało się wam przywieźć tu z Ziemi. Przydadzą się na pewno! Trud, z jakim je zdobyliście, nie pójdzie na marne... Jak więc widzicie, radzimy sobie dobrze i podstawowe narzędzia nie są już tak niezbędne, jak w pierwszym okresie istnienia tej kolonii. Teraz grawimoby zawiozą was do nowych domów. Aby tam dotrzeć, wystarczy tylko nacisnąć guzik oznaczony literą H. W domu, nad łóżkiem każdy z was znajdzie kask. Trzeba go włożyć na głowę, a wówczas aparaty hypnopedyczne dostarczą wam niezbędnych informacji o naszym świecie. Poznacie zasady posługiwania się różnymi urządzeniami, które macie do dyspozycji. I ostatnia sprawa: nazywam się Trajn i zawsze jestem gotów odpowiadać na wszystkie pytania. Do zobaczenia wolni L2!

Darruth i Saura, trochę oszołomieni wydarzeniami, wsiedli do grawimobów; które miały ich zawieźć do domów.

- Zostańmy razem, dobrze, Darruth? - zaproponowała nieśmiało Saura. - Czuje się tutaj trochę zagubiona....

Zajeli miejsca, zamknęli przezroczyste kopuły i wcisnęli guzik H. Oba pojazdy łagodnie wzniosły się w powietrze. Podziwiali wznoszące się w czyste niebo kryształowe wieże, przelatując nie opodal nich. Pod nimi miasto tonało w różnorodnej, bogatej roślinności.

Mirapol, choć zbudowany tak niedawno, miał już swoje centrum naukowe. Laboratoria i sale zebrani znajdowały się niedaleko od siebie. Część w kryształowych iglicach, które tak podziwiali z daleka, reszta ukryta pod powierzchnią planety. Wokół znajdowały się budynki mieszkalne. W rzeczywistości były to tylko proste, półokrągłe kopuły z plastyku produkowane seryjnie i stawiane pośród drzew otaczających centrum miasta.

Grawimoby osiadły przed drzwiami jednej z takich konstrukcji. Zdawało się, iż jest tak lekka, że za chwilę uniesie się w powietrze.

Darruth i Saura najpierw postanowili najeść się do syta. Z kranu płynął orzeźwiający napój, a apetyczne koncentraty spożywcze znajdowały się w szczelnie zamykanej szafce, która co dzień na nowo wypełniała się żywnością.

Potem, zgodnie z otrzymaną radą, położyli się na plecionce, która unosiła się nad podłogą. Jeszcze jeden sposób wykorzystania anty-G. Włożyli na głowę hełmy i zapadli w długi, wzmacniający sen, podczas którego ledwo dosłyszalny głos szeptał nowym obywatelom Mirapolu na „Cygni pierwsze informacje”.

Przespali tak dwadzieścia sześć godzin. Pierwsze, co zobaczył Darruth zaraz po przebudzeniu, była uśmiechnięta twarz Saury. Pomyślna wróżba! Dziewczyna delikatnie zdjęła mu z głowy hełm i nieśmiało pocałowała w czoło.

- Wspaniale! - zawołała wykonując taneczne pas przy dźwiękach muzyki dochodzącej z kryształowego kwiatu. - Wspaniale, mamy dwa dni wakacji! Co byś powiedział na małą wycieczkę po okolicy?

- Świetny pomysł! - odrzyknął Darruth, który zaraz podniósł się i zaczął gonić roześmianą Saure po pokoju. - Chodź, zabawimy się w odkrywców!

Napełnili jedzeniem chłodzony bagażnik jednego z grawimobów i zajęli miejsca. Darruth klepnął się ręką w czoło:

- Wezmę mimo wszystko jakąś broń, tak będzie rozsądniej.

Wrócił do domu i zabrał leżący na półce dezintegrator masy.

- Sprawdźmy, jak sobie z tym radzę!

Maszyna uniosła się błyskawicznie na wysokość dwustu metrów przecinając z lekkim szmerem czyste powietrze α Cygni 3.

- Wspaniale... Popatrz: morze!

- Tak, na tej planecie są trzy kontynenty, a my znajdujemy się na najmniejszym z nich.

- Polećmy wzdłuż brzegu, dobrze?

- Zgoda.

Zatoczywszy niewielki łuk, lecieli nad piaszczystym wybrzeżem, przeskakując tuż ponad skałami, o które rozpryskiwały się fale.

- Jakże to pięknie! - westchnęła Saura. I pomyśleć tylko, że na Ziemi też są oceany, tylko myśmy ich nigdy nie widzieli!

- Nie ma czego żałować. Ta planeta jest o wiele piękniejsza od Ziemi i ma jedną wielką zaletę: jesteśmy tu wolni.

Mineli obszary zamieszkałe przez ziemskie zwierzęta „importowane” tu jak oni. Gdy nadszedł wieczór zatrzymali grawimob u podnóża gór. Po kolacji rozłożyli siedzenia, by spędzić swą pierwszą noc pod gołym niebem. Kopuła grawimobu pozostała otwarta, by mogli podziwiać wspaniałą zachód „słońca” i gwiazdy migotliwie rozbłyśkujące jedna po drugiej. Najpierw te najbliższe, potem coraz bardziej odległe, nieznane konstelacje kreśliły na niebie kapryśne zygzaki. Lekki wiatr przynosił balsamiczny, przesycony żywicą, zapach krzewów porastających zbocza.

Darruth drzemał już od kilku minut, gdy Saura lekko trąciła go w ramię.

- Popatrz - wyszeptala - tam widać małe światelko, tam, na górze...

Darruth wstał przecierając oczy.

- Masz rację, ja też coś widzę. Światło jest niewyraźne i czasem zanika. Coś tam fosforyzuje. Może to jakaś skała radioaktywna... Żaden Sapiens by tego nie zauważył! Chodźmy tam, tylko nie zapalaj latarki!

• Wziął dezintegrator masy i oboje skierowali się jak mogli najciszej w stronę niepokojącego światelka. Rosnące kepmi zarośla utrudniały marsz, a zeschnięte liście szeleściły pod stopami. Po przejściu około dziesięciu metrów zatrzymali się. Światelko stało się teraz bardziej wyraźne. Można było dostrzec rodzaj sieci oplatającej skalny blok, na którego wierzchołku rosło kilka rachitycznych drzewek. Ich poruszane wiatrem liście tary z rytmicznym szelestem o fosforyzujący materiał.

- Zostań tu - wyszeptał Darruth - schyl się! Pójdę tam. Jeśli nie wrócę za pięć minut, wróć do grawimobu i wezwij pomoc!

Saura usłuchała go w milczeniu. Po chwili sylwetka czołgającego się Darrutha zniknęła w ciemnościach. Przestraszona Saura usiłowała odgadnąć, gdzie on jest nasłuchując każdego hałasu.

Nagle jasny błysk światła poderwał ją na równe nogi:

- Darruth, wracaj!... - krzyknęła całkowicie oślepiąca. Odpowiedział jej głośny śmiech chłopca i usłyszała jego głos:

- Już dobrze, uspokój się, nic się nie stało. Zapaliłem po prostu reflektor. Chodź tutaj!

Saura uspokojona wstała i po chwili znalazła się obok swego towarzysza.

- Rzeczywiście zrobiłaś odkrycie. Nie wiem, co to jest, ale w każdym razie ta rzecz jest niegroźna.

Przytuleni do siebie oglądali dziwny wybrzek natury - leżący pod krzakiem stos przejrzystych kryształów podobny do powykręcanej kukły. Z daleka przypominało to szkielet, kości wypolerowane przez wiatr. Rząd haczykowatych kryształów stanowił jakby kregostup. Odchodziły od niego długie, bez wyraźnie zaznaczonych stawów, członki zakończone równie długimi stożkami. Ten niby szkielet świecił, gdy ocierały się o niego galezie. Widoczna gdzieś cienka i wytrzymała błona czyniła go uderzająco podobnym do ludzkich szczątków.

- Coś takiego! - powtórzył zdziwiony Darruth. - Można by przysiąc, że to zwłoki jakiegoś zwierzęcia!

– Oświetlił reflektorem wszystko dookoła i ciągnął dalej: – To jeszcze nie koniec. Popatrz, zdarzyła się tu chyba jakaś eksplozja.

– Masz rację, zupełnie jakby coś rozbiło się u stóp tego stromego urwiska. Chodźmy zobaczyć! – zaproponowała Saura.

Kilka metrów dalej ziemia usłana była mnóstwem dziwnych kryształów – od małych centymetrowych brył aż do kilkumetrowych bloków. Darruth i Saura z zaciekawieni pochyliłi się nad znaleziskiem. Bez żadnej wątpliwości mieli do czynienia ze szczątkami maszyny zbudowanej przez istoty rozumne. Nie przypominały one jednak niczego, co oboje widzieli dotychczas. Roślinność częściowo pokryła już wrak, utrudniając teraz rozpoznanie. Wskazywało na niego tylko wyrzuszenie terenu. W pobliżu urwiska resztki maszyny były większe i mniej uszkodzone. Odkryli tu również coś w rodzaju sześciennych kabin, wewnątrz której znajdowały się poskrecane ciała podobne do leżącego na zewnątrz.

– Co teraz zrobimy? – spytała Saura. – Trzeba chyba zawiadomić Trajna?

– Poczekajmy do jutra! Przecież sądząc po roślinności to leży tu od dawna. Zastanawiam się tylko, dlaczego nic nam nie powiedziano... Teraz chodź! Jutro rano zawiadomimy o naszym odkryciu.

Trudno im jednak było zasnąć i noc minęła niespokojnie. Żadne z nich nie potrafiło przestać myśleć o tajemniczym odkryciu. Brakowało im jednak odwagi, by głośno formułować hipotezy. Świt zastał ich pogrążonych wreszcie we śnie. Obudzili się późno, czując wciąż zmęczenie spowodowane wypadkami poprzedniego wieczora.

Po skromnym posiłku Darruth wezwał Trajna przez mirowizję. Sympatyczna twarz przywódcy mutantów prawie natychmiast pojawiła się na ekranie.

– Czym mogę wam służyć? – spytał uprzejmie. – Jakież problemy techniczne?

– Nie, wszystko w porządku – oświadczył Darruth. – Chciałem poinformować pana o dokonanych przez nas ciekawym odkryciu. Nasz grawimob wylądował nad morzem, u stóp zbocza, za którym rozciąga się łańcuch górski. Wczorajem Saura spostrzegła nie dające się niczym wyjaśnić światelko. Poszedłem sprawdzić i znalazłem opodał zniszczonej maszyny kilka dziwnych, krystalicznych szkieletów, które w ogólnych zarysach podobne są do naszych.

– Czy to skamieliny?

– Nie sądzę. Myślę raczej, że jakiś statek eksplodował lądując na skalistym podłożu. Jego pasażerowie ponieśli śmierć na miejscu, a ich ciała zostały zmumifikowane. Ponieważ mówił pan, że na tej planecie nie ma żadnych śladów jakiegokolwiek cywilizacji uznaliśmy, iż należy o tym zawiadomić.

– Dobrze zrobiliście, nikt nie sygnalizował dotąd czegoś podobnego. Wasze odkrycie może mieć ogromne znaczenie! Zostańcie na miejscu i nie ruszajcie niczego. Zaraz do was przyjadę.

Grawimoby używane przez przywódców L2 były z pewnością specjalnego typu. Wystarczył kwadrans, by cztery maszyny wylądowały łagodnie obok pojazdu Darrutha i Saury. Dwa następne, większe i uzbrojone, krążyły tuż nad ziemią.

– Chodźcie z nami i pokażcie nam drogę – powiedział Trajn.

Gdy stanęli u stóp urwiska, dwa opancerzone pojazdy zajęły pozycję na szczycie wzgórza skąd mogły dokładnie obserwować usianą szczątkami okolice. Inne grawimoby wylądowały na plaży.

– Przedstawiam wam Scafora, dowódcę naszej Straży, Zaffora naszego głównego konstruktora i Mettira, specjalistę do sprawy rozwoju biologicznego – Trajn kolejno przedstawiał wysiadających.

– Zaprowadźcie nas najpierw do tego świecącego szkieletu – zaproponował.

Darruth skinął głową. Scafor trzymał tuż nad ziemią dziwne koło umieszczone na elastycznym wysięgniku i sprawdzał położenie wskazówki na tarczy znajdującej się przy uchwycie.

– Możecie iść – oznajmił krótko.

Mettir uklęknął i pochylił się nad pierwszym ze znalezionych szkieletów. Ostrożnie wziął kilka małych fragmentów i umieścił je w podzielonym na komory pudełku. Podniósł się po chwili i rzekł stanowczo:

– To nadzwyczajne! Mamy rzeczywiście do czynienia ze szczątkami istoty żyjącej. Śmierć nastąpiła kilka lat temu, przed naszym przybyciem na tę planetę. Myślę, że jeśli szkielet zawiera ślady cząstek radioaktywnych, uda mi się ustalić dokładną datę.

- Są, ale nieliczne - wtrącił Scafor.
- To dobrze, łatwo będzie wobec tego ustalić czas katastrofy. - Mettir ciągnął dalej. - Zauważyliście, że te szkielety nie są, tak jak nasze, zbudowane z fosforanu wapnia. Ich skład chemiczny jest zupełnie inny. Każdy krąg zbudowany jest z makrokryształu o kształcie podobnym do ogona jaskółki. Jak wy to nazywacie, Zaffor?
- W kształcie klinopinakoidu.
- No więc te klino... jak to pani mówi, stanowią kregi. Miednica, obojczyk i łopatki są zbudowane z kryształów romboedrycznych. A jeśli chodzi o głowę, to jak pan to nazwie, Zaffor?
- Podwójny dwunastościan pentagonalny. Małe kryształy, które znajdują się wewnątrz, zastępują pewnie nasze komórki nerwowe i zbudowane są prawdopodobnie z germanu, ale nie jestem pewien. W każdym razie nie zostały uszkodzone i będziemy mogli je zbadać.
- Widzicie - Mettir znów zabrał głos - te kryształy prawdopodobnie były zawieszone w roztworze soli mineralnych zawartym w błonie, której porwane szczątki jeszcze tu widać. Istoty te prawdopodobnie przyswajały sole mineralne, a różna ich zawartość w środowisku zewnętrznym powodowała wzrost lub zmniejszanie się kryształów, z których składał się szkielet. Jeśli chodzi o tę delikatną błonę, to podobna jest do silikonowych plastyków.
- A więc te stworzenia nie pochodzą z naszej planety? - spytał Trajn.
- Nie sądzę. Gdyby tak było, znaleźlibyśmy jeszcze inne ślady. Te szkielety są wystarczająco wytrzymałe.
- A świecenie - spytała Saura - skąd się bierze?
- To po prostu zjawisko tryboluminescencji dobrze znane w mineralogii. Poruszane wiatrem gałęzie krzewów tarty o te kryształy powodując świecenie. Są ciała, które wytwarzają elektryczność zamiast światła. Szczęśliwy przypadek sprawił, że te tutaj należą do pierwszej kategorii, bo inaczej mogłyby leżeć jeszcze długo, zanim ktokolwiek zwróciłby na nie uwagę.
- Chodźmy dalej, dobrze? - zaproponował Zaffor. - Chciałbym jak najszybciej obejrzeć resztki statku.
- Dajcie mi jeszcze minutę. Muszę pobrać kilka próbek do analizy bakteriologicznej. Nigdy nic nie wiadomo. Może przywieźli tu jakieś własne bakterie...
- Niech nas pan dogoni - rozkazał Trajn i zwracając się do Zaffora dodał: - Chciałbym wiedzieć, czy można określić pochodzenie tych istot i dowiedzieć się czegoś o broni, jaką dysponują.
- Mała grupa pozostawiła zaaferowanego biologa nad krystalicznym szkieletem i posuwając się tyralierą zaczęła oglądać porozrzucone szczątki statku kosmicznego. Resztki leżące na szczycie urwiska były największe i najlepiej zachowane.
- Słowo daje! - wykrzyknął Zaffor myszkując wewnątrz zniszczonego pojazdu - to przypomina kabinę pilota!
- Ma pan rację - przyznał Scafor - dziób znajdował się tutaj, na wierzchołku. Ten statek miał kształt piramidy heksagonalnej.
- Rozumując logicznie, zespół napędowy powinien znajdować się w tylnej części statku, która została najbardziej uszkodzona. Widocznie tam nastąpiła eksplozja. - Zaffor ciągnął dalej. - Jeżeli dobrze poszukamy, powinniśmy znaleźć broń.
- Potrzeba całych miesięcy, by zbadać to wszystko dokładnie - westchnął Trajn. - Miejmy nadzieję, że Ziemię przez ten czas zostawia nas w spokoju...

III. Kapitan Blossow

Już od godziny przemierzałem wielkimi krokami kabinę rufową „Eridanusa”. Miałem zupełnie dość tej misji... Nie ma nic bardziej uciążliwego dla takiego astronauty jak ja, niż patrolowanie wzdłuż i wszerz jakiegoś obszaru Galaktyki, na statku pierwszej klasy, a do tego jeszcze z eskortą. Wrócę na Ziemię z niczym, jak jakiś nowicjusz! Najwyższa Rada dobrze to zaplanowała. Zaopatrzone mnie w broń najnowszego typu, najdoskonalszą aparaturę, radary, wykrywacze ultradźwięków, pól magnetycznych, pól grawitacyjnych, spektroskopy, słowem we wszystko! Na statku znajdowały się niezliczone urządzenia i wszystkie funkcjonowały doskonale. Mielismy nawet na pokładzie Jego Ekscelencję G.S.A.

wie własnej osobie. I żadnych rezultatów. Przyglądałem się przez chwilę mojemu zastępcy Xartroffowi nadzorującemu lot. On też miał już dosyć tego wszystkiego.

Rozmyślałem tak, kiedy wszedł nasz znakomity pasażer G.S.A. Miałem nadzieję, że w końcu powie coś ciekawego. Ale nie. Nudził się również i chciał „trochę pogadać”.

– No i co tam, kapitanie, nic nowego?

– Niestety nie, G.S.A.! A pan nic niezwykłego nie zauważył?

– Absolutnie nic, kapitanie! Myślę, że dobrze pan zrobił opuszczając zewnętrzne obszary Galaktyki i wracając w przestrzeń trochę bliżej Ziemi. Żadna intraplozja nie zdarzyła się tak blisko granicy. Wszystkie objęły planety już skolonizowane. Jak już panu mówiłem, mam na ten temat własną koncepcję. Trzeba uważać na tych L2!

Też coś! – pomyślałem sobie. Znow to samo – G.S.A. jeszcze raz wyłuszczy mi swoją tezę na temat odpowiedzialności L2 za intraplozje. Już mu zwracałem uwagę, że zaczęły się przed ich urodzeniem, ale na próżno. Przekonany o własnej nieomyślności za nic nie dawał się przekonać.

– Tak, G.S.A... Dałem rozkaz, by jeden ze statków służby wywiadowczej, „Stratus”, udał się w okolicę α Cygni. Dostałem już od nich pierwszy raport. Meldują o zaobserwowaniu statków kosmicznych. To nadzwyczajne, przecież mutantów wysłaliśmy tam bez żadnych narzędzi! Zwoleńnicy Tubala będą wściekli. Oskarżają Radę Najwyższą, że dostarczyła L2 całe wyposażenie. Mimo to wydałem wyraźny rozkaz – żadnych interwencji. Niech robią, co chcą. Dopóki dają nam spokój, nie możemy się wtrącać.

– Nie podoba mi się to wszystko. Dokąd lecą ich statki?

– Dość daleko w Galaktyce. Nie wiem dokładnie gdzie. Radar „Stratusa” nie ma zbyt wielkiego zasięgu. Jedno jest pewne, nie zbliżają się ani do Ziemi ani do naszych kolonii.

– Miejmy nadzieję, że udało nam się definitywnie ich pozbyć. W rzeczywistości ten problem będzie rozwiązany dopiero kiedy skończą się intraplozje i gdy poziom promieniowania kosmicznego wróci do normy. Wówczas skończą się narodziny potworów!

Xartroff przerwał naszą rozmowę. Miał zaniepokojoną minę:

– Przepraszam kapitanie, ale rezerwa paliwa jest na wyczerpaniu.

– Wiem, Xartroff. Od startu połknęliśmy ładnych kilka parseków. Ile jeszcze wytrzymamy?

– Sześć dni, wliczając w to dziesięcioprocentową rezerwę bezpieczeństwa.

– Więc dobrze. W ciągu sześciu dni trzeba znaleźć się w pobliżu jednej z baz galaktycznych. Musimy zdążyć i tyle!

– Panie kapitanie, jeśli można... Mam pewną propozycję...

Xartroff był trochę onieśmielony. Wiedział jednak, że byłem gotów na wszystko, by nasza misja skończyła się pomyślnie...

– Oczywiście, Xartroff, niech pan mówi...

Zaczerpnął tchu:

– No więc kapitanie, zastanawiałem się... – to doprawdy godne pochwały, pomyślałem złośliwie. – Jeśli założymy, że intraplozje są wywoływane sztucznie, nie ma tak wielu możliwości. Albo powodowane są przez zdalnie sterowane rakiety dalekiego zasięgu, albo też gwiazdy są „zaminowane”, być może już od dawna, czymś w rodzaju niewidocznych dla nas sztucznych satelitów.

Ten facet nie jest taki głupi, pomyślałem, głośno zaś powiedziałem:

– To bardzo ciekawe, co pan mówi, Xartroff. Tylko, że ja mam poważne zastrzeżenia do tej teorii. W pierwszym przypadku strzał musiałby zostać oddany z bardzo daleka, a rakietą powinna być niezwykle małych rozmiarów. W przeciwnym razie wykrylibyśmy ją z łatwością, prawda G.S.A.?

– Oczywiście, kapitanie. Nasze najnowsze teleradary wykryłyby ślad obiektu długości dwóch metrów w odległości miliarda kilometrów. Pod warunkiem, że nie znajdowałby się on w chmurze zjonizowanego wapnia. Jeśli chodzi o rakiety, to musiałyby być bardzo małe, inaczej ich energia wywołałaby jonizację materii międzygwiazdnej i cała trajektoria byłaby wyraźnie widoczna.

– Pozostaje więc tylko druga hipoteza. Przypuszczam, że bardziej mi się podoba. Satelity ukryte w sferze promieniowania gwiazdy byłyby dla nas niedostrzegalne. A jakie jest pańskie zdanie G.S.A.?

- Fale elektromagnetyczne emitowane przez gwiazdy, ich pola magnetyczne i wysoka temperatura powodują odpowiednie zakłócenia.

- Ale przecież - sprzeciwiłem się - jeśli satelita znajduje się zbyt blisko, może zostać zniszczony przez wybuchy fotonowe i promieniowanie X.

- Nasze najbliższe gwiazdom stacje kontrolne orbitują na ogół w odległości 10 000 kilometrów od chromosfery. Hamowanie przez atmosferę na tej wysokości jest niewielkie. Już w epoce przedatomowej wiadomo, że komety mogą przelatywać w takiej odległości od gwiazdy i nie są przez nią hamowane. Przy obecnym stanie techniki nie trzeba nawet budować statków z pancerzem odbijającym promieniowanie. Wystarczająco im potężne układy chłodzące, które wykorzystują energię samej gwiazdy. Opracowaliśmy projekt satelitów, które mogą orbitować na granicy chromosfery i wytrzymywać temperatury rzędu sześciu tysięcy stopni. Nigdy nie zostały one jednak zbudowane, nasze urządzenia badawcze są wystarczająco czułe, by z większej odległości uzyskać te same informacje.

Te dokładne wyjaśnienia każyły mi się zastanowić... Czy nie można by wykorzystać efektów stopniowego niszczenia satelity, by opóźnić eksplozję? Sposób prosty, skuteczny i niezauważalny. Tak, to była metoda, nad którą warto było pomyśleć... Podzieliłem się z G.S.A. moją hipotezą.

- Rzeczywiście kapitanie, to znakomity sposób. Nie wpadłem na to. Jest mało dokładny, ale to nie jest ważne dla naszych nieznanych wrogów. A ma tę zaletę, że jest skuteczny i pewniejszy niż wszystkie urządzenia mechaniczne czy elektroniczne. Statek przyspieszając stopniowo swój ruch po orbicie, spada na gwiazdę i powoduje w ten sposób zmiany w jej cyklu atomowym.

- Wobec tego powinien być duży - zauważył Xartroff.

- Tak, poruczniku, ale jeśli orbituje w sferze korony, nie sposób jest go wykryć. Promieniowanie czyni go niedostrzegalnym. Argumenty te wydawały mi się dość przekonujące. Natychmiast zdecydowałem się wziąć kurs na najbliższą kolonię:

- Xartroff, kurs na α Herculis.

- Ma pan rację kapitanie - oświadczył G.S.A. - na tej planecie znajduje się duży ośrodek wydobywczy. Złoża kobaltu i berylu występują tuż pod powierzchnią. Na czwartej planecie układu są bogate pokłady minerałów, których zniszczenie może być celem wroga.

- Jest tylko jeden kłopot - zauważyłem. - W jaki sposób chce pan zbadać koronę α Herculis? O ile pamiętam, to gwiazda podwójna. Moje statki nie mogą latać w przestrzeni, gdzie panują tak wysokie temperatury.

- Właśnie się zastanawiam. Potężne urządzenia chłodzące małej wielkości i płytki ogniotrwałego stopu wystarczą dla ochrony statków. Można chyba je znaleźć na Herculis. Tam dokona się niezbędnych modyfikacji statku. Badania rozpoczną się od gwiazdy Go, a potem będą kontynuowane na następnej.

- Xartroff, proszę połączyć się z satelitą komunikacyjnym α Herculis i spytać czy mają materiały ogniotrwałe i urządzenia chłodzące.

- Tak jest kapitanie! - po chwili zameldował. - Mam połączenie z astroportem na α Herculis. Zorientuj się i dadzą nam odpowiedź.

Dobrze, pomyślałem, trzeba ich trochę postraszyć. Jeśli będzie czekał spokojnie, to przy całej ich biurokracji dużo czasu upłynie, zanim dadzą odpowiedź.

- Xartroff, niech mnie pan połączy bezpośrednio. - Od razu miałem dźwięk. - Tu „Eridanus”, kapitan Blossow do planety Herkules 4. Potrzebujemy urządzeń chłodzących typu Fr 15. Czy możecie je natychmiast oddać do naszej dyspozycji? Proszę je zarekwirować, jeżeli nie można inaczej. Jako wysłannicy Najwyższej Rady mamy absolutne pierwszeństwo. G.S.A. osobiście bierze udział w tej wyprawie.

Pięć minut później dostałem odpowiedź.

- Gubernator Veron do „Eridanus”. Pozdrowienia dla Jego Ekscelencji G.S.A., pozdrowienia dla kapitana Blossowa. Mamy dwa urządzenia typu Fr 15 do waszej dyspozycji.

Natychmiast nadałem kolejną wiadomość:

- „Eridanus” do gubernatora Verona. Dziękujemy za pomoc. Ładujemy w ciągu najbliższych sześciu godzin.

W rezultacie mieliśmy dziesięć minut opóźnienia, gdyż gesta chmura meteorów zmusiła nas do

zmniejszenia prędkości. Gubernator Veron przygotował wszystko. Wizyty członków Najwyższej Rady były tu rzadkością. Urządzenia Fr 15 już na nas czekały. Pochodziły z bogatych kopalń kobaltu, które eksploatowano pod jednym z wulkanów. Dzięki autorytetowi gubernatora pobudzonego do działania obecnością członka Rady, dyrektor kopalni dał się przekonać z łatwością. Produkcja została wstrzymana, co uniemożliwiło osiągnięcie planowanego wydobywania, ale trudno... G.S.A. za to będzie zadowolony.

Członkowie Rady Planetarnej przybyli na spotkanie z G.S.A. w pojazdach błyskających zapalonymi światłami. Automaty uwijały się gorączkowo, uzupełniając zapasy płynnego paliwa „Eridanusa”. Te części naszych baterii, które zbudowane były z radioaktywnych materiałów zostały wyjęte i starannie zabezpieczone na czas nim znów będą przydatne. Podczas tych zabiegów wejście na pokład było oczywiście surowo wzbronione. Zaciskałem pięści z niecierpliwością...

W końcu wszystko było gotowe. Wystartowałem jak mogłem najszybciej. Technicy, którym Xartroff zdradził cel wyprawy, byli bardzo podnieceni. Starannie umocowywali na kadłubie rakiety nr 7 ochronne kobaltowe płyty. G.S.A. osobiście nadzorował instalację generatorów fotonowych, które miały dostarczać Fr 15 niezbędnej energii. Zwykle prądnice nie mogły zasilać tych potworów. Mój nawigator, Nozal, odpowiedzialny za urządzenia radarowe i kamery, zakładał do nich specjalne filmy dostarczone przez G.S.A.

Do mnie należało ostatnie zadanie. W razie pomyślnego zakończenia naszej wyprawy, trzeba będzie wziąć satelitę na pokład „Eridanusa”. Postanowiłem posłużyć się prostym systemem chwytaków połączonych z naszym statkiem solidnym kablem odpornym na wysokie temperatury. Taka metoda była najpewniejsza. Każdy system elektroniczny czy magnetyczny mógł zawieść w niewielkiej stosunkowo odległości od gwiazdy. Szczęśliwie trafiliśmy na planetę obfitującą w metale wytrzymałe na wysokie temperatury. Inaczej posługując się tylko tym, co mieliśmy na statku, nie moglibyśmy podjąć takiej próby.

α Herculis to gwiazda podwójna, której jasność absolutna jest o wiele większa od jasności naszego Słońca... Jej czwarta planeta, z której mieliśmy wystartować, krążyła w odległości 250 milionów kilometrów. Ale temperatura słońca α Herculis nie przekraczała ośmiu milionów stopni, podczas gdy nasze Słońce ma ich ponad czterdzieści. „Eridanus” orbitując w koronie Go będzie narażony tylko na temperaturę pięciu tysięcy stopni. Mieliśmy szczęście!

Długo wahałem się komu powierzyć stery rakiety: człowiekowi czy maszynie. Automat mógł zostać rozregulowany przez promieniowanie, w którego zasięgu znajdzie się statek. Z drugiej strony nie mogłem narażać ludzi na tak wielkie niebezpieczeństwo. Poszedłem jednak za radą G.S.A. i zdecydowałem się wysłać jednego z astronautów. Wybrałem człowieka doświadczonego, nazywał się Tatari. To bystry facet i miał tę zaletę, że nie był zbyt wrażliwy na fale elektromagnetyczne. Trzeba było poświęcić jeszcze godzinę i opancerzyć kabinę ołowiem atomowym, nieprzenikliwym dla promieniowania X. Około osiemnastej wszystko było gotowe. „Eridanus” znalazł się tak blisko jak było to możliwe obok α Herculis.

Z lekkim drżeniem serca wydałem rozkaz:

- Pilot Tatari, na miejsce!
- Gotów do startu, kapitanie!
- Uwaga! Pieć...cztery...trzy...dwa...jeden...zero!

Nacisnąłem guzik i rakieta została wystrzelona ze statku po lekko odśrodkowej trajektorii. Dzięki temu okres przebywania w strefie wysokich temperatur miał być zmniejszony do minimum.

Tatari zaraz po starcie zaczął meldować:

- Na pokładzie wszystko w porządku. Ekrany funkcjonują doskonale. Poziom promieniowania jest wciąż bezpieczny. Temperatura 30 stopni. Dobra widoczność w chromosferze.

Po upływie dziesięciu minut odezwał się ponownie. Jego spokojny głos tłumity jednak zakłócenia powstałe wskutek bliskości gwiazdy.

- Kończę pierwsze okrążenie. W kabinie 38 stopni, na zewnątrz 4500; odległość od fotosfery: 5000 kilometrów; otarłem się o protuberancję; jak dotąd nie zauważyłem niczego podejrzanego.

Mineła godzina. W kabinie rufowej „Eridanusa” było spokojnie, ale czułem jak pot spływa mi po plecach. Tatari meldował regularnie. Po piętnastym okrążeniu odezwał się zdenerwowany:

- Szeffie, mam go! Widzę podłużny obiekt! Spróbuję go złapać.
- G.S.A. wziął ode mnie mikrofon.
- Niech pan spróbuję znaleźć się nad nim. Przyciąganie gwiazdy pomoże panu umocować chwytaki.
- Dobrze. Jestem nad nim... Już zupełnie blisko! No, mam go! W kabinie jest 45 stopni. Nie wytrzymam długo w tych warunkach.
- Zapadła cisza. Wszyscy zamarliśmy czekając na dalsze wiadomości. W końcu Tatari odezwał się znów:
- W porządku, wysłałem chwytaki. Cholera! Kabel robi się czerwony. Nic dziwnego, na zewnątrz jest pięć tysięcy stopni. Zakładam chwytaki. Próbuje... tylko trzy się zahaczyły... Trudno, mimo wszystko spróbuję go pociągnąć. Termometr wskazuje czterdzieści osiem stopni.
- Na ekranie zobaczyliśmy jak statek powoli zmienia orbitę na coraz dalszą od słońca Go i powraca w strefę korony.
- Już tylko dwadzieścia siedem stopni! Prawie mi zimno - zażartował Tatari. - Wciąż go trzymam. Przygotuję się na nasze przybycie. Proszę podać napoje chłodzące!
- Upewniłem się, że wszystko gotowe i poszedłem do służby nr 5, gdzie czekał już Xartroff. Operacja lądowania przebiegła bez zakłóceń i po chwili witałem już czerwonego na twarzy Tatariego, który wysiadał ze swego ruchomego pieca.
- No, jak się pan czuje? Ogrzewanie w porządku? - spytałem.
- Działa bez zarzutu, dziękuję. Ale bardzo się cieszę, że jestem już z powrotem.
- Nie miał pan kłopotów?
- Najtrudniej było dostrzec to cudo wśród protuberancji i wirów chromosfery. O ile zdołałem zauważyć, ma bardzo dziwny kształt. Jakby zbudowano go z płytek o ostrych krawędziach. Nie widziałem żadnych anten i nie sądzę, by był zdalnie sterowany.
- Dowiemy się tego. Na razie znajduje się w luku nr 3. Jak tylko przejdzie pan kontrolę lekarską, niech pan tam zajrzy. Przeprowadzimy wstępne badania obiektu.
- Na pierwszy rzut oka, satelita wyglądał dziwnie: metalicznie połyskujący krystaliczny graniastosłup z mnóstwem załamów i wyrzuteń, tworzonych przez mniejsze kryształy. Był w kolorze pirytowego mosiądzu. Piramidalne sześciany wieńczyły oba jego końce.
- G. S. A. był bardzo zadowolony. Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby mówił z takim ożywieniem.
- Ach, kapitanie, co za sukces! W końcu przenikniemy tajemnicę intraplozji. Mogę pana zapewnić o wdzięczności, jaka spotka pana ze strony Rady. Bez wątplenia po powrocie będzie miał pan prawo do nadzwyczajnego awansu w uznaniu zasług, jakie oddał pan naszej sprawie. Teraz już będę potrafił dowieść winy L2!
- To straszne, pomyślałem, dyskutować z kimś, kto wszystko już z góry uważa za przesądzone. Ogleżdziny satelity sprawią mu jednak niespodziankę. Obiecywałem sobie dołożyć wszelkich starań, by mój własny raport zneutralizował jego oskarżenie. W każdym razie nie powinienem zbyt wcześnie odkrywać kart. Odpowiedziałem więc wymijająco:
- Jego ekscelencja jest dla mnie zbyt łaskawy. Wypełniłem tylko obowiązek i pomagał mi w tym mój zastępca Xartroff. Niech pan o tym nie zapomina - ten sukces jest również jego dziełem!
- Oczywiście, oczywiście - przytaknął lekceważąco G. S. A. okazując całą pogardę, jaką zawsze żywił dla podwładnych. - Damy mu jakiś medal. Ale wracajmy do naszej zdobyczy. Czekałem na pana z niecierpliwością. Pańscy głupi astronauta nie chcieli nic zaczynać bez pana! Niech pan im każe to otworzyć!
- Mówił o naszej zdobyczy jakby to była puszką konserw.
- Dalej, Lemaire - wydałem rozkaz drugiemu zastępcy. - Niech pan spróbuję termicznym palnikiem.
- Mężczyzna w skafandrze zbliżył się do tajemniczego obiektu. Pociągnął za sobą G. S. A. do opancerzonej kabiny i przystąpili do działania.
- Szybko zdałem sobie sprawę, że sposób, w jaki chcieliśmy to otworzyć był po prostu śmieszny. Nieznany materiał, z którego był zbudowany satelita, wytrzymywał temperaturę dwudziestu tysięcy stopni.

Rozgrzał się do czerwoności pod połączonym płomieniem dwóch palników, ale to było wszystko. Jedy-
nym pozytywnym rezultatem było uzyskanie widma, które pozwoliło nam dokładnie poznać budowę
statku.

- Tak myślałem - zauważył G. S. A. - Aby taka maszyna mogła znajdować się w bezpośredniej bli-
skości gwiazdy, trzeba zapewnić jej dużą wytrzymałość termiczną. Muszę przyznać, że przekracza to
wszystkie nasze osiągnięcia w tej dziedzinie.

Wziął diagram, który podał mu Lemaine i powiedział:

- Tak... obiekt ten charakteryzuje niezwykle regularna repartycja atomów. Tak regularna, że przy-
wodzi na myśl budowę kryształu. Wszystkie atomy zorientowane są w tym samym kierunku, co nadaje
całości niezwykłą odporność na wysokie temperatury i sprawia, że jest bardzo trwały. Mam pewien
pomysł! Jeśli założyć, że jego wytrzymałość jest skutkiem budowy siatki krystalicznej, w której atomy
stykają się ze sobą, zamiast być oddalone na odległość kilku setnych angströma, to klasyczne metody
fizyczne nie dadzą żadnych rezultatów. Metody chemiczne wymagają zbyt wiele czasu, ale mineralo-
giczne powinny okazać się bardziej przydatne. Jeśli diament jest twardy, łatwo go można rozłupać. Z tą
substancją może być podobnie.

G. S. A. wziął pneumatyczny łom zakończony stalowym ostrzem i usiłował równolegle do powierz-
chni rozłupać jedną ze ścian. Jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Kawalek po kawałku, tak jak
się kroi owoce, odrywał cienkie łuski odsłaniając wewnątrz tajemniczego satelity. Dzięki Bogu, środki
ostrożności zostały zachowane i wszyscy, nawet Tatarzy, który właśnie do nas się przyłączył, ubrani byli
w kombinезony ochronne. Gdy tylko ukazało się wewnątrz obiektu, nasze liczniki Geigera jakby oszalały.
Skafandry z silikowanego ołowiu nie stanowiłyby na pewno dostatecznej ochrony.

Zbadane próbki potwierdziły nasze hipotezy. Wewnątrz statku pełne było californium i innych trans-
uranowców. Tajemniczy obiekt był katalizatorem reakcji zmieniającej cykl atomowy gwiazdy i powo-
dującej nagłą eksplozję.

Kiedy z powrotem znalazłem się w mojej kabinie na rufie, byłem uszczęśliwiony. Wreszcie skończy
się ta wyprawa! Musiałem tylko okazać się dyplomata wobec G. S. A. i udowodnić mu jego błędną ocenę
mutantów. Potem będę mógł mieć wakacje i trochę odpocząć. Och, nie planowałem nic szczególnego,
najwyżej jakaś mała wycieczka w stronę tropików. Podczas gdy ja będę smażył się na słońcu, G. S. A. i G.
S. F. poradzą sobie jakoś z ustaleniem, kiedy satelita został umieszczony na orbicie Go. A to z kolei,
byłem świecie przekonany, stanowi dowód niewinności L2. Trzeba będzie też wytłumaczyć braki
naszych własnych satelitów radarowych i teleskopów. To również nie należało do mnie! Poza tym... No
więc, jeśli Rada zdecyduje, że należy przeczesać wszystkie gwiazdy naszych kolonii, postaram się, by
przydzielono mnie do jakiegoś przyjemnego sektora. Do obszaru, gdzie pięć piękna nie musi nosić ska-
fandrow... Na jakąś tropikalną planetę, na przykład na Achernar 2.

Te miłe rozmyślenia przerwał mi zdyszany Xartroff.

- Kapitanie!... Przez radio udało nam się przechwycić ściśle tajny komunikat Najwyższej Rady, któ-
rego nie transmitowałem przez głośniki pokładowe.

- O co chodzi?

- Tubal uciekł z Ziemi. Udało mu się dotrzeć na Acnilam i wywołać bunt. Flota, która tam stacjonuje
przyłączyła się do niego. Rozpuścił plotkę, że L2 są odpowiedzialni za implozję. Wszystkie zbuntowane
statki skierowały się na α Cygni. Zmasakrują L2! P. R. N. Hagupian rozkazuje nam zatrzymać ich za
wszelką cenę. Flota Ziemską nie jest pewna.

- Na Thora! A ja narzekałem na nudę tej wyprawy. Teraz wszystko się zmieni! Xartroff, niech mi pan
poda stan tego przekłętego paliwa.

- Luki są zapełnione do jednej czwartej ładowności.

- A broń?

- W porządku! Wszystkie rakiety są sprawne.

- Proszę podać pozycję wroga.

- 38° Nadir 24° na wschód od Acnilam.

- Kurs na α Cygni. Musimy ich wyprzedzić i zatrzymać.

- Tak jest, kapitanie!

... 1000 100 1000 100

- Proszę wydać rozkaz gotowości bojowej dla wszystkich statków. Ludzi na razie nie informować.
Czy jest pan pewien załogi?

- Wszyscy są lojalni. Także dowódcy. Dają za to głowy. Wszyscy pana posłuchają. Tylko G. S. A...

- Zajmie się nim. Niech pan już idzie, Xartroff.

Odszedł natychmiast. Dzielnego faceta!

W tej całej sprawie tylko jedno mi się nie podobało. Mieliśmy na pokładzie dowód niewinności L2 i nie wolno było dopuścić, by wpadł w ręce rebeliantów. Na szczęście nie meldowałem jeszcze o wynikach misji. Jakakolwiek wiadomość zdradziłaby moją pozycję. Co teraz należało zrobić? Przenieść satelitę na szybki statek patrolowy, czy też mieć go dalej na pokładzie? Woląłem to drugie rozwiązanie. Nie mogłem pozbawiać się żadnego z moich statków ani ryzykować, że wpadnie w ręce buntowników w czasie powrotnego lotu na Ziemi. Po prostu nie mogłem narażać zbytnio „Eridanusa” na niebezpieczeństwo. Miałem także drugi krążownik „Jaffe”, dowodzony przez Zolida, któremu w pełni ufałem. Reszta mojej floty składała się ze statków patrolowych. W sumie osiem jednostek, z których jeden – „Stratus” krążył w pobliżu planety L2. Nie było to wiele. Jedyńm moim atutem była szybkość i musiałem to wykorzystać. Skoro buntownicy zmierzają w kierunku α Cygni trzeba przybyć tam przed nimi i wciągnąć w zasadzkę okręty Tubala. Ile ich było naprawdę? Spytałem trzeciego zastępcę odpowiedzialnego za mirowzję:

- Niech mi pan powie, Nozal, jaki jest skład floty Tubala?

- G. S. F. Tubal i wiceadmirał Tedar znajdują się na pancerniku „Elvas”. Towarzyszy im sześć lub siedem mniejszych statków, lekki krążownik „Trastor” i patrolowce.

- Dziękuję, Nozal, niech pan zatrzyma przy sobie tę informację.

- Może pan być spokojny, kapitanie.

Dobrze, pomyślałem sobie, najgorszy ten pancernik. Jeśli uda się ich zaskoczyć i wpakować im kilka atomowych pocisków, to wszystko będzie dobrze. Inaczej już mogę zacząć pisać testament.

Znów rozjaśnił się ekran mirowizji. Tym razem ukazał się na nim Lemaïne.

- Kapitanie, przepraszam, że przeszkadzam. Chciałem zapytać czy prosił pan G. S. A. o wypowiedź przez pokładowy radiowezel.

- Skądże znowu!

- Powiedział, że ma pańskie pozwolenie. W tej chwili przemawia do załogi.

- Do diabła! – zakląłem. – Co on takiego plecie?

- Mówi, że powinniśmy kontynuować tak dobrze rozpoczętą misję i zniszczyć raz na zawsze wszystkich L2, którzy są sprawcami intraplozji.

- A to zaraza!

Pobiegłem pędem do kabiny łączności. Wezwałem po drodze kilku astronautów, tak że kiedy przybyliśmy na miejsce było nas dziesięciu, w tym dwóch uzbrojonych strażników. Przede wszystkim wyłączyłem mikrofon i czerwony ze złości zwróciłem się do G.S.A.

- Jakim prawem opowiada pan brednie moim ludziom? – wrzasnąłem.

- Spokojnie, kapitanie! Zapomina pan, do kogo mówi! Nie opowiadam bredni, tylko czystą prawdę. L2 są odpowiedzialni za intraplozję. Tubal postanowił zniszczyć ten przeklęty gatunek. Informuje o tym załogę, to wszystko!

- Aha, informuje pan! No to niech pan przyjmie do wiadomości, że dopóki żyje, będę jedynym dowódcą na tym statku! I żaden Główny Specjalista nie może odbierać mi moich praw! Nie pozwolę, by opowiadał pan kłamstwa załodze. Nic nie dowodzi winy L2. Wręcz przeciwnie, odkrycie satelity Go ich uniewinnia. Już od dość dawna krążył wokół tej gwiazdy. Dużo wcześniej, nim pierwszy L2 narodził się na Ziemi. Jest pan po prostu buntownikiem, tak jak Tubal, który miesza się do wszystkiego, co go nie dotyczy. Niech pan sobie dobrze zapamięta, co teraz powiem: jedynym moim dowódcą jest P.R.N. Hagupian! Tylko on może wydawać mi rozkazy, on i admirał Xenlee... Zobaczysz pan, co to znaczy namawiać do buntu statek Ziemskiej Floty!

Zwróciłem się do dwóch strażników:

- Covery i Stractor, zamknijcie go i całą jego świtę! Postawcie straż pod drzwiami. Nikomu nie wolno tam wejść z wyjątkiem mnie i mojego zastępcy.

- Nie ośmieli się pan... – wykrztusił G.S.A.

– Jest mi bardzo przykro! Dalej, zabierajcie go stąd, a gdyby się opierał dajcie mu zastrzyk, to go uspokoi!

Astronauci wypełnili mój rozkaz. Protesty oburzonego G.S.A. cichły powoli w korytarzu. Dzięki Bogu, ludzie byli mi wierni i dyscyplina zwyciężyła. Członkowie załogi nie podzielali poglądów Tubala i jemu podobnych. Gdyby to L2 byli sprawcami intraplozji, musieliby pojawić się przed rokiem 3805, gdy G.I.S. Terfill usłyszał o nich po raz pierwszy. Należałoby więc przyjąć, że wiele rodzin ukrywało ich istnienie póki nie dorosli. Hipoteza ta była nieprawdopodobna! Tymczasem jednak trzeba przykładowo ukarać oficera łączności.

– Jeśli o pana chodzi, Lemaine, to do aresztu, aż do nowego rozkazu! Zrozumie pan, co znaczy zapominać o swoich obowiązkach.

Nieco uspokojony tym stanowczym załatwieniem sprawy, sięgnąłem po mikrofon.

– Chłopcy, mówi do was kapitan Blossow. Zgraja rebeliantów wszczęła bunt przeciwko legalnej władzy. Nawet tu jeden z członków Rady podlegał do niego. Chce was przeciwstawić dowódcom i wywołać zamieszanie! To hańba dla G.S.A., który powinien czuć się odpowiedzialny za utrzymanie porządku. Oficerowie i astronauta wszystkich stopni – potrzebuje waszej pomocy. Szliście ze mną bez szemrania przez całą Galaktykę i zawsze mieliście do mnie zaufanie. I teraz proszę, byście je nadal mieli, byście pozostali wierni mnie i naszemu dowódcy – Przewodniczącemu Rady Najwyższej Hagupianowi. Otrzymałem od niego rozkaz, by przeciąć drogę szaleńcom, którzy zamierzają uderzyć na α Cygni, i by w razie potrzeby nawet użyć siły. Astronauci, łączą nas z nimi braterstwo broni, ale teraz stanowią oni groźbę dla pokoju. Dokąd doszlibyśmy, gdyby każdy członek Rady budował własne gwiazdne państwo? Nasza flota zostałaby rozbita, nasze siły rozproszone, nasze źródła surowców niepewne. Czym stalibyśmy się, gdyby wtedy zaatakował nas jakiś potężny wróg? Oficerowie i astronauta, wierze, że spełnicie swój obowiązek, że pozostając wierni nadal będziecie wykonywać moje rozkazy!

Gdy skończyłem mówić i odłożyłem mikrofon, Xartroff zapewnił:

– Kapitanie, ma pan poparcie wszystkich oficerów. Ludzie cieszą się, że G.S.A. znalazł się pod kluczem. Nie mogli go znieść! Pańskie słowa spotkały się z dużym aplauzem. Jeśli chodzi o tego biednego Lemaine, to nie sądzę, by był winny. Dowiódł raczej braku czujności, nie złych zamiarów.

– Niech pan się nie obawia, nie uważam go za buntownika. Trzeba było dać przykład, by pokazać załodze, że w każdych warunkach jestem jedynym dowódcą na tym statku. Teraz musimy tylko sprostać zadaniu. Co by pan powiedział o małej potyczce z jakimś pancernikiem, Xartroff?

IV. G.S.F. Tubal

Tymczasem w Galaxii miały miejsce dramatyczne wydarzenia. W kilka dni po pamiętnym posiedzeniu Rady, na którym P.R.N. Hagupian zaaresztował Tubala, żywa reakcja środowiska naukowców zmusiła go do uwolnienia więźnia. Na skutek sabotażu techników fizyki i chemii trzyletni plan został poważnie zagrożony. Na szczęście, kierownicy działów biologicznych popierali bez zastrzeżeń politykę Rady. Saruka, Terfill i Notum za żadną cenę nie chcieli dopuścić do zagłady mutantów. Wygnanie L2 powinno wystarczyć dla zapewnienia bezpieczeństwa na Ziemi, a ich zalety moralne i intelektualne wykluczały, by pewnego dnia mogli zwrócić się przeciwko gatunkowi Sapiens. Masowa deportacja ułatwiła stworzenie nowej, rozwijającej się dynamicznie cywilizacji. α Cygni była wystarczająco daleko, by jej mieszkańcy nie mieli o co współzawodniczyć z Ziemianami.

Armia pozostawała nieświadoma całej sytuacji. Od kiedy na Ziemi przestano prowadzić wojny, odgrywała rolę drugorzędna, zabezpieczając garnizony na odległych planetach i ochraniając kolonizatorów przed będącymi często na niskim stopniu rozwoju krwiożerczymi autochtonami. Flota natomiast, po zjednoczeniu lotnictwa i marynarki zdobyła sobie dość duże wpływy.

Najwyższa Rada dysponowała wieloma jednostkami. Trzy czwarte całej floty stanowiły jednak patrolowce. Kilka wyposażonych w torpedy dezintegrujące, zaprojektowanych zarówno do rejsów w głębinach oceanów jak i w próżni międzygwiazdnej, miało te zalety, że dzięki swej lekkości mogły osiągać w przestrzeni stosunkowo dużą prędkość. Zarzucano im natomiast, że nie były

samowystarczalne energetycznie. Mimo to jednak okręty te przemierzały Drogę Mleczną we wszystkich kierunkach.

Krażowniki i pancerniki, a więc okręty, które miały stawić czoło ewentualnym najeźdźcom, stacjonowały w Galaxii i rzadko oddalały się od Ziemi. Ich potężne silniki zbudowane w oparciu o zasadę dyslokacji molekularnej łatwo mogły unicestwić całą planetę. Ponieważ na obszarze Galaktyki panował spokój, nie używano ich już od dawna.

Dowódcą Ziemskiej Floty był Admirał Xenlee, weteran z czasów ostatnich ziemskich konfliktów międzynarodowych. Bezczytność, na którą był z konieczności skazany sprawiła, że przedkładał teraz przyjemności Galaxii nad nudę lotów ćwiczebnych. Podczas wielkich dorocznych manewrów przekazywał dowództwo w ręce wiceadmirala Skija z floty metropolitalnej lub wiceadmirala Tedara – szefa straży galaktycznej i polegał na nich całkowicie. Niestety, na wspaniałą Ziemską Flotę nie można było liczyć...

Kiedy Tubal uciekł, znalazł poparcie wśród mieszkańców Acnilamu. Stacjonujący na tej planecie wiceadmiral Tedar udzielił mu pomocy. Tedar, który pochodził z odległej konstelacji nie darzył sympatią mutantów. Obawiał się, że L2 będą usiłowali pozbawić kolonistów z wielkim trudem zdobytych bogactw. Mając poparcie floty całego sektora obaj wystąpili przeciwko Radzie, której członkom odmówili wyobraźni i rozsądku, zarzucając im starcze zdziecinnienie.

Plan całej akcji był prosty: wykorzystując powszechnie znaną opieszałość Xenlee, trzeba zaatakować planetę zamieszkałą przez L2. Podczas gdy „stary ramol” będzie usiłował pertraktować, oni uzyskają poparcie planet zewnętrznych, które od dawna pragną niezależności i powrócą na Ziemię. Wybuchnie wojna. Tubal miał nadzieję, że bez jednego wystrzału obali P.R.N. i będzie mógł ogłosić się Tymczasowym Gubernatorem Systemu Słonecznego. Zdaniem buntowników, część Floty Ziemskiej która pozostałaby wierna dawnym dowódcom, zawaha się, czy strzelać do wczorajszych jeszcze towarzyszy broni. Być może nawet przyłączy się do nich, by uniknąć bratobójczej walki.

Tak wyglądała sytuacja w dwa dni po odlocie Tubala z Galaxii. Flota rebeliantów ze wspaniałym pancernikiem „Elvas” na czele leciała w stronę α Cygni. Ogromny okręt, wielki jak niektóre planetoidy, porażał swą fantastyczną potęgą. Wieżyczki, którymi najeżona była jego kulista powierzchnia sprawiały, że przypominał nieco starożytny bunkier. G.S.F. Tubal siedząc wygodnie w komfortowo urządzonej kabinie rozmawiał z W.A. Tedarem.

– Czy nie możemy trochę przyspieszyć, W.A.?

– Jaki pan jest uparty G.S.F.! Już sto razy mówiłem panu, że taki okręt jak „Elvas” nie może posuwać się z prędkością ścigacza! Niech mi pan wierzy... Główny Mechanik twierdzi, że jeśli dalej będziemy tak lecieli, czeka nas katastrofa. Bardzo chciałbym znaleźć się jak najszybciej blisko α Cygni, ale musiałem wydać rozkaz zmniejszenia prędkości...

– Co?! Zmniejszyliśmy prędkość?! Kiedy więc dotrzemy do celu?...

– Spodziewałem się takiej reakcji z pańskiej strony. Niech się pan tak nie spieszy, do diaska! Znajdujemy się w wystarczającej odległości od Ziemi, byśmy nie musieli niczego się obawiać. Trzy czwarte okrętów stacjonujących w Galaxii jest rozbrojonych, a znam dość dobrze Xenlee, by dać głowę, że w tej chwili w magazynach broni panuje straszliwy bałagan. Hagupian na pewno nie będzie chciał pozbyć się swoich statków, skoro na Ziemi odbywają się demonstracje naszych zwolenników.

– Jest pan zupełnie pewien, że nikt nas nie ściga?

– Ależ pan jest nerwowo! A któż mógłby nas ścigać? Na Acnilamie jesteśmy panami sytuacji, gubernator Boron popiera naszą sprawę. Od chwili startu nie sygnalizował żadnego statku w swoim sektorze. Radary również nie wskazują żadnego niebezpieczeństwa. Niech się pan zastanowi, na Syriusz! Znam zadania wszystkich jednostek floty. W tych okolicach jest ich zaledwie kilka, dowodzonych przez ludzi, za których daję głowę. Nie mamy się czego obawiać z ich strony...

– A flota Blossowa?

– Ach, o to panu chodzi! Bóg jeden wie, gdzie on teraz jest. Z ostatnich informacji wynika, że znajdowali się daleko stąd, poszukując nie wiadomo jakich hipotetycznych wrogów. Poza tym na pokładzie statku Blossowa jest G.S.A., który przecież popiera nasz plan.

- Oczywiście, Ocosow zawsze był po naszej stronie, ale ten Blossow... Co pan o nim myśli? Czy nie powinniśmy założyć, że zaatakuje nasze jednostki, jeśli znajdzie się w pobliżu?

- Cóż, Blossow to oportunista i podlizywał się Hagupianowi, dopóki ten miał władzę. Nic nie wskazuje, że poprze go również, gdy tamten da nogę.

- Bezsensowne rozważania, mój drogi W.A. Sądze, że mimo wszystko należy brać pod uwagę możliwość oporu z jego strony. Czy dowodzi dużą eskadrą?

- Nie, zgodnie z informacjami, które otrzymałem z Ziemi, ma tylko lekkie krążowniki, bardziej przydatne do eksploracji niż do walki. Niech mi pan wierzy, zniszcze go jednym ruchem, jeżeli przyjdzie mu do głowy nas zaatakować.

G.S.F. trochę uspokojony przestał wysuwać zastrzeżenia. Mógł przecież zaufać Tedarowi, który w razie czego potrafił podjąć szybką decyzję. Plotki krążące mówiły, że można mu zarzucić tylko jedno: jak wielu oficerów z klasycznej szkoły zbyt chętnie opierał się na przestarzałych już podręcznikach taktyki wojennej.

- Nie będę pana tym dłużej zanudzał. Pomówmy raczej o przyszłości – zaproponował pojednawczo Tubal.

- Najważniejsze w najbliższym czasie to nie stracić kontaktu z naszymi zwolennikami na Ziemi. Proponuję wysłać im wiadomość zaraz po zakończeniu misji. Żeby się tylko udało obalić Hagupiana!

- Widzi pan, myślę, że zdobędziemy sobie duży szacunek, kiedy wrócimy w aureoli zwycięzców. Wielu malkontentów sądzi, że Rada po prostu śpi. Ziemia potrzebuje reformatorów, nowych idei i wielu ludzi poprze naszą sprawę... I tak trzeba będzie nadzorować bezpośrednio wszystkie skolonizowane planety. Pewnego dnia odłączą się od nas, by stanąć na własnych nogach. A wówczas żegnaj bogactwo, żegnaj obfitości! Ziemia zostanie sama, jak stary wysuszony kamień. Już teraz na Acnilamie koloniści wykorzystali pierwszą lepszą okazję, w tym wypadku nas. Ale jeśli w ten sposób chcą uzyskać niezależność, to grubo się mylą!

- To niestety smutna prawda! Trzeba jak najszybciej wzmocnić tam władzę. Nasza flota powinna być o wiele liczniejsza. Trzeba zacząć budować nowe okręty, zwiększyć ilość pancerników, wzmocnić bazę. Działać tak, by żadna inna planeta, niezależnie od swych zasobów nie mogła zdobyć przewagi. I niech pan nie sądzi, że myślę egoistycznie tylko o flocie. Armia lądowa również powinna być silniejsza, trzeba podwoić wszystkie garnizony. Przyszłość należy do nas! Z pomocą techników nauk fizyko-chemicznych wyeliminujemy konserwatywne elementy reprezentowane przez przedstawicieli nauk biologicznych... Oni nie mają znaczenia!

- Potrafi pan mówić! A gdybyśmy tak przedyskutowali plan operacji? Proszę nie mieć mi tego za złe, wie pan przecież, że całkowicie na nim polegam.

- Mam zamiar otoczyć α Cygni naszymi jednostkami patrolowymi. Jeśli stacjonują tam jakieś bojowe jednostki kosmiczne, chociaż zdaje się, że mają tylko jeden patrolowiec, to albo poddadzą się albo też będą próbowali ucieczki. Wówczas będziemy po prostu strzelać jak do kaczek. Zaczaimy się na nich ukryci na α Cygni 3 i nasze okręty wybiją ich do nogi. Potem patrolowce oddalą się od planety i wyślemy tam kilka pocisków z głowicami atomowymi, które spowodują reakcję łańcuchową w oceanach. Wówczas powstanie nowy pas asteroidów takich jak te, które krążą wokół naszego Słońca. Pozbedziemy się L2!

- Wspaniały plan! Na kiedy przewiduje pan te fajerwerki?

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za trzy ziemskie dni, G.S.F.

Kabina pilota na „Elvasie” była cała wyłożona ekranami radarów i mirowizorów dających panoramiczny obraz przestrzeni w zasięgu wielu parseków. Było tu również najnowsze, najdoskonalsze urządzenie Ziemskiej Floty: mózg elektronowy koordynujący automatyczny system prowadzenia ognia. Z absolutną dokładnością dostarczał on informacji o położeniu, kącie kursowym i szybkości celu w odległości od dwóch parseków, sterował odpaleniem pocisków raketowych i dyslokatorów molekularnych. Ta nieomylna broń, w którą wyposażone były tylko pancerniki, potrzebowała ogromnych ilości energii. Ale każdy wykryty cel osiągany był z absolutną pewnością. Człowiek interweniował tylko jako „naciśkający guzik”. Astronauta był obecnie bardziej wyspecjalizowanym inżynierem, zdolnym naprawić w rekordowym czasie uszkodzone obwody czy urządzenia elektroniczne, niż żołnierzem. Nie brał bezpo-

średniego udziału w walce, z której niewiele tylko mógł zobaczyć, wszystko odbywało się zbyt szybko...

Po zredukowaniu prędkości okrętu W.A. Tedar nie ryzykował już więcej przeciążenia silników. Trzy dni później niż planowano, rozpoczęły się przygotowania do walki. Dowódca przypięty pasami do fote-la przyjmował meldunki poszczególnych sekcji.

- Tu radar: puste pole widzenia, cel w odległości miliona kilometrów.
- Zbliżamy się - powiedział zwracając się do siedzącego obok G.S.F. - Przygotowuję się do wejścia na orbitę satelitarną wokół α Cygni 2. Kapitanie Manoch, tu wiceadmiral, proszę wydać rozkaz wejścia na orbitę satelitarną po nocnej stronie α Cygni 2. Wysokość: osiem tysięcy kilometrów.

- Tak jest admirał!
- Do sekcji radarowej: okręt patrolowy w odległości 50 000 kilometrów od czwartej planety układu. Nawiązać kontakt radiowy i przekazać do mnie.

- Sekcja radiowa: mamy łączność. To „Stratus”.
- Wiceadmiral Tedar do dowódcy patrolowca „Stratus”. Przyłączcie się do nas. Zniszczymy czwartą planetę.

- Tu „Stratus”. Czy to jest rozkaz od P.R.N. Hagupiana?
- G.S.F. Tubal jest na pokładzie. To wystarczy.
- Mamy rozkaz ochraniać L2. Zawracajcie!
- Żartuje pan! Powtarzam, tu wiceadmiral Tedar. Wykonać rozkaz! Nie macie wyboru! Jestem na czele potężnej eskadry, „Stratus” nie wyjdzie z tego cało.

- Odmawiamy przyłączenia się do was. Jeśli się zbliżycie otworzymy ogień.
- Idioci! Ja im powiem! - wrzasnął Tubal wrywając mikrofon z rąk Tedara.
- Niech pan spróbuje!
- Mówi do was G.S.F. Tubal. L2 wywołują intraplozję. Te jadowite węże muszą być zniszczone! Mamy poparcie całej floty. Bądźcie rozsądni!

- NIE.
- Sami tego chcieli! Głupcy! - rozżłościł się Tedar.
- Do sekcji radarów: okręty patrolowe wchodzą w obszar cienia czwartej planety. Uwaga, przygotować się do strzału. Zniszczyć obiekt!

Na świecącym ekranie komputera cyfry zmieniały się z błyskawiczną szybkością. A przecież i tak były opóźnione w stosunku do prędkości działania urządzenia, o wiele sprawniejszego niż ludzki mózg:

- NACHYLENIE 73° W LEWO - 60° ZENIT - POZYCJA 335 - ODLEGŁOŚĆ 7000 KM - POZYCJA STOP! - CEL - CEL

Tedar gotów był już wdusić przycisk spustu, gdy nagle usłyszał okrzyk Głównego Nawigatora.
- Uwaga, miny w odległości 700 km! Za czwartą planetą jednostki w zasadzce!

Fala ognia eksplodujących min termicznych ogarnęła statek. Tedar w bojowym skafandrze ochronnym poczuł jak rozgnięta go gigantyczna pieść. Ze strasliwym hukiem powietrze uchodziło ze statku przez rozłupane ściany. Kadłub potwora topił się jak wosk zatykając otwory wyrzutni, niszcząc anteny, blokując lufy dział.

Wewnątrz statku żar był nie do zniesienia. Tylko do kabiny, w samym środku krawężnika, w której znajdowały się generatory, nie dotarła jeszcze fala eksplozji. Angolini, oficer dyżurny uratował się, przyparty do plastikowego przepierzenia. Próbował nawiązać łączność ze stanowiskiem dowodzenia, ale na próżno. „Elvas” był śmiertelnie ranny. Nikt nie odpowiadał. Angolini bezskutecznie próbował połączyć się z innymi stanowiskami.

Przeżarty myślą, że tylko on przeżył katastrofę, jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran działającego wciąż radaru, który dawał cześciowy obraz otaczającej statek przestrzeni. Był to przynębiający widok. Dookoła resztki krawężników i statków patrolowych czerwieniały w deszczu min. Cała eskadra Tedara wpadła w diabelską pułapkę.

Prawie nieprzytomny Angolini nie mógł oderwać wzroku od tego spektaklu. Był jak sparaliżowany. Nagle w słuchawkach astronauty odezwał się zduszony głos.

Angolini nie wierzył własnym oczom, widząc wylaniającą się spośród szczątków korytarza sylwetkę.

– Czy silniki jeszcze działają? – spytał Tedar.

Angolini nie spojrzał dotąd na tarcze kontrolne. Oślupiały oczyścił teraz pulpit.

– Trzeci zespół jest nie uszkodzony, admirale!

– No to trzeba stąd wiać i to szybko! Kierunek na drugą planetę układu.

„Elvas” jak ranne zwierzę znów ruszył naprzód. Kilometr po kilometrze włókł się w stronę małej, błyszczącej w oddali planety.

– Silnik się grzeje, admirale.

– Mam to w nosie! Co pan chce zrobić?

– Pan krwawi, czy jest pan ranny?

– To tylko zadrapanie! Niech pan weźmie drugie stery. Czy jest łączność z kabiną pilota?

– Nie, wszystko wysiadło.

– Musi więc pan polegać na tym ekranie. Niech pan pilotuje według tego, co widać.

– Koordynator lotu nie działa.

– Pomogę panu. Druga planeta układu jest nie zamieszkała. Ma atmosferę, która nadaje się do oddychania. To nasza jedyna szansa...

– Odległość 25 000 kilometrów.

– Trzeba wejść na orbitę eliptyczną. Zrobimy z dziesięć okrążeń. Mam nadzieję, że górna warstwa atmosfery wyhamują nas dostatecznie.

– Sprawdziłem prety sterujące stosu. Jeśli dalej będzie się tak grzać, wylecimy w powietrze!

– Radar działa?

– Tak. Zbliżamy się. Czy na tej planecie jest wiele kontynentów?

– Kilka, jeśli dobrze pamiętam. Klimat jest bardzo ciepły, ale nie ma tam kolonii Ziemi.

– Dobijamy. Termometry kadłuba, przynajmniej te, które się dotąd nie stopiły, wskazują temperaturę 3500 stopni!

– Zwiększyć promień skrętu, schodzimy za szybko!

– Spróbuj użyć chemicznych silników pomocniczych...

– Och bogini! Dałem się zaskoczyć jak nowicjusz. Blossow, to mógł być tylko on! Ukrył statki w stożku cienia planety i ustawił miny dokładnie na naszej drodze. Cała moja flota jest zniszczona! Co za kłeska...

Porozrywanym kadłubem „Elvasa” wstrząsnęła jeszcze jedna druzgocąca eksplozja.

– Na Boga! – krzyknął Angolini. – Wybuchnęły dwie lampy elektronowe. Działają już tylko cztery. Nic dziwnego, miny stopiły kadłub i zatkały wszystkie otwory.

– Trudno... Zostało tylko osiem tysięcy metrów, a kadłub nie grzeje się za bardzo.

– Tak, ale nie mamy już prawie paliwa do silników pomocniczych. Jak wylądujemy?!

– Zastanawiam się, jak ten szatański Blossow mógł tu tak szybko przylecieć! Nie mieliśmy nawet dość czasu by wystrzelić. Zanim zainkasowaliśmy naszą porcję zobaczyłem jak „Trastos” eksploduje, a patrolowce... Lepiej nie myśleć.

– Admirale, niech pan spojrzy, morze tylko sto metrów pod nami! Schodzimy bardzo szybko!

– Niech pan spróbuj zwiększyć wysokość.

– Jak?

– Jeśli dotkniemy kadłubem wody, wylecimy w powietrze!

– Niech pan patrzy, ziemia!

– Całe szczęście! Czy jest jeszcze trochę paliwa do silników pomocniczych?

– Tak. Gdzie mam lądować? Ziemia pokryta jest gęstą roślinnością.

– Miejmy nadzieję, że to zamortyzuje upadek.

– Uwaga, niech pan się trzyma, schodzę...

Z przeraźliwym traskiem potężny „Elvas”, chluba całej Floty, pozbawił setkę drzew koron i zarył się w ziemię wzniciając tumany pyłu. O kilkadziesiąt metrów od rzeki zatrzymały go ogromne pnie. Zaległa śmiertelna cisza.

Kłęby czarnego dymu, które wiatr rozwiewał po niebie, znaczyły miejsce upadku „Elvasa”.

Na statku panowały nieprzeniknione ciemności. Cisze przerywał świst gazu wydobywającego się z popekanych przewodów i kapanie kropel z przedziurawionych zbiorników.

W kabinie pilota wiceadmirał Tedar wracał do przytomności. Otworzył oczy i powoli usiadł. Pozostał tak przez chwilę obawiając się, że stracił wzrok. Z trudem sięgnął ręką do hełmu i włączył reflektor. Skąpe światło ukazało ponury widok. Na podłodze wały się szczątki tarcz i ekranów kontrolnych. Porozrywane przewody i pogięte płyty stropowe sterczały wszędzie dookoła. Tedar z trudem odpiął pasy, którymi przypięty był do fotela i wstał rozglądając się uważnie. W rogu kabiny leżał Angolini w spłaszczonym hełmie na głowie. Od śmierci uchroniła go jedna z metalowych płyt łagodząc siłę uderzenia. Miał tylko dość głęboko przeciętą skórę na skroni. Krew zalała mu twarz. Jęczał cicho.

Admirał zlustrował pomieszczenie, szukając apteczki, która powinna znajdować się w każdej kabinie statku. Znalazł ją na podłodze pod stosem popłatanych taśm dokumentacji. Zdjął Angolinemu hełm i posypał ranę proszkiem hemostatycznym. Prawie natychmiast krew przestała płynąć. Spostrzegłszy pudełko z napisem „środek przeciwszokowy” wziął jeden ze znajdujących się w nim cylindrów i wstrzyknął zawartość pod skórę na szyi Angoliniego. Cienki strumień leku pod dużym ciśnieniem nie zostawił śladu, ale jego zbawienne skutki dały się szybko zauważyć.

Powracając do świadomości Angolini wyjął:

– ...lądownic... uwaga, ziemia się zbliża...

Po chwili wyprostował się i zapytał już przytomnie:

– Gdzie ja jestem? Dlaczego tu tak ciemno?

– Jesteś na „Elvasie”, mój drogi, a przynajmniej na tym, co z niego zostało.

– Ach, przypominam sobie! Pan jest wiceadmirałem Tedarem, a nasz statek się rozbił przy lądowaniu. Czy ktoś jeszcze się uratował?

– Prawdopodobnie. Pójdę sprawdzić. Czy pan czuje się już dość dobrze, by iść ze mną?

– Nie wiem, spróbuje...

Tedar wziął go pod rękę i podniósł jak piórko.

– Och! – jęknął Angolini. – Nogi mam jak z waty...

– Nic dziwnego, dostał pan przepięknie po karku.

– Poza tym czuje się dobrze. Zdejmę hełm, w tym stanie nie na wiele już się przyda. – Z pomocą wiceadmirała odczepił górną część skafandra. – Sporo mu zawdzięczam.

– Rzeczywiście.

– No dobrze, chodźmy! Czy spotkał pan innych członków załogi zanim mnie pan tu znalazł?

– Nikogo z żyjących. Korytarze były tak nagrzane, że wszyscy, których widziałem, spalili się żywcem. Ja przeżyłem, bo pasy którymi byłem przypięty do fotela, nie puściły. Podczas ostrego hamowania inni członkowie załogi zostali wciśnięci w ściany, a ci którzy znajdowali się blisko kadłuba spłoneli żywcem. Tylko G. S. F. przymocowany do fotela tak jak ja, powinien przetrwać katastrofę. Kiedy go zostawiłem, nie ruszał się, ale nie wyglądał na rannego. Trzeba zobaczyć co się z nim dzieje.

– Weźmy ze sobą apteczkę, na pewno okaże się potrzebna.

Dwaj mężczyźni z trudem torowali sobie drogę pośród resztek rozbitego statku. Po przejściu jakichś dziesięciu metrów Angolini raptem zatrzymał się.

– Niech pan posłucha – powiedział. – Słyszę jakby ciche, szepczący głos.

Tedar nasłuchiwał przez chwilę.

– Jest pan tego pewien?

– Tak! Nie wiem co ten głos... próbuje zrozumieć...

– Z której strony dochodzi?

– Zewsząd dookoła.

– Staram się, ale nie słyszę nic. To musi być jakiś płyn, który kapie z pękniętego przewodu.

Angolini szedł jak we śnie.

– A oto i G.S.F.! – wykrzyknął Tedar. – Nie ruszył się od czasu, gdy go zostawiłem. Angolini, niech mi pan pomoże!

Ale ten jakby nie słyszał. Stał oparty o przepierzenie i martwym wzrokiem obserwował rozgrywającą się scenę...

- Na Syriusza! Co mu się znów stało?! Pewnie to przez ten szok! Mam nadzieję, że mu przejdzie.

Nie zajmując się więcej Angolinim, Tedar zaczął wydobywać G.S.F. z jego fotela. Zablockowane podczas lądowania pasy nie chciały się rozpiąć. Trzeba było odciąć je pistoletem termicznym. Śledzony pustym spojrzeniem Angoliniego położył G.S.F. na podłodze.

- Nie można go zbadać. Trzeba by mu rozciąć skafander. Trudno, zdejmę hełm i zrobię mu zastrzyk. Zobaczmy co to da...

Po kilku minutach pacjent poruszył się nieznacznie.

- To znakomite lekarstwo - stwierdził Tedar widząc, jak G.S.F. siada odzyskując przytomność. - Jak się miewasz, stary?

- Gdzie ja jestem?...

- Cały czas na pokładzie tej samej łajby, tyle że teraz już na ziemi, a nie w kosmosie.

- Jesteśmy z powrotem na Ziemi?

- Niestety nie! „Elvas” został poważnie uszkodzony przez Blossowa, który nie zawahał się i otworzył do nas ogień. Mimo to udało nam się dolecieć na drugą planetę α Cygni i wylądować tu szczęśliwie.

- A co się stało z innymi statkami?

- „Trastos” eksplodował, nic z niego nie zostało. Kilku patrolowcom może udało się uratować. Nie mam żadnych informacji. Zresztą radio jest zniszczone.

- To katastrofa! Wszystkie nasze plany wzięły w łeb. Co my zrobimy? Czy tylko myśmy zostali?

- Jest też mechanik Angolini. To on dopilotował nas tutaj. Wszyscy inni nie żyją.

- Gratuluje, mój stary!

Angolini nic nie odpowiedział.

- Nie wiem co mu jest - powiedział cicho Tedar - przed chwilą twierdził, że słyszy jakieś szepty...

- Może ktoś uratował się w jednej z kabin?

- Pójdziemy sprawdzić. W każdym razie nie ma co tutaj siedzieć. Ryzykujemy, że Blossow nas znajdzie. Proponuję zbadać wrak. Mam nadzieję, że znajdziemy jakiś sprawny nadajnik. Jak tylko będziemy go mieli, spróbujemy skontaktować się z jednym z naszych statków, jeżeli jeszcze jakiś krąży w tej okolicy.

Trzej mężczyźni zbadali statek kabiną po kabinie. Wszędzie było to samo: załoga przygnieciona do ścian, drzwi pootwierane, korytarze zrujnowane, wszystkie urządzenia zniszczone. Angolini siedział za Tedaem i Tubalem nie pomagając im jednak w poszukiwaniach. Ograniczał się tylko do powtarzania, że słyszy szepty, przyjazne, wołające głosy.

W końcu dotarli do kabiny łączności, zniszczonej jak gdyby szalał w niej potężny cyklon. Ogromne odbiorniki fal przyspieszanych pozwalające na komunikację w obrebie całej Galaktyki stały teraz nieczynne, nie nadające się do użytku. Znaleźli tylko jeden sprawny, przenośny aparat. Model ten, przeznaczony dla ekip lądujących, miał zasięg pięciuset tysięcy kilometrów. Zebrali następnie broń i zapasy. Musieli teraz wydostać się ze statku. Kiedy Tedar nacisnął jedną z dźwigni służowych okazało się jednak, że wyjście jest zablokowane. Drzwi powyginane przez gorąco i do połowy stopione nie chciały się otworzyć.

- A gdybyśmy spróbowali palnikiem? - zaproponował Tubal.

- Też coś! Pancierz ma czterdzieści centymetrów grubości. Trzeba by tygodnia, żeby z naszym wyposażeniem zrobić w nim najmniejszą dziurę.

- No to jesteśmy zgubieni.

- Zawsze taki sam z pana pesymista, G.S.F.! Może uda się nam wyjść przez dziób rozbity podczas lądowania.

Musieli wyslizgnąć się przez wąską szczelinę. Wiceadmirał próbował wiele razy, nim w końcu udało mu się wydostać. Jego tęga postać z trudem przecisnęła się przez trzydziestocentymetrowej szerokości otwór.

- Uff, co za radość oddychać czystym powietrzem! - westchnął, gdy skończył wreszcie tę gimnastykę.

- O mało się nie udusiłem w tej skorupie!

- To dobrze robi! - zgodził się Tubal wyciągając na zewnątrz statku ostatni plecak. - A przecież nie można powiedzieć, żeby było chłodno. Czy sądzicie, że uda nam się utorować sobie drogę przez te dżungle?

- To nie jest przyjemna perspektywa przedzierać się tedy pieszo... Zwłaszcza, jeżeli trzeba będzie zostać tu na dłużej. Ale jest chyba inne wyjście. Chodźcie tutaj, wydawało mi się, że widziałem wodę.

Włożyli plecaki i ciężkim krokiem skierowali się w stronę błyszczącej w dali tafli. Zanim stracili z oczu szczątki krążownika, Tubal odwrócił się i obrzucił go ponurym spojrzeniem.

Trzydzieści metrów dalej mała rzeczka płynęła leniwie pośród gęstych zarośli.

- Do licha, ależ tu gorąco! - narzekał Tubal. - Nie zajdziemy daleko w tych skafandrach. Trzeba je zdjąć. Przecież i tak nie możemy włączyć regulatorów termicznych skoro jesteśmy bez kasków. Tylko przeszkadzają. Potem proponuję zbudować tratwę, drzewa nie brakuje!

- Mówi pan jak rozbitek na bezludnej wyspie - westchnął Tedar zdejmując swój ciężki skafander. - Wystarczy pójść i wziąć tratwę z „Elvasa”!

- Niech pan idzie, jeśli pan chce. Ja zostanę tutaj. Kiedy ide, robi mi się jeszcze bardziej duszno.

- Dobrze, zostawiam swój plecak. Niech pan pilnuje Angoliniego, a przede wszystkim niech pan nie zaśnie. Nie wiadomo czy w okolicy nie ma jakichś niebezpiecznych zwierząt. Niech pan trzyma broń w pogotowiu!

Wrócił piętnaście minut później zataczając się pod ciężarem dużego cylindra. Szedł powoli, a pot spływał mu po twarzy.

- To nie było łatwe! Mógł mi pan pomóc... Znalazłem trochę szersze przejście, bo inaczej tej maszyny nigdy nie dałoby się wydobyć. Ale warto było! Zobaczysz pan, to bardzo sprytne. Tratwa może unieść pięć osób i ma nawet przezroczysty namiot.

Nagle zamilkł, przyjrzał się uważnie G.S.F. i zapytał:

- Co panu jest? Jest pan chory?

Tubal spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Nie słyszy ich pan? ONI są wokół nas, ONI szpiegują nas od początku, ONI każą przyjść...

- Co za historia! Pan także! Słyszysz pan głosy jak Angolini! Co się panu stało? Nie ma tu nikogo!

Gwałtownym gestem Tubal odepchnął go i jak automat zagłębił się w zarośla, nie zwracając uwagi na raniące go kolce. Angolini szedł za nim w pewnej odległości.

★

Krążownik „Eridanus” okrążał na małej wysokości drugą planetę układu α Cygni. Pochylony nad wskaźnikami radioaktywności rozmawiał z Xartroffem:

- Dowódca „Stratusa” przysięga, że eskadra Tedara wpadła w naszą pułapkę. Krążownik „Trastor” został całkowicie zniszczony i prawie wszystkie patrolowce również. Ich kadłuby nie wytrzymały eksplozji termicznych. Pozostał tylko „Elvas”. Widziano jak uciekał. Zniknął nam z oczu w pobliżu tej planety.

- Nie byłoby dobrze, gdyby oni zrobili z nami to samo - powiedziałem zamyślony. - Co mówią detektory?

- Nic. Zbadaliśmy już dwa z trzech kontynentów. Miejmy nadzieję, że na tym ostatnim będziemy mieli więcej szczęścia.

- Czy przekazał pan ostatnie nowiny drogiemu gościowi G.S.A.?

- Tak, ale nie wyglądał na zadowolonego.

- Co powiedział?

- To, co zwykle. Nie mamy szans, inne statki pomszczą Tubala i Tedara.

- Nie wiem, co zrobią pozostali buntownicy. Myślę jednak, że nasze zwycięstwo zmusi ich do zastanowienia.

- To piękna operacja, kapitanie! Po eksplozji pierwszych min nawet nie odpowiedzieli na nasz ogień. Zniszczyliśmy cztery patrolowce...

- Tak, Xartroff - odparłem - ale jakie to straszne strzelać w ten sposób do towarzyszy broni.

- Oni albo my, kapitanie... a właściwie jaka była reakcja L2?
 - Interesująca. Kiedy poinformowałem ich o tym, że nieuchronnie zostaną zaatakowani przez statki buntowników i że mam zapewnić im ochronę, wydawali się zaciekawieni, nic więcej... Podziękowali mi z rozbawioną miną. Trajn, ich szef i jego zastępcę Darruth obiecali mi wszystko, o co prosiłem, ale cały czas zachowywali trochę pogardliwy dystans. Nie byli w ogóle przestraszeni tym, że musi dojść do walki. Ale może to tylko wrażenie...

- Od swego przybycia do α Cygni dokonali już wiele. Widział pan Mirapol? Nieźle, jak na miasto zbudowane przez ludzi, którzy wylądowali tu bez żadnych narzędzi!

- Tak, jest nadzwyczajne! I zapomina pan o meidunku ze „Stratusa”: mają nawet statki kosmiczne! Nie jakieś tam pirackie łajby! Prawdziwe maszyny o zasięgu galaktycznym. Oto nowy temat do zastanowienia się.

- Może Najwyższa Rada zgodziła się pożyczyć im kilka statków?

- Mogę zapewnić pana o czymś wręcz przeciwnym. Żadna jednostka floty nie została przekazana... Niech mi pan wierzy Xartroff, to ludzie energiczni i jeszcze nas zadziwią. Zwłaszcza że ich wrażliwość na fale elektromagnetyczne, promienie podczerwone i ultrafioletowe daje im nad nami przewagę. Nie można się do nich zbliżyć tak, aby o tym nie wiedzieli...

W tym momencie Nozal, mój trzeci zastępcę zwrócił uwagę na drgający wskaźnik radioaktywności.

- Kapitanie, wykryliśmy cząstki radioaktywne zawieszone w atmosferze. Być może pochodzą z „Elvasa”.

- Zatrzymać się i pobrać próbki! Proszę podać kierunek wiatru.

- Północno-zachodni.

- Dobrze, powoli, naprzód, kierunek południowy wschód!

Rzuciłem okiem na tarczę dozymetru. Wskazywał małą aktywność rzędu kilkunastu mikrorentgenów. Wskazówka wahała się tuż koło zera. Planeta nie była zatruta, tak jak Ziemia, w wyniku licznych eksplozji atomowych, a więc byliśmy na tropie.

- Zejść jeszcze pięćset metrów i zbadać powierzchnię – wydałem rozkaz.

Moim zdaniem powinniśmy już wkrótce zauważyć „Elvasa”. Skoro ciągnął za sobą taki ogon cząstek radioaktywnych, jego silniki musiały porządnie oberwać. Na pewno nie ujechali daleko!

★

„Eridanus” przeleciał jeszcze z dziesięć kilometrów. Znaleźliśmy się na granicy bezpieczeństwa, cztery tysiące metrów, wszystkie radary w pogotowiu. Dzięki Bogu, w polu widzenia nie było żadnego pojazdu kosmicznego. Lecąc powoli na tak niewielkiej wysokości stanowiliśmy doskonały cel i nawet dziecku udało by się w nas trafić. Miałem nadzieję, że „Elvas” nie był w stanie strzelać. Tylko dlatego podjąłem ryzyko.

- Niech pan spojrzy kapitanie! – zawołał Xartroff. – Z prawej strony widać jakiś rów.

Wyregulowałem teleskopowy wizjer. Xartroff nie mylił się. Mieliśmy ich nareszcie!

- Przygotować się! – poleciłem.

- Gotowi do strzału, kapitanie.

- Przelecieć wokół wraku. Przygotować kuter.

- Ilu ludzi?

- Dziesięciu. Powiedz Lemainowi, że ma lecieć ze mną. To będzie dla niego okazja, by się zrehabilitował.

★

Kwadrans później lądowałem na α Cygni 2. Zbyt bujna, jak na mój gust roślinność nie wróżyła nic dobrego. Statek wydawał się opuszczony. Jeśli byli jacyś rozbitekowie, musieli uciec w dżunglę. Nielatwo będzie ich odnaleźć.

- Lemaine, zostań pan tutaj. Proszę kazać ludziom ustawić się w tyralierę i pod żadnym pozorem nie ruszać się z miejsca. Zbadam wewnątrz statku.

W towarzystwie trzech szturmowców zbliżyłem się do uszkodzonego „Elvasa”. Pancierz usiany był jeszcze dymiącymi kraterami, śladami po naszych minach. Ognioodporny metal stopił się i statek był nie do poznania. Przód zniknął w stosie drzew, zmiecionych podczas lądowania. Skierowałem się na rufę wzdłuż lewego boku statku. Ekran y jonizacyjne i otwory wylotowe chemicznego napędu były porożywane. W jaki sposób zdołały podtrzymać statek i doprowadzić go aż tutaj? W prawym boku znalazłem szczelinę wystarczająco szeroką, bym mógł przecisnąć się do środka. Ślady na miękkiej ziemi wskazywały, że posłużyła jako wyjście dla tych, którzy przeżyli katastrofę. Licząc ślady stóp doszliśmy do wniosku, że szło tedy trzech mężczyzn. Pozostawało dowiedzieć się, kim byli.

Przegląd kabin nie dał żadnych interesujących rezultatów. Tak jak myślałem, większość załogi zginęła, a wnętrze zostało tak zniszczone, że nie warto było dalej prowadzić poszukiwań. Zdecydowałem się iść w dżunglę po śladach uciekinierów. Wzięliśmy ze sobą propulsory.

Postanowiłem rozpocząć poszukiwania od rzucenia okiem na całość obszaru z niewielkiej wysokości. Na pięćdziesięciu metrach znajdowaliśmy się trochę ponad wierzchołkami drzew. Żaden szczegół nie był widoczny pod gęstą roślinnością, która jak płaszcz okrywała cały kontynent. Zadrżałem na myśl o drapieżnikach ukrytych w pomarańczowym listowiu.

Lecieliśmy ponad rzeką, gdyż, moim zdaniem, eksplorator zawsze musi mieć jakiś stały punkt odniesienia, a rzeka nadawała się do tego celu znakomicie. Miałem nadzieję znaleźć na stromym brzegu świeże ślady i rzeczywiście szybko odkryłem coś ciekawego: pozostawioną na brzegu tratwę pneumatyczną. Nlepkniętą i w plastikowym opakowaniu. Dlaczego zadali sobie tyle trudu, by ją tu przynieść, a potem zostawić? Podejrzewałem, że chcieli wykorzystać rzekę i szybko się oddalić. Woda nie zachowuje śladów, każdy to wie.

Zawołałem moich trzech podkomendnych i kazałem im przeczesać okolice. Wiedzieli dobrze co robić i niedługo wezwali mnie do miejsca, gdzie widoczne były świeże ślady stóp. Kierowały się na północny wschód. Obok leżał porzucony hełm. Jeszcze jedna zastanawiająca rzecz, jak na ludzi, którzy chcą się ukryć. Mieli prawdopodobnie uszkodzone termoregulatory skafandrów.

Trochę dalej znalazłem porzucone kombinezony, co potwierdziło moją hipotezę.

Lecąc możliwie nisko kontynuowałem poszukiwania. Często spoglądałem na tarczę detektora fal psychicznych, niestety na próżno. Jakież ptaki z błoniastymi skrzydłami przelatywały tuż nad dżunglą wydając dziwaczne krzyki. W polu widzenia nie było żadnych innych istot.

Wreszcie wskazówka zdecydowanie poruszyła się... Stałem i zatoczyłem koło, by znaleźć kierunek najsilniejszych impulsów. Dochodziły z północnego wschodu.

Uciekinierzy, odkąd oddalili się od rzeki, szli zupełnie prosto. Nie mogłem tego zrozumieć... Zazwyczaj przeszkody, jakie stwarza gęsta roślinność, zmuszają do posuwania się zygzakiem, a oni, wydawało się, szli wprost przez gestwine...

Nie musiałem długo czekać na rozwiązanie tej zagadki. Już od kilku minut w słuchawkach rozlegały się dziwne trzaski. Na początku nie zwracałem uwagi, ale stawały się coraz głośniejsze. Zdziwiły mnie, ponieważ nie było burzy. Nagle dostrzegłem ich przyczynę: w koronach drzew siedziały pokryte sierścią ogromne gąsienice gnawiając wszystko gęstą siatką włókien. W rozwidleniu gałęzi zobaczyłem Tubalę i jego towarzyszy zwiniętych w kłębek jak zwierzęta, nagich, opuchniętych i pokrytych ropiejącymi wrzodami.

Wydawało się, że gąsienice nie wyrządzały ludziom krzywdy. Owijały się tylko wokół nich liżąc sącząc się ropę i czerpiąc z tego najwyraźniej ogromną przyjemność. Na chwile zamarłem, przerażony widokiem. Musiałem uwolnić ludzi od tych obrzydliwych stworzeń. Nie mogłem jednak strzelać, bo w rojącej się gmatwaninie trafiłbym jednego z nich.

Przypominałem sobie, że na planetach ubogich w sole mineralne, zwierzęta, których pot obfituje w sód, były hodowane w koloniach owadów. Na Ziemi mrówki współżyły z mszycami i lizały słodką wydzielinę ich brzucha. Te gąsienice robiły to samo: przyciągały ofiary emitując fale psychiczne niweczące osobowość i następnie trzymały je uwięzione w swoich gniazdach. Ludzie okazali się podatni na ich działanie i byli teraz już nie do poznania.

Zdecydowałem się wysłać jednego z moich szturmowców na pokład krążownika, żeby przyniósł stamtąd silny środek owadobójczy. Dziesięć następnych minut trwało wieczność. Widowisko, które mia-

tem przed oczyma było tak odrażające, że z trudem na nie patrzyłem. A przecież musiałem pilnować tych potworów.

Trzej więźniowie wzbudzali litość, ta kara wydawała mi się nieproporcjonalna do ich winy. Z otwartych ran sączył się żółtawy płyn ku większej jeszcze radości żarłocznych stworzeń. Wielkie wrzody, gotowe lada chwila wytrysnąć, zawierały krwawą surowicę. W niektórych miejscach ciała widać było mięśnie i ścięgna żywem odarte ze skóry. Odwodnienie organizmu sprawiło, że ludzie podobni byli do szkieletów. Zastanawiałem się, czy byli przytomni. W każdym razie żyli na pewno, gdyż powoli obracali w ustach soczyste pędy, które zwisały się przed nimi. Najwyższy czas, by ich z tego wyciągnąć!

Zobaczyłem w końcu Footowa z kilkoma butelkami steżonego gazu, trującego dla owadów, a nieszkodliwego dla ludzi. Starannie skropił nim gniazdo. Potworne zwierzęta skonały dopiero po piętnastu minutach.

Gdy tylko stało się to możliwe, szturmowcy uwolnili trzech nieprzytomnych uciekinierów i przenieśli ich na pokład „Eridanusa”. Zanim odleciałem, z prawdziwą przyjemnością spaliłem gniazdo tych ohdnych stworzeń. Przyznaję, że cieszyłem się patrząc, jak ich ciała skrecają się w ogniu. Następnie wróciłem do wraku. Lemaine, czekając na stanowisku, zabrał kilka okazów ogromnych motyli. Wszyscy szturmowcy byli cali i zdrowi. Kiedy wróciliśmy do kutra dla sprawdzenia samego siebie zrobiłem małe doświadczenie. Zdjąłem kask i przeszedłem kilka kroków... Nie musiałem długo czekać: usłyszałem wyraźnie daleki szept. Nieprzetłumaczalny, lecz bardzo przyjemny dla ucha. Miałem ochotę zbliżyć się do źródła tych cudownych dźwięków. Nie przedłużałem testu, włożyłem z powrotem hełm i dałem sygnał do startu. Wiedziałem już wszystko: te potworne stworzenia wypełniały cały las. Postanowiłem, że poinformuje o tym Biuro Kontroli Gwiezdnej.

Cóż powiedzieć o naszym powrocie? Misja została spełniona. Przywoziłem ze sobą gwiazdnego satelitę – przyczynę intraplozji. Nasi naukowcy będą teraz musieli określić jego pochodzenie. Ja sam byłem zdania, że wcześniej czy później trzeba się będzie porachować z konstruktorami tych maszyn. Perpektywa ta nie wydawała mi się najgorsza.

Z trzech ujętych buntowników przeżył tylko G.S.F. Tubal. Inni, straszliwie spuchnięci, umarli w okropnych cierpieniach mimo wszystkich starań Footowa.

Po trzech dniach lotu moje statki znalazły się w miejscu skąd widać już było nasze kochane, stare Słońce. Cała załoga odpoczywała. Jeśli chodzi o mnie, to pilno mi było pozbyć się niewygodnych więźniów: na wpół oszalałego z przerażenia Tubala i zapłakanego G.S.A.

Rola strażnika nie odpowiadała mi zupełnie. Z niecierpliwością czekałem na nowe zadanie.

V. Admirał Blossow

Życie w Galaxii powracało do normy. P.R.N. utworzył rząd, którego zadaniem było podjęcie odpowiednich kroków wobec rebeliantów. Hagupian zwiększył zakres swych uprawnień i mógł teraz sam podejmować decyzje. Pomagali mu Saruka, Terfill i Notum. Popierany przez armię, która tradycyjnie przeciwstawiała się flocie, po „honorowej walce” (używając terminu ze starych kronik) zmusił oddziały buntowników do ucieczki. Większość floty opowiedziała się zresztą po stronie admirała Xenlee, który zorganizował pozostałe przy nim jednostki. Pięć pancerników, kilka krążowników i statków patrolowych to były resztki sił, jakie wywołały zamieszanie na Ziemi, a teraz okupowały Acnilam.

★

Mimo śmierci Tedara jego zwolennicy wciąż uparcie odmawiali jakichkolwiek pertraktacji. Ukonstytuowali się w Niezależne Księstwo i usiłowali nakłonić mieszkańców sąsiednich układów do podjęcia takich samych kroków. Nieudane ataki na pojedyncze garnizony ziemskiej armii zmusiły ich jednak do odwrotu w obręb ufortyfikowanej bazy na Acnilamie.

Trzeba przyznać, że buntownicza propaganda nie miała trudnego zadania. Wszędzie w jakimś stop-

niu krytykowano posunięcia rządu, a nad Ziemią wciąż wisiała groźba dalszych intraplozji. Sieć mirowizyjna na Acnilamie w swych programach stale ten fakt podkreślała i zarazem przedstawiała Tedara jako obrońcę uciśnionych planet, których mieszkańców Rada pozostawiła własnemu losowi. Zasięg emisji nie był duży, ale na wielu planetach retransmitowano je dalej. Nikt już nie liczył, ilu ziemskich gubernatorów przebywa w więzieniach Wolnych Republik.

Łatwo można sobie wyobrazić z jaką niecierpliwością Hagupian oczekiwał na powrót mojej eskadry. Gdy tylko okręty pojawiły się na ekranach radarów dalekiego zasięgu, Rada zebrała się natychmiast. Otrzymałem rozkaz, by jak najszybciej zameldować się w siedzibie rządu.

Jednostka pancerna strzegła wejścia do sali Rady. Po sprawdzeniu tożsamości wprowadzono mnie do obszernego, amfiteatralnie zbudowanego pomieszczenia. Wszyscy członkowie Rady Najwyższej, którzy pozostali wierni P.R.N. czekali tu na moje przybycie. Ci, którzy zbuntowali się, uciekli i w sektorze fizyki i chemii pojawiły się nowe twarze. Gdy prowadzono mnie prosto do Hagupiana rozbrzmiewające ze wszystkich stron oklaski wprawiły mnie w zakłopotanie. Później miało być jeszcze gorzej.

Hagupian przyjacielskim gestem położył mi rękę na ramieniu i wypowiedział kilka słów powitania. Przytaczam je tutaj dla uzupełnienia informacji, mimo że wystawiły moją skromność na ciężką próbę.

– Kapitanie Blossow, słowa to zbyt mało, by wyrazić wdzięczność całego narodu... Wierność naszej sprawie, pańskie poczucie obowiązku i posłuszeństwo wobec dowódców kazały panu oddać nieocenione usługi całej Konfederacji. Dzięki swym talentom taktycznym zdołał pan na czele mniejszych ilościowo sił zniszczyć flotę rebeliantów, zamierzających popełnić ohydny zbrodnie na mutantach zamieszkujących planetę α Cygni. Udałem pan mordercę i już ten fakt zasługuje na najwyższą pochwałę. Ale nie spoczął pan na laurach i kontynuując operacje, ujął przywódcę buntowników. Niech imię jego będzie przeklecie na wieki! Dzięki swej odwadze wykrył pan satelity powodujące intraplozję, przyczynę naszych nieszczęść. Takie zasługi wymagają wyjątkowej nagrody. Wręczy ją panu Admirał Xenlee.

Stary astronauta podniósł się i podchodząc do mnie wyciągnął dezintegrator. Zgodnie z odwiecznym zwyczajem wystrzelił trzy razy w powietrze, po czym opierając jeszcze ciepłą lufę o moje ramie, odezwał się uroczysto:

– Kapitanie Blossow Floty Ziemskiej, ja Xenlee, głównodowodzący Zjednoczonej Floty mianuje pana wiceadmiralem na miejsce Tedara, wiarołomcy i zdrajcy ojczyzny. Zajmie pan jego stanowisko i będzie korzystał ze wszystkich przywilejów swej rangi. Funkcja ta nie jest dziedziczna, ale może zostać przekazana w razie potrzeby każdej osobie, którą uzna pan za jej godną.

Mówiąc to umieścił na mojej piersi znak nowego stopnia: jaspisowy krąg, w którym błyszczało sześć płomiennych gwiazd. Schował broń i wrócił na miejsce, podczas gdy sala rozbrzmiewała oklaskami. Wzruszenie odebrało mi mowę i jedyne, co zdołałem uczynić, to stanąć na baczność i zaszalutować.

Hagupian ponownie zabrał głos:

– Oto nagroda za wierność i posłuszeństwo! Mam nadzieję, że admirał Blossow będzie nadal spełniał swe obowiązki tak dobrze, jak wtedy, gdy dowodził „Eridanusem”. – I zwracając się do mnie ciągnął dalej. – Pański pobyt tutaj będzie krótki. Na czele naszych sił musi pan przywrócić porządek na zbuntowanych planetach. Nasi naukowcy zbadają satelitę, którego nam pan przywrócił i mam nadzieję, że znajdą jakąś obronę przeciwko tym diabelskim urządzeniom. Teraz zamykam posiedzenie.

Po następnej serii oklasków członkowie Rady opuścili salę.

– Mój drogi przyjacielu – odezwał się do mnie Hagupian – pańskie zadanie nie jest zakończone, daleko jeszcze do tego. Jeśli pan się zgodzi, omówimy teraz z Xenlee niezbędne kroki.

– Jestem na pańskie rozkazy, P.R.N.

Poszliśmy do sali, gdzie czekał już sztab całej floty. Po wybuchu rebelii budynek został zamieniony w prawdziwą fortecę i obecnie znajdowała się tu Kwatery Główna Sił Zbrojnych. Urządzenia mirowizyjne pozwalały utrzymywać łączność z oddalonymi jednostkami. Oficerowie stali wokół podzielonego na sektory ogromnego modelu Galaktyki, w którym poruszały się świetlne punkty reprezentujące poszczególne jednostki naszej floty.

– Widzi pan, mój drogi Blossow – rzekł Xenlee zapalając jedną z lampek – to jest Acnilam. Mają w tym sektorze pięć pancerników i kilka jednostek lekkich. Możemy im przeciwstawić dużo więcej. Ale waż-

niejsze są nastroje panujące wśród mieszkańców odległych planet. Ludzie uważają, że zostawiliśmy ich na pastwę mutantów i intraplozji. Powszechnie dozbrajają zarekwirowane statki handlowe. Na wszystkich planetach, gdzie wydobywane są surowce mineralne i wytwarzane półprodukty, na taśmach montażowych powstają okręty wojenne. Problem nie polega więc na tym, by zniszczyć Acnilam. Gdy zostanie opanowany, zbuntują się inni, a wówczas nasze siły nie będą w stanie przemierzać Galaktyki wszerz i wzdłuż. Trzeba udowodnić, że robimy wszystko co w naszej mocy, by zapobiegać intraplozjom. Musimy odzyskać zaufanie. Pańska misja będzie więc jednocześnie misją dyplomatyczną. Trzeba za wszelką cenę unikać rozlewu krwi.

Pochlebia mi, pomyślałem i zapytałem głośno:

– Jakimi jednostkami będę dysponował?

– Wszystkie eskadry dowodzone niegdyś przez Tedara są teraz pod pańskimi rozkazami!

– Co to właściwie znaczy? Przecież właśnie przed chwilą powiedział pan, że garnizony stacjonujące na odległych planetach są w przededniu buntu. Mogę więc liczyć tylko na okręty, które pod moją komendą opuszczają Ziemię.

– Oczywiście. Będzie pan dysponował flotą składającą się z pięciu grup bojowych. Każda z nich posiada dziesięć pancerników, czterdzieści szybkich okrętów patrolowych i dwadzieścia krążowników, z których dziesięć to nosiciele jednostek desantowych. Nie możemy dać panu nic więcej. Na Ziemi trzeba zostawić potężne siły. Nigdy nie wiadomo. Kilku szaleńców mogłoby spróbować samobójczej wyprawy. Może pan kierować operacjami zgodnie z własnym przekonaniem, ale nie będzie żadnej klasycznej walki. Rebelianci nie są na to wystarczająco silni. Według wszelkiego prawdopodobieństwa będą prowadzili wojnę partyzancką na planetach. Dlatego też pańska eskadra ma pięćdziesiąt nosicieli jednostek desantowych nadających się właśnie do tego rodzaju działań. Będzie pan również dysponował kilkoma pułkami szturmowymi do walk na planetach. I jeszcze jedno: jako wiceadmiral przestrzeni galaktycznej będzie pan odpowiedzialny za mutantów i będzie pan kontrolował ich działalność.

– I co jeszcze... – mruknąłem niezadowolony pod nosem.

Dawano mi do wykonania zadanie, któremu nie podołałaby dziesięć razy silniejsza flota. Dwieście planet do pilnowania! Miałem nadzieję, że wystarczy jedno zwycięstwo, by ochłodzić rozpalone głowy. Gdyby Acnilam skapitulował, może inni nabraliby rozumu. W przeciwnym wypadku ta mała wojna mogła trwać długo i być może mój awans wyda się niektórym przedwczesny... Jeśli na Acnilamie uda mi się zainstalować receptor baterii strumieniowej, szybko ściągnę posiłki, ale inaczej... Musiałem jednak zgodzić się na wszystko. Spytałem więc tylko:

– Kiedy odlot?

– No... – westchnął Xenlee – z radością widzę, że misja podoba się panu. Nie możemy czekać aż rebelianci umocnią swoje pozycje. Im szybciej pan odleci, tym lepiej. Pojawi się pan tam w aureoli niedawnego zwycięzcy i tym bardziej będą się bali. Powiedzmy za czterdzieści osiem godzin...

– Dobrze. Pod warunkiem oczywiście, że moja flota jest zaopatrzona i załogi w komplecie.

– Jest. Jeżeli chodzi o załogi, to trzeba jeszcze zaokrętować tylko kilka oddziałów szturmowych.

– A więc postanowione, startuje pojutrze.

– Czy potrzebuje pan jeszcze jakichś informacji?

– Jeszcze ostatnia sprawa. Chciałbym zatrzymać „Eridanusa” jako okręt admirański z moim dawnym zastępcą na stanowisku dowódcy.

– Zgadza się.

Zasalutowałem i pożegnałem się, P.R.N. życzył mi szczęścia. Wyszedłem z budynku trochę oszołomiony. Wszystko działało się tak szybko, że dotąd nie mogłem nawet przez chwilę zebrać myśli. W głowie miałem zupełną pustkę.

Kiedy pilot zapytał mnie, dokąd chciałbym się udać, zaniemówiłem. Nikt mnie nie oczekiwał. Miałem mnóstwo rzeczy do zrobienia i nie wiedziałem od czego zacząć: uprzedzić Xartroffa, nawiązać kontakt z moimi nowymi podwładnymi, chciałem też zobaczyć D.W.M. Saruke, od której mógłbym dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy o L2... W końcu postanowiłem najpierw trochę odpocząć w kasynie oficerskim. Jutro wezwę Xartroffa i zobaczę się z D.W.M. Dziś nie miałem siły na nic ważnego. Wszedłem do kasyna i od razu zdałem sobie sprawę, że to miejsce nie nadaje się do wypoczynku. Wielu spośród dowódców

moich przyszłych jednostek siedziało już tutaj. Spotkały mnie nowe owacje. Musiałem z grzeczności wygłosić krótką mowę, a potem nastąpiły toasty... Kiedy w końcu wydostałem się z tej pułapki i znalazłem w ciszy jednego z gościnnych pokoi huczało mi w głowie. Opary euforyzującego dymu i działające somatodynamicznie napoje wprawiły mnie w stan niezwyklego podniecenia. Dopiero trzy tabletki uspokajające pozwoliły mi odzyskać równowagę. Połączyłem się z Xartroffem, który okazał takie ożywienie, że myślałem przez chwilę, że przejdzie przez ekran mirowizora. Nie zdołałem porozumieć się bezpośrednio z Saruką, ale jej sekretarka wyznaczyła mi spotkanie na dzień następny. Wreszcie mogłem położyć się i zasnąć spokojnie. Ale to było tylko złudzenie!... Mimo zażytych tabletek przewracałem się przez pół godziny, aż wreszcie skorzystałem z pomocy hypnorelaksora, który sprawił że zasnąłem.

Obudziłem się późno, ale mimo to czułem się kiepsko. Ślady zmęczenia zniknęły dopiero po pięciu minutach spędzonych pod wigogenerującą lampą.

★

Saruka przyjęła mnie w imponującym laboratorium. Czekając na D.W.M. mogłem przyjrzeć się prowadzonym tu badaniom nad hybrydami. Pirofagi z gorących planet, które swe silikonowe organizmy podtrzymywały spalaniem węgla wapnia, sąsiadowały z mieszkańcem lodowych globów – krystaliczną meduzą absorbującą zamrożony metan, by zamienić go w etylen. Ciekawe problemy... Niestety, nie to było celem mojej wizyty. Zaczynałem się już nudzić, gdy pojawiła się Saruka.

Wiele słyszałem o niej i jej urodzie. Ale wszystko, co mi powiedziano, to było mało! Na jej widok po prostu oniemiałem. Pojmowałem teraz upór jej adoratorów, szczególnie G.I.S. Notuma. Pracowała na stanowisku umożliwiającej łatwe przeprowadzenie operacji plastycznej, a plotkarze twierdzili, że jej piękność niewiele zawdzięczała naturze. Ale gdy miałem przed sobą rezultat, nic nie było ważne.

– Admirale Blossow! Jak się cieszę, że pana widzę... Czego pan sobie życzy?

– Szczerze mówiąc, D.W.M., chciałbym skorzystać z pani doświadczenia i uzyskać więcej informacji zarówno o budowie fizycznej mutantów jak i ich psychice. P.R.N. powierzył mi misję ambasadora, a nic właściwie o nich nie wiem.

– Tak, rozumiem... Jeśli chodzi o ich budowę, to niewiele można powiedzieć. To są ssaki, tak jak my. Nasi bracia, bardziej do nas podobni niż neandertalczyk do człowieka z Cro-Magnon. Najważniejsza różnica występuje w budowie czaszki, która jak pan zapewne wie, nie ulega całkowitemu skostnieniu. Mimo że nigdy nie robiliśmy takiego doświadczenia, jestem przekonana, że oba gatunki mogą się krzyżować. Chcę przez to powiedzieć, że zachodzi tu przypadek specjacji, na który nie mają wpływu mechanizmy izolacji genetycznej. Inteligencja Homines Superiores połączona z odwagą i dynamizmem Sapientes mogą dać zaskakujące rezultaty. Pod warunkiem oczywiście, że dominowałby gen determinujący chrząstkową budowę czaszki. Łatwo jednak zrozumieć, dlaczego taki związek jest nie do przyjęcia. Reakcja większości ludzi zmusiła nas, byśmy ich deportowali na α Cygni. Mieszane małżeństwa skomplikowałyby jeszcze bardziej ten problem... Jeżeli chodzi o ich psychikę, która jak sądzię bardziej pana interesuje, to zdecydowanie nad nami górują. Ich mózg bardzo szybko analizuje niezwykle skomplikowane problemy. Wrażliwość na promieniowanie powoduje zwiększenie dopływu informacji i nieosiągalne dla nas doznania. Niestety, L2 mają jednak jedną wielką wadę – brakuje im odwagi, samozaparcia, które pozwoliło naszym przodkom znieść najcięższe doświadczenia i pokonać trudności. Strach przed nieznanym paraliżuje ich wole, a bezmiar kosmosu przyniata i obojętnia. Niech pan jednak zwróci uwagę, że oni nigdy o tym nie mówią i postępują jak gdyby nigdy nic. Na skutek tej ułomności nie sądzi, by byli w stanie zbudować wielkie imperium. Ich ambicje ograniczają się do badania świata, problemów życia i śmierci.

– A więc to wyższy gatunek z mnóstwem zahamowań...

– Coś w tym rodzaju. Oni mają swoje zalety i my mamy swoje. Jesteśmy bardziej wytrzymali fizycznie i psychicznie. Być może dlatego, że nasz gatunek musiał gołymi rękami walczyć w czasach prehistorycznych o byt. Czy sądzi pan, że dalibyśmy się zamknąć, a potem deportować nie stawiając żadnego oporu? Oni ulegli nam z konieczności. Byli posłuszni, ponieważ to rozwiązanie wydawało im się logiczne, nie poddali się żadnym emocjom. Na α Cygni mają zapewniony byt i mogą rozwijać się w spokoju. Mimo że nasze zachowanie napełniło ich goryczą, nie okazują ani nienawiści, ani żalu. Myślę, że kocha-

ją nas trochę tak jak dzieci, które z daleka wspominają swych rodziców, nawet wobec nich obojętnych. Pańska misja będzie łatwa, jeśli będzie ich pan właśnie uważał za duże, trochę trwożliwe dzieci. Niech pan z nimi rozmawia szczerze, niech pan nie stosuje żadnych dyplomatycznych wybiegów, a zobaczy pan, że wszystko okaże się proste!

– Bardzo się cieszę, że pani tak mówi. Znam ich mało, dużo gorzej niż pani, ale doszedłem do podobnych wniosków. Pozostaje mi tylko podziękować za te cenne rady...

– Jeszcze słówko, admirale... długo opiekowałam się nimi i bardzo się do nich przywiązałam. Niech pan nie zapomni po powrocie przyjść i opowiedzieć mi wszystko.

– Oczywiście, D.W.M., może pani na mnie liczyć.

– Życzę szczęścia, admirale! Och, przepraszam, mam nadzieję, że nie jest pan przesądny! – Uśmiechnęła się trochę kpiąco.

Nie, nie jestem, pomyślałem wychodząc, co nie przeszkadza, że potrzebuje, by ktoś dodał mi otuchy. To bardzo delikatna misja.

Po drodze zastanawiałem się, dlaczego ta piękna kobieta tak całkowicie poświęciła się nauce. Miała przecież mnóstwo wielbicieli. Co za przeżycia kazały jej uparcie trwać w samotności?... Ale to nie była moja sprawa – nie miałem najmniejszego zamiaru powiększać liczby jej odrzuconych konkurentów. I bez tego miałem dosyć kłopotów.

Wyszedłem z Biosbuilding. Miałem jeszcze pół dnia do opuszczenia Ziemi. Jak tu spędzić czas? Logika dyktowała mi, że powinienem poznać moich oficerów sztabowych, egoizm radził wykorzystać te kilka godzin wolności. Przecież, pomyślałem, wszyscy oficerowie mojej floty to dawni koledzy i teraz na pewno trochę mi zazdroszczą nominacji. Znam ich dobrze. Lepiej poczekać do odlotu i wezwać ich na pokład.

Dawno nie byłem już na Ziemi i miałem ochotę spróbować przyjemności, które oferowała stolica.

W końcu postanowiłem wyruszyć na przechadzkę po „pięknej dzielnicy”. Musiałem tylko pozbyć się mego cienia. Okazało się to łatwiejsze, niż myślałem. Polecilem mu, by przekazał do kasyna oficerskiego jakąś nieistotną wiadomość. Zostawił mnie, nie prosząc o żadne wyjaśnienia. Musiał być szczęśliwy, że dostał wolny wieczór. Włożyłem monetę w otwór publicznego autostatu i uniosłem się w powietrze. Szczęśliwy jak uczeń, którego zwolniono z lekcji. Ponieważ chciałem zachować incognito zdjąłem odznakę, którą przypiął mi Xenlee i wsunąłem ją do kieszeni.

Nie było zbyt wielkiego ruchu i z łatwością posuwałem się wyznaczonym pasem lawirując pomiędzy iglicami wieżowców. Po mniej więcej pięciu minutach uwagę moją przykuł lecący w ślad za mną autostat. Wewnątrz były dwie osoby: młoda kobieta pilotowała maszynę, a obok niej siedział jakiś mężczyzna. Chcąc upewnić się, że to nie przypadek, obniżyłem się trochę. Autostat towarzyszył mi jak cień. To zaczynało być interesujące, zwłaszcza że po chwili w ślad za mną leciały już dwie maszyny. By mieć czyste sumienie zanurkowałem ku ziemi. Moje dwa anioły stróże zrobiły to samo. Jeden z autostatów wyprzedził mnie nagle i zanim zdołałem się połapać, zobaczyłem wycelowaną we mnie lufę dezintegratora.

W mgnieniu oka zorientowałem się w sytuacji. Byłem w rękach rebeliantów. Poskudna historia! A ja jak idiota sądziłem, że mogę spacerować nie zwracając uwagi... Pozostali na wolności zwolennicy Tubala najwyraźniej zdecydowani byli się zemścić. Nie wiedziałem jak oprzeć się tak przekonywającym argumentom i posłusznie ruszyłem w ślad autostatem, z którego do mnie celowano. Doleciałszy tak aż nad przedmieścia. Tu mój przewodnik dał znak i wylądowałem u stóp domu zburzonego najwyraźniej podczas ostatnich walk z rebeliantami. Gdy byłem już na ziemi, jedna z maszyn wylądowała obok, podczas gdy druga zataczała kregi nade mną. Widziałem wyraźnie wycelowaną wprost we mnie lufę dezintegratora.

Ci dranie przewidzieli wszystko! Moi dwaj przewodnicy podeszli do mnie i gestem kazali udać się za sobą. Może byli niemi?... Pochód otwierała kobieta a jej towarzysz, potężny facet ważący chyba ze sto kilo, szedł za mną. Zauważyłem, że oboje mieli na twarzach plastikowe maski uniemożliwiające identyfikację. Cała ta maskarada do złudzenia przypominała spacer, które dawni gangsterzy kazali odbywać swym zbyt kompromitującym „przyjaciółom” – opustoszała dzielnica, ruiny... Jak się stąd wydostać?

Weszliśmy do jakiegoś pozbawionego sufitu pomieszczenia i moja towarzysząca dała znak, bym się

zatrzymał. Przyłożyła do ust rodzaj gwizdka i usłyszałem kilka ostrych dźwięków. Część muru odsunęła się ukazując mroczne schody, które biegly pod ziemię. W miarę delikatnym szturchnięciem bronią w plecy strażnik dał mi do zrozumienia, że mam zejść. Tak też zrobiłem. Z początku nic nie widziałem i musiałem macać stopą każdy schodek, zanim na nim stanąłem. Znajdowaliśmy się w ruinach budynku jeszcze z epoki przedatomowej. Po jakichś trzydziestu stopniach czerwona światełka pozwoliło mi zobaczyć, gdzie stawiam nogi. Machinalnie liczyłem stopnie i gdy doszedłem do stu, znaleźliśmy się w półkolistym sklepionym pomieszczeniu przesyconym silnym zapachem zgnilizny.

Dwie inne postacie oczekiwały mnie siedząc na starej kamiennej ławie. Było tu zimno i wilgotno. Wbrew sobie zadrżałem. To miejsce nie napawało optymizmem. Według wszystkich danych znajdowałem się na terenie jeszcze nie odkrytym przez archeologów. Z jakiego okresu mogły być te ruiny? Statorcie nigdy nie interesowały mnie zbytnio.

Wreszcie moi gospodarze zdecydowali się przemówić.

– Kapitanie Blossow – odezwał się najniższy z całej trójki – powinien pan się domyślić dlaczego przyprowadziliśmy pana tutaj.

Do licha, pomyślałem, ale z niego żartowniś!

– Popełnił pan niewybaczalną zbrodnię! W swojej naiwności miał pan nadzieję cieszyć się bezkarnością i dalej dopuszczać się przestępstw. Ale przeliczył się pan, kapitanie. Zrobił pan błąd niegodny członka Najwyższej Rady!

Zacisnąłem pięści – ten bezczelny facet działał mi na nerwy. Gdybym tylko zdołał wyrwać mu broń, którą trzymał niedbale wycelowaną we mnie. Posunąłem jedną, a potem drugą nogę. Jeszcze dziesięć centymetrów, już miałem skoczyć...

– Panie kapitanie, niech pan będzie rozsądny – zwrócił mi spokojnie uwagę karzelek. – Czy uważa nas pan za dzieci? Jest nas czterech, niech pan o tym nie zapomina! I niech pan nie lekceważy tej panienki, która ma sporo powodów, by mieć do pana pretensje.

– Pewnie była przyjaciółką Tedara... – zauważyłem kwaśno.

– To wszystko nie będzie trwało długo. Niech pan się nie denerwuje. Został pan już osądzony, kapitanie, osądzony i skazany. Na śmierć oczywiście. Bedzie pan miał taki sam koniec, jak wszyscy dzielni astronauta zmuflifikowani w przestrzeni wokół α Cygni. Za kilka minut znajdzie się pan w małej rakiecie – związany i samotny. W tej trumnie polecą pan na Księżyc, który będzie rósł i rósł, a potem nie będzie już nic. Sławni Blossow będzie miał głupi wypadek. I wszyscy będą zastanawiali się, po co pan leciał na Srebrny Glob.

Wszystko przewidzieli... Powoli ogarniała mnie rozpacz. Zrezygnowany pozwoliłem sobie nawet związać ręce. Co Saruka mówiła o mutantach? Że nie potrafią walczyć. Że boją się śmierci? Nie byłem więcej wart od nich.

★

Wsadzono mnie do małego wagoniku, który potoczył się w cementowym tunelu. Jeszcze jeden zabytek z dawnych czasów... Poczulem uderzenie w głowę. Kiedy wróciłem do przytomności, byłem związany do fotela. Przede mną znajdował się pulpit sterowniczy pełen przycisków i kuszących guzików, które mogłyby ocalić mi życie. Na próżno usiłowałem uwolnić się z krepujących więzów, które wrzyły mi się w ciało – nie zdołałem się wyrwać. Na ekranie widoczna była duża tarcza Księżyca... Zaniechałem daremnych wysiłków. Byłem skończony! Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Właściwie niczego nie żałowałem. Nawet gdybym miał żyć jeszcze raz, niczego bym nie zmienił. Poczucie obowiązku kazało mi pozostać wiernym Najwyższej Radzie...

★

Krater Ptolomeusza odcinał się wyraźnie na jasnej tarczy satelity. Rozchodzące się od niego białe smugi przypominały śmiertelny całun. Już niedługo kilka cząsteczek węgla i wodoru scementuje drobinki pyłu tworząc małą wypukłość pośród resztek żelastwa. Jednego tylko było mi trochę żal: nie zdążyłem poznać, co to prawdziwa miłość... Ale może metempsychoza jest prawdą, i wówczas moje następne wcielenie zazna tego szczęścia. Wyraźnie widziałem już szczyt i zbocza krateru. Zostało mi tylko kilka minut.

Już tylko dziesięć sekund. Zamknąłem oczy, ale lekki wstrząs kazał mi je otworzyć z powrotem.

Wstrząs był o wiele słabszy niż się spodziewałem. Powróciła nadzieja.

Obraz Księżyca zniknął z mojego ekranu. Usłyszałem głos Xartroffa:

– Na Betelgeuze, on żyje! Ci dranie nie zrobili mu nic złego!

Pozwoliłem się rozwiązać i prowadzić, a właściwie nieść dwóm astronautom. Znalazłem się w mojej kabinie na pokładzie „Eridanusa”. Xartroff podał mi dwie tabletki regeneracyjne, które połknąłem z przyjemnością. Byłem naprawdę wyczerpany. Od razu poczułem się lepiej.

– Przybyłeś w samą porę Xartroff! Jak to zrobiłeś? – spytałem.

– Och to nie moja zasługa, admirale. To admirał Xenlee zrobił wszystko.

Na Thora, pomyślałem, nie doceniałem tego starego lisa.

– Jeżeli poszuka pan w kieszeni, znajdzie pan swego wybawcę.

Posłuchałem i wyciągnąłem mnóstwo różnych przedmiotów. Pomiedzy nimi lśniła moja admirańska odznaka. Szybko przypiąłem ją z powrotem i spojrzałem pytająco na Xartroffa.

– Tak – odparł – o to właśnie chodzi! Admirał jest ostrożny z natury i lubi wiedzieć, gdzie znajdują się ludzie, którymi dowodzi. Ta odznaka, ten wspaniały klejnot jest równocześnie małym cudem techniki. Zaopatrzona jest w uruchamiany zdalnie mikroskopijny nadajnik. Wczoraj wieczorem, kiedy pan zwolnił swoją obstawę, służba bezpieczeństwa, by nie stracić pańskich śladów, włączyła go. Czy nie był pan zdziwiony łatwością z jaką pozbył się pan strażnika?

– Troche, ale pomyślałem sobie, że pewno mam zbyt wielkie mniemanie o sobie...

– Pierwszy odruch jest często najlepszy, admirale. No, ale trudno. Kiedy znalazł się pan w przestrzeni, szybko pana zlokalizowano. Dano mi rozkaz startu i odnalazłem pana z łatwością. „Eridanus” zwolnił, dwa chwytaki złapały tę małą raketę i umieściły ją w luku numer trzy... To wszystko.

Miał zadowoloną minę dziecka, które zrobiło dobry kawał swemu nauczycielowi. Ale miałem szczęście!...

– Cieszę się, że mogliście wystartować tak szybko. Moje gratulacje!

– Wiedziałem, że odlot nastąpi niedługo, a nie lubię zwlekać do ostatniej chwili. Załoga znajdowała się już na pokładzie i wszystko było gotowe.

– Dobra – uciałem. – Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ta cała historia jest śmieszna – powinienem bardziej uważać. No, ale drugi raz mi się to nie zdarzy. Wyślijcie meldunek do admirała Xenlee i podziękujcie mu w moim imieniu. Teraz pójdę trochę odpocząć...

VI. Bratobójcza walka

Następnego dnia flota leciała w stronę Acnilamu. Moja przygoda była już tylko przykrym wspomnieniem. Start odbył się bez przeszkód. Chemiczne silniki oderwały nas od Ziemi i umieściły na odległej orbicie. Tutaj odnaleźliśmy nasze „mamki”, satelity uzupełniające zużyte podczas startu paliwo płynne.

Odlot z Ziemi zawsze odbywał się w ten sposób. Nie wolno było używać silników jonowych z obawy przed zanieczyszczeniem atmosfery i tak już skażonej opadami radioaktywnymi. Używaliśmy tylko borolitowych silników głównych i pomocniczych. Gdyby nasi inżynierowie wynaleźli reaktory antygrawitacyjne, takie jak kaworyt starożytnego pisarza Wellsa, byłoby o wiele lepiej. Na innych planetach na szczęście wszystko było łatwiejsze – przy starcie wyrzucaliśmy gazy, które w naszych silnikach atomowych osiągały temperaturę dziesięciu tysięcy stopni. Radioaktywność trochę wzrastała, ale nie miało to większego znaczenia. W przestrzeni, po wyjściu z atmosfery wykorzystywaliśmy o wiele bardziej ekonomiczne silniki dalekiego zasięgu, które jednak mogły funkcjonować tylko w próżni kosmicznej. Nasze ekrany emitowały jony antymaterii, które wyrzucane z prędkością nadświatłową, nadawały nam odpowiednią szybkość. Powstawały one podczas przejścia atomu między dwoma elektrodami Zarfa o wysokim potencjale. Można było wówczas otworzyć stożkowate rekuperatory pochłaniające atomy rozproszone w przestrzeni międzygwiazdnej i w ten sposób częściowo uzupełnić zapasy. Ale dość tych technicznych szczegółów!

Musiałem wreszcie porozmawiać z dowódcami podległych mi jednostek. Wezwałem ich wszystkich na pokład „Eridanusa”. Spotkanie było bardzo hałaśliwe. Obiecałem sobie, że nie powtórzę tego błędu i odtąd będę się porozumiewał tylko przez mirowizję.

Trzysta pięćdziesiąt rakiet zameldowało się pod dziesięcioma śluzami „Eridanusa”. Trzystu pięćdziesięciu oficerów stało obok siebie w największej kabinie statku.

Powiedziałem mniej więcej tak:

– Drodzy koledzy, szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że zostałem mianowany dowódcą tej eskadry. Wielu z was to moi dawni koledzy z okresu studiów, teraz niżsi ode mnie rangą. Szanuje ich i wiem, że będą posłuszni moim rozkazom, tak jakbym już od dziesięciu lat był waszym dowódcą. Stanowimy potężną siłę i nie oprze nam się kilka okrętów rebeliantów. Od stuleci Ziemia nie miała takiej floty. Najprawdopodobniej wrogie pancerniki uciekną przed nami nie podejmując walki, starając się tylko zapewnić łączność pomiędzy bazami rebeliantów i wywołać nowe bunty. Zrobię wszystko, by zmusić ich do otwartej walki. Uważam, że naszym najważniejszym zadaniem jest zniszczyć jednostki wroga. Jeżeli chodzi o operacje na samym Acnilamie, to mamy w reku atut. Baterie strumieniową – taką samą jak ta, która łączy Ziemię z planetą mutantów. Pozwoli nam to sprowadzić posiłki. Nie chcę jednak skakać z planety na planetę. Trzeba, powtarzam, zastawić pułapkę i zniszczyć nieprzyjacielskie okręty. Na zakończenie przypominam wam, że prawdziwym problemem, który my, astronauty Służby Dalekiego Zasięgu musimy rozwiązać, są intraplozje. Dopóki zjawisko to nie zostanie wyjaśnione, planety naszej Konfederacji nie będą mogły rozwijać się w spokoju. Życzę wam wielu sukcesów. Szczegółowe informacje przekażę później. Zależało mi, by spotkać się z wami osobiście i zanim przystąpimy do akcji chciałbym każdemu uściśnąć dłoń.

Po odrobieniu tej pańszczyzny miałem zeszytniałą rękę i z radością znalazłem się w zaciszu kabiny pilotów „Eridanusa”, w której byli tylko moi oficerowie.

Postanowiłem, że Xartroff zostanie moim adiutantem. Czekał na mnie w towarzystwie Zolida, dawnego dowódcy krążownika „Jaffa”, a obecnie pana i władcy pancernika „Indus”. Był z nimi również Dervall, dowódca eskadry patrolowej, Rida – kapitan „Choo”, który dowodził oddziałem ścigaczy oraz kilku innych oficerów.

Najpierw mianowałem dowódców moich pięciu grup bojowych: Rapht, Al Dervat, Sargas, Viffer i Megrez; wszyscy efektywni i pewni.

Pozostało omówienie planu całej operacji.

Nie miałem zamiaru zostawiać rebeliantom czasu na wzmocnienie swych sił. Wprawdzie rozkazy Xenlee zmuszały mnie do zajęcia się przede wszystkim sprawą L2, ale obawiając się przecieków w Sztabie Głównym, postanowiłem zmienić kolejność akcji i uderzyć natychmiast na Acnilam.

– Panowie – zacząłem – znów zastosujemy taktykę, która okazała się tak skuteczna w przypadku Tubala i Tedara. Najpierw wyślemy krążowniki i większość ścigaczy. Zastawimy pułapkę w kształcie łuszkowca. W ten sposób szybkie statki będą mogły otoczyć i odwrócić uwagę sił stacjonujących na planecie biorąc je w dwa ognie. Nie zdołamy pokonać potężnych pancerników. Mam jednak nadzieję, że ścigacze nie zostały wykryte. Niech się trzymają poza zasięgiem teleradarów i lecą okreśną drogą. Przez ten czas my będziemy atakować, posuwając się naprzód ze średnią predkością. Zastosuje również inną taktykę: by zastąpić statki, których nie mamy, zaopatrzymy patrolowce w reflektory radarowe. W ten sposób nieprzyjaciół będzie sądzą, że ma przed sobą krążowniki i ścigacze. Czy są jakieś pytania?

Tylko Megrez miał wątpliwości:

– Nie obawia się pan, admirał, że krążowniki i ścigacze zostaną zmasakrowane zanim zdołają wystrzelić swe pociski samosterujące?

Przewidziałem to pytanie:

– Należy podjąć to ryzyko, Megrez – odparłem. – Trzeba tylko dobrze zaplanować czas całej operacji. Dokładna synchronizacja wszystkich akcji jest najważniejsza, gdyż obowiązywać będzie absolutna cisza w eterze. Rozpoczniemy atak, gdy tylko zauważymy pierwsze statki nieprzyjaciela. Nawet jeżeli nie będziemy ich mieli w zasięgu strzału. Musimy przykuć ich uwagę, by reszta naszych sił mogła ujawnić się dopiero w odpowiedniej chwili.

Wszyscy zgodzili się na ten plan i wrócili do swoich sektorów, by od razu zacząć wprowadzać go w życie.

Pierwsza część operacji przebiegała jak podczas ćwiczeń. Na ekranie teleradaru obserwowałem poczynania prawego skrzydła pod dowództwem Raphta i lewego – Al Dervata. Lecieli z największą możliwą predkością i niebawem stanowili już tylko małe punkty, które znikaly jeden po drugim jak gwiazdy o świcie. Teraz trzeba było tylko czekać, aż wystrzelone przez nich pociski eksplodują trafiając na nieprzyjaciela.

Przez pięć dni lecieliśmy majestatycznie w pełnym szyku bojowym, starając się być możliwie najbardziej widoczni. Szóstego dnia rano Acnilam wyglądał jak gwiazda piątej wielkości. Wysłałem ultimatum do gubernatora Borona, dowódcy rebeliantów od czasu klęski Tubala i Tedara.

– Do wszystkich oficerów, astronautów i żołnierzy zbuntowanych przeciwko Najwyższej Radzie Ziemi. Macie przed sobą najpotężniejszą flotę, jaką kiedykolwiek dysponowała nasza Ojczyzna. Ja, Bossow, dowódca tej armady wzywam was do zaprzestania bezsensownej walki. Poddajcie się! Wszyscy, którzy otworzą ogień do moich statków zostaną bezlitośnie straceni, gdy wpadną nam w ręce. Macie godzinę na udzielenie odpowiedzi. Zastanówcie się dobrze nim rozpoczniecie bratobójczą walkę, która zakończy się dla was klęską!

Odpowiedź nadeszła dwadzieścia minut później:

– Nie zgadzamy się na wasze warunki. Wszyscy jesteście gotowi zginąć. Być może Acnilam zostanie zniszczony, ale sto innych planet powstanie przeciwko wam. Nie możemy się zgodzić, by L2 pozostały na wolności. Pomagacie im! Czy jesteście ślepi? Czy nie wiecie, że jeden gatunek eliminuje drugi?

Pitekanthrop – australopiteka, człowiek z Cro-Magnon – Neandertalczyka? Tym razem Superiores chcą wyeliminować Sapientes. Zniszczą nas bez litości. Oficerowie, bracia, zamiast strzelać, przyłóżcie się do nas!

Taka propaganda nie była głupia, każdemu mogła zamącić w głowie. Moi astronauta, gdy usłyszeli te słowa byli pełni oburzenia. Ja sam wierzyłem w to, co mówiła mi Saruka o psychiczne mutantów, ale musiałem dowiedzieć się, co na ten temat myślą oficerowie. Rzuciłem okiem na Xartroffa. Przynajmniej on zdawał się niczym nie przejmować. Musiałem jednak coś przedsięwziąć i to szybko...

Footow mógłby wygłosić krótki wykład na ten temat. Wezwałem go natychmiast. Przyszedł szybko rozczochrany, trzymając jeszcze w ręku jedno z tych starożytnych dzieł na papierowych kartkach, które wolał od współczesnych taśm z nagraniami. Najwyraźniej przerwałem mu odpoczynek. Przedstawiłem mu całą sprawę. Na szczęście słyszał odpowiedź Acnilamczyków i stanął na wysokości zadania.

– Usłyszeliście właśnie tendencyjne słowa propagandy o rzekomo naukowym charakterze. Będę więc do was mówił jako biolog. Wszyscy z pewnością wiecie, że gatunek do którego należymy, gatunek Homo Sapiens, powstał w wyniku postępującej ewolucji zwierząt wywodzących się od lemurów. Pochodząc od małych prymitywnych, przez australopiteka i pitekanthrop, ssaki naczelnne osiągnęły wyższe stadium rozwoju. W okresie zlodowacenia Riss pojawił się na Ziemi człowiek z Neanderthalu i człowiek z Cro-Magnon. My wywodzimy się bezpośrednio od gatunku Sapiens fossilis. Nasze pochodzenie sprawia, że mamy wiele cech wspólnych z przedstawicielami niższych gatunków. Nasze leukocyty wykonują ruchy ameboidalne właściwe dla istot na niskim szczeblu rozwoju. Błona śluzowa naszego nosa porośnięta jest włoskami wibracyjnymi podobnymi do tych, jakie występują u wymoczków, nasze komórki nerwowe można znaleźć u wszystkich zwierząt, nasze ciało podzielone jest na segmenty, jak ciało robaków, nasze zęby nie różnią się od płytek, z których składa się skóra rekinów. U normalnego ludzkiego zarodka widzimy łuki oskrzelowe podobne do tych, jakie występują u ryb dwudysznych. Rozmnażamy się tak samo jak inne ssaki. Jak widzicie, wszystkie te fakty potwierdzają tezę, że ewolucja jest na ziemi zjawiskiem powszechnym. Nie powinno więc dziwić was pojawienie się mutantów. Czy myślicie, że L2, Homines Superiores różnią się od nas? Nie! Są to ssaki, i mają wszystkie cechy, które właśnie wymieniałem. Nie są to istoty, których budowa opiera się na krzemie, ani stworzenia zdolne wytrzymać temperatury na płonących planetach. Są nam tak samo bliscy jak człowiek z Neanderthalu. Dlaczego więc nie mamy się porozumieć? Rebelianci uważają, że prawo konkurencji ras musi nieuchronnie się sprawdzić, że oni nas wyeliminują i unicestwią jak czyniły to w przeszłości wszystkie gatunki. To nieprawda! Przede wszystkim dlatego, że społeczeństwa ludzkie odmiennych ras długo współżyły ze sobą. Jest nawet prawdopodobne, że następowało krzyżowanie. Nikt przecież nie wierzy, by nasi członkowie przodkowie zniknęli dlatego, że się powybijali nawzajem. Myślę raczej, że przyczyną tego była niemożność przystosowania się do środowiska. Naszym jedynym problemem jest więc adaptacja. Superiores mają zalety, ale nie umniejsza to naszym. Możemy współżyć ze sobą bez walki. Podam wam przykład kotów, które niestety nie zachowały się do naszych czasów. Mamy dowody, że w tym samym czasie współżyły na naszej planecie lwy, tygrysy, lamparty i jaguary. Każdy gatunek miał własny obszar i żył po swojemu, nie walcząc z innymi. Dlatego nie mielibyśmy żyć tak samo. Zwierzęta wyginęły, gdyż nie potrafiły się przystosować. Jedne dlatego, że nie mogły już zapewnić sobie pożywienia, inne z powodu warunków klimatycznych. Przyznać trzeba, że w naszym przypadku problem adaptacji nie przedstawia się w ten sam sposób, gdyż potrafimy zmieniać otaczający świat, jesteśmy inteligentni. Homines Superiores są zdolnymi mechanikami, ale brak im odwagi. My jesteśmy dzielni, choć mniej inteligentni. Nie widzę więc dostatecznych powodów, byśmy mieli zabijać się nawzajem. Wręcz przeciwnie, zwykła logika każe znaleźć jakiś modus vivendi, który pozwoli każdemu z gatunków rozwijać się korzystając z pomocy drugiego. L2 są gotowi to uczynić, a dlaczego my nie? Oni nie mają nic wspólnego z intraplozjami, są na to przekonywujące dowody. Zastanówcie się nad tym wszystkim!

Footow skończył mówić. Włożył w to tyle serca, że teraz kropelki potu spływały mu po twarzy. Sądząc z ciszy, która zapanowała wśród słuchających go oficerów, argumenty trafiły do przekonania.

Wszyscy, byłem tego pewien, wypełnią sumiennie swoje obowiązki, a wielu spośród nich przestanie

uważać L2 za wrogów. Być może nawet zaczął zastanawiać się nad możliwością połączenia się z nimi.

To była moja odpowiedź na słowa Borona.

Tak jak przewidywałem, Acnilamczycy widząc porażkę swej propagandy, usiłowali uratować flotę. Na ekranach zobaczyliśmy świetlne punkty uciekające w kierunku innych planet.

Patrolowce, które wysłaliśmy na rozpoznanie podawały pozycje i kursy okrętów wroga. Wszyscy astronomi z niecierpliwością czekali na mój rozkaz otwarcia ognia. Wahałem się, gdyż byliśmy zbyt daleko i mieliśmy ich na granicy zasięgu naszych pocisków. Wciąż nie miałem wiadomości od Al Derwata i Rapha.

Moja czwarta grupa bojowa skierowała się na Acnilam, by odizolować cały układ i uniemożliwić wysłanie pocisków. Potem rozpoczęło się polowanie.

Pancerniki wroga uciekały tak, że z trudem utrzymywaliśmy odległość. Nie mogliśmy ich doścignąć nawet ryzykując przegrzanie silników. Wzieli kurs na chmurę zjonizowanego wapnia, byśmy stracili z nimi kontakt. Chcieli w ten sposób umożliwić sobie niedostrzegalną dla nas zmianę kursu. Przy tej szalonej prędkości w rekordowym tempie trwoniliśmy energię stosów. By nasza pogoń wyglądała bardziej wiarygodnie, jako pierwsze wysłałem krążowniki. Miałem nadzieję, że uda mi się odwrócić uwagę obserwatorów radarów tak, by przestali pilnować tego, co widać przed nimi. Trzeba było rozpocząć pozorną potyczkę. Wydałem rozkaz:

– Wyśłać do ataku ścigacze z okrętów pierwszej linii. Niech za wszelką cenę spowodują zmniejszenie szybkości przeciwnika! Niech się zachowują jak komary i nie przerywają ataku nawet w przypadku, gdy wyczerpie się im zapas rakiet. Niech piloci manewrują nie przejmując się zniszczeniem maszyn. Wiem, że straty będą duże i że krążowniki wroga nie pozwolą im się łatwo do siebie zbliżyć, ale trudno!

– Admirale – odezwał się Xartroff kilka minut później – oni ustawili zapórę ochronną, nasze ścigacze eksplodują jeden po drugim...

– Niech startują następne! Trzeba im wypełnić radary, by przestali pilnować tego co przed nimi!

Nagle Megrez, który dowodził grupą pierwszej linii zameldował mi zdyszonym głosem:

– Jest niedobrze, admirale! Znajdujemy się w polu minowym. Pieć krążowników i dwa pancerniki zostały trafione. Co mam robić?

W całym sektorze wybuchło zamieszanie. Łączność przerywana i zagłuszana wybuchami świadczyła o tym najlepiej. Nie wiedziałem, kto dowodził siłami wroga, ale odpłacił mi pięknym za nadobne. Wyprowadzony z równowagi wrzasnąłem:

– Zmienić kurs na Mirzam, nie dajcie się zestrzelić! Obejść pole minowe, bo inaczej wszyscy tam zostaną!

Większość moich jednostek zmieniła kierunek i spostrzegłem z zadowoleniem, że przeciwnik zaczął wreszcie obrywać. Wiele małych gwiazd rozbłysło teraz przed nimi – ścigacze otworzyły w końcu ogień!

Powoli kończyła się nam amunicja i coraz bardziej prawdopodobne stawało się, że mój podstęp zostanie odkryty. Strzelaliśmy raz za razem. Niestety bez większych sukcesów, byliśmy za daleko. Raz albo dwa ekran teleradarów zamigotał, a potem zapłonął: trafiony.

★

Kwadrans później ponownie zapanował spokój. W zjonizowanej chmurze, w której schroniła się flota przeciwnika, nic nie można było dostrzec. Po wypełnieniu zadania ścigacze sygnalizowały powrót. Piloci nie mogli już nimi manewrować. Silna emisja fal elektromagnetycznych zakłócała łączność.

– No tak – odezwał się ponurym głosem Lemaïne – zabraknie im paliwa. Będą straty!

Nie odpowiedziałem mu, zbyt dobrze znając drugą stronę medalu. Zestrzeliliśmy kilka krążowników nieprzyjaciela, ale nasze straty również były wysokie, zaś na dodatek musieliśmy zmienić kurs, co znacznie zmniejszyło prędkość. Jednak zasadniczy cel został osiągnięty. Fale elektromagnetyczne zakłócały pracę detektorów przeciwnika, który nie był w stanie wysledzić mających go zaatakować krążowników i niszczycieli.

Kazałem zmniejszyć prędkość okrętów-baz. Miało to ułatwić powrót ścigaczom, które natychmiast po wylądowaniu miały wypełnić zapasy paliwa, by w każdej chwili móc ponownie startować. Później będzie dość czasu na obliczanie strat. Moja flota szerokim łukiem wymięła chmure, która z pewnością była nafaszerowana minami. Wolna przestrzeń znów stała przed nami otworem.

Nożal zameldował, że jeden z naszych krążowników zgubił drogę i z pełną szybkością zderzył się z czarnym karłem. Równocześnie jeden z uszkodzonych pancerników wroga został zniszczony ogniem naszych jednostek czołowych. Ogarnęło mnie zniechecenie. Jeśli Raph i Al Dervat nie pokażą się, wkrótce wszystko będzie stracone! Moja operacja zakończy się fiaskiem, a siły rebeliantów zostaną tylko trochę nadszarpnięte. Wszyscy na statku wpatrywali się w ekrany oczekując eksplozji. W końcu pojawiło się małe światełko, daleko, bardzo daleko, potem było ich dwa, trzy, dziesięć...

Okręty wykonywały dobrą robotę – oficerowie nie mogli powstrzymać okrzyków radości. Ile uderzeń i błysków! Potem kontakt radarowy został przywrócony: siły przeciwnika rozproszyły się w panice.

Kazałem moim jednostkom ruszyć za nimi w pościg. Z pięćdziesięciu okrętów tylko pięć zdołało uciec, a i tym niszczyciele deptały po piętach. Nie zdołają odlecieć daleko, a jeśli schronią się na innej planecie i tak zrobimy z nimi porządek. Powierzyłem Al Dervatowi dowództwo grupy pościgowej. Większość moich okrętów zrobiła w tył zwrot.

– Kurs na Acnilam!

Podczas tego krótkiego lotu wysłałem dwa meldunki. Pierwszy brzmiał: „Admirał Blossow do admirała Xenlee, Naczelnego Wodza Sił Ziemskich. Przeciwnik został zaatakowany w przestrzeni wokół Acnilamu – cztery pancerniki zniszczone całkowicie – jeden ucieka – zwycięstwo – moje krążowniki ścigają niedobitków – kierujemy się na Acnilam”.

Unikałem wspomniania o mojej misji na α Cygni, by niepotrzebnie nie podkreślać własnej inicjatywy... Drugi meldunek przeznaczony był dla Borona lub jego zastępcy: „Admirał Bossow do gubernatora Acnilamu. Wszystkie statki, które usiłowały się nam przeciwstawić, zostały zniszczone. Dalszy opór jest bezcelowy. Wylądujemy niedaleko waszej stolicy Acnilii. Ci, którzy się poddadzą mają szansę pozostać przy życiu”.

Nie otrzymałem odpowiedzi.

Tym razem postanowiłem być ostrożny. Powierzyłem Zolidowi dowodzenie operacją desantową. Podczas gdy okręty-bazy wypuszczają swe jednostki, pancerniki z dużej wysokości zapewnią im osłonę. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, „Eridanus” wyląduje, by zainstalować receptor baterii strumieniowej. Zolid, który pochodził z planety Alioth, szczupły jak wszyscy jego bracia, miał szybki refleks i potrafił ocenić sytuację. Zostałem mu wolną rękę, był doświadczonym astronautą, na którym mogłem całkowicie polegać.

Obserwowałem całą operację na ekranie mirowizora. „Indus” zapewniał retransmisję.

VII. Acnilam

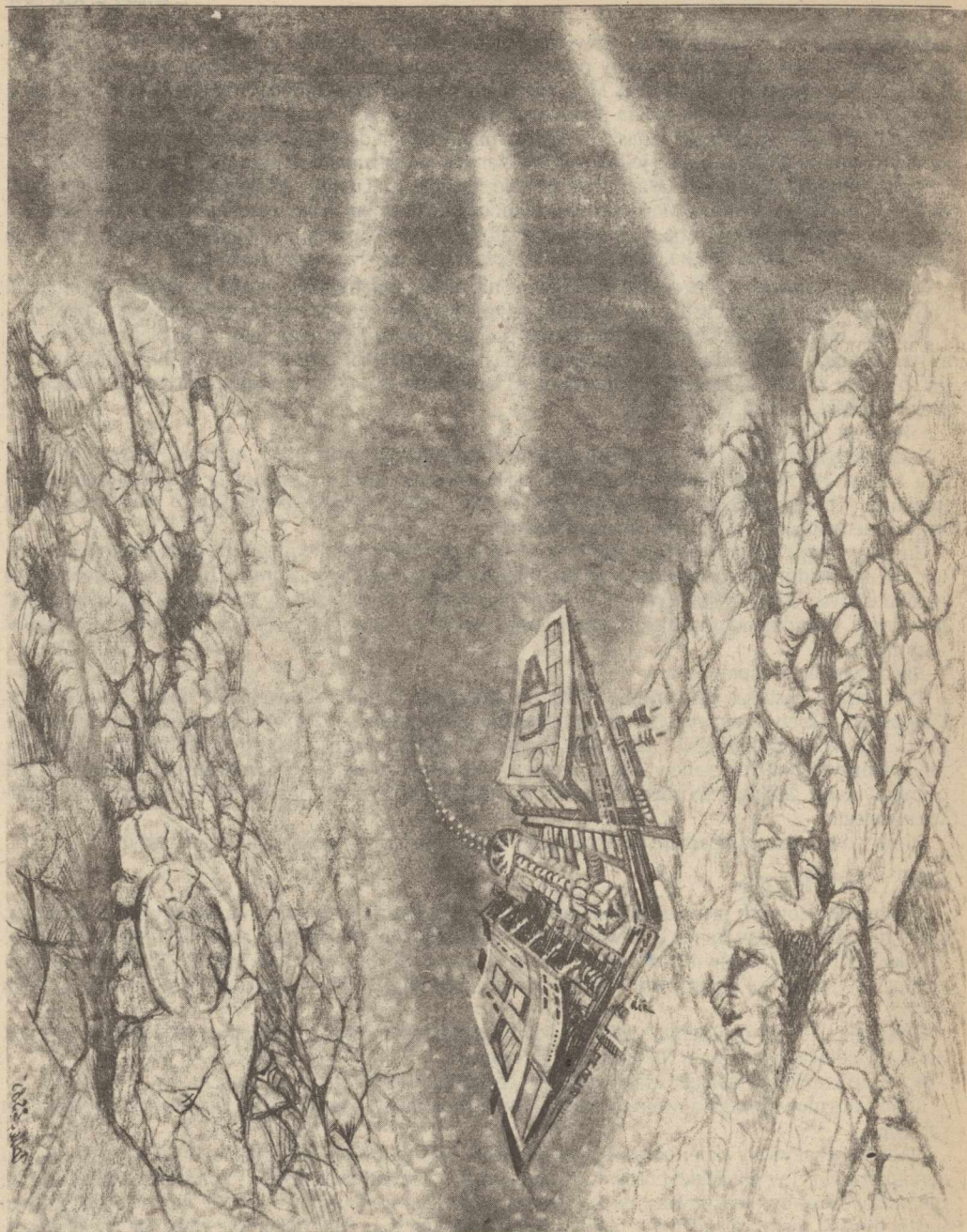
W pomarańczowych promieniach słońca Acnilamu opuszczony kosmodrom wydawał się ogromny. Na tej rozległej przestrzeni nie było widać żadnego transportowca, żadnego, najmniejszego nawet okrętu. Okoliczne budynki również zdawały się być wymarłe. Niedaleka Acnilia podobna była do plastikowej makiety, na której zapomniano ustawić miniaturowe lalki. W zasięgu mirowizorów nie było żywego ducha.

Zolid, jakby to były ćwiczenia, spokojnie odłożył dezintegrator. Kilka minut później, o parę metrów od niego wylądował okręt-baza. Nie brak tu było miejsca.

Ścigacze krążyły wokół lądowiska w każdej chwili gotowe do otwarcia ognia.

Kilku szturmowców opanowało ośrodek kontroli radarowej – i tu wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

Statki przekazywały dalej obraz pustego miasta. Nikogo... Wszystko wskazywało na to, że Boron zarządził odwrót w pobliście, porośnięte lasem góry, gdzie niełatwo będzie ich znaleźć. Wydawało się niemożliwością, by ewakuował całą kolonię na pokładach transportowców. Nie miał ich aż tyle. Jego ludzie musieli zaszyć się gdzieś w pobliżu, ale ścigacze przeczesując dokładnie teren nie znalazły żad-



Marek Zalejski

nych śladów. W różnych częściach miasta żołnierze zajmowali całe pustoszące budynki użyteczności publicznej. Nie mogłem się zdecydować, by zainstalować baterię sił promieniową na kosmodromie. Wydawał mi się podejrzenie spokojny. Panująca tu cisza wróżyła pułapkę.

Kazałem napompować plastikowy balon z wyrysowaną na nim dokładną mapą Acnilamu.

– Ciągle nic? – spytałem Zolida.

– Nic, admirale. Wszystko w porządku.

– Ewakuowali całą ludność z planety, czy ukryli się gdzieś w lasach?

– Trudno powiedzieć. Myślę, że gdyby opuścili planetę, nie wzięliby ze sobą maszyn tylko tu przydatnych. A ich nie ma.

– Bawią się z nami w zgadywanki! Czy wasze detektory wykryły gdzieś miny z opóźnionym zapłonem?

– Nie znaleziono w mieście żadnych pocisków atomowych ani nie zarejestrowano zwiększonej radioaktywności. Mogą tu się jednak znajdować miny chemiczne. Nie radzę więc panu lądować.

– Czy pańskim zdaniem, Zolid, można tu zainstalować baterię?

– Na pewno nie na kosmodromie, admirale. Pewnie gdzieś na przedmieściach jest odpowiednie miejsce, ale mogli je zaminować. Sądzę, że lepiej poczekać, aż ich zlokalizujemy. Receptor łatwo zauważyć.

Wszystkie te informacje wcale mnie nie cieszyły. Pozbawiłem nieprzyjacielską flotę możliwości skutecznego działania i chciałem jak najszybciej zakończyć tę sprawę. Wystarczyło szybko sprowadzić posiłki, by rozprawić się z buntownikami.

Ponieważ w mieście receptor nie mógł być wystarczająco bezpieczny, postanowiłem ustawić go w dogodniejszym punkcie. Wybór mój padł na rozległy płaskowyż oddalony o kilkadziesiąt kilometrów od Acnili.

– Startujemy – wydałem rozkaz do sterówki. – Predkość średnia, kurs na płaskowyż Varra, znajdzie go pan na mapie. Przygotować się do odpalenia receptora!

Płaskowyż z jednej strony opadał łagodnie, z innych dostępu do niego broniły strome urwiska. Był więc łatwy do obrony. Wierzchołki gór osłaniały go przed radarami przeciwnika.

Zainstalowanie receptora i zasilającego go układu nie było łatwym zadaniem. Czekając aż wszystko będzie gotowe, postanowiłem sam przeprowadzić rozpoznanie terenu, na którym mogli ukrywać się buntownicy. Na próżno jednak, pod kadłubem lecącego nisko „Eridanusa” rozpościerała się tylko pustylna równina. Jak ten szatan Boron zdołał się stąd ulotnić? Powierzchnia planety pokryta karłowatymi drzewami poskręcanymi przez wiatr, przypominała ziemską tundrę. Obszar, gdzie trudno jest się ukryć. Ścigacze, lecąc tuż nad ziemią, przeczesywały dokładnie teren w poszukiwaniu niewidzialnego wroga.

Wraz z zapadnięciem zmierzchu otrzymałem wreszcie meldunek Zolida. Receptor działał i posiłki złożone z grup szturmowych napływały nieprzerwanie.

„Eridanus” wszedł na orbitę stacjonarną wokół Acnilamu. Opuściłem punkt dowodzenia i poszedłem odpocząć do kabiny. Dzień następny miał być bogaty w wydarzenia. Wszystkie ścigacze powróciły do bazy, a większe jednostki krążyły wokół nas. Tylko dwa niszczyciele pełniły straż przy receptorze. Wszystko, co zdarzyło się tego dnia nie dawało mi zasnąć i raz jeszcze musiałem uciec się do pomocy hypnorelaksatora.

Już po sześciu godzinach snu alarm postawił mnie na nogi. Włączyłem mirowizję. Przejęty Xartroff meldował:

– Admirale, buntownicy zaatakowali i zniszczyli baterię!

– Choroba, ci na niszczycielach spali, czy co?! Jak rebelianci się tam dostali?

– Nie mogliśmy ich zlokalizować. Ukryty gdzieś w górach dezintegrator zniszczył najpierw „Noruta” a potem receptor.

– A niech to! Teraz trzeba zrobić z nimi porządek. Mamy dość sił. Najważniejsze to ich znaleźć. Przygotować setkę ścigaczy i desant szturmowców. Trzeba dokładnie przeczesać cały teren!

– Czy pan też poleci, admirale?

- Tak, Xartroff, chce być przy tym. Niech się pan nie martwi, jeszcze dzisiaj nic mi się nie stanie.

Tor promieni dezintegratora został precyzyjnie ustalony. Ścigacze dotarli do miejsca skąd je wysłano. Pozornie było to tylko strome urwisko. Prawdopodobnie więc buntownicy strzelali z tunelu osłoniętego przez skalny zrąb. Szturmowcy potwierdzili tę hipotezę.

Kazałem otworzyć drogę, wysadzając skały ładunkiem chemicznym. Gdy ucichło echo detonacji, wyraźnie ujrzałem tunel prowadzący w głąb ziemi. Moi ludzie z bronią gotową do strzału czekali tylko na rozkaz ataku. Musiałem się na coś zdecydować. Ta wąska szczelina mogła być pułapką bez wyjścia. Postanowiłem wysłać naprzód automatyczne wozy bojowe.

Cieżkie maszyny zniknęły w ciemnościach. Obserwowaliśmy ich drogę na ekranach mirowizorów i tak jak przewidywałem, po przebyciu kilometra łagodnie opadającym korytarzem wybuchł za nimi ładunek, odcinając odwrót. Posuwały się jednak dalej, jak gdyby nigdy nic. Silne reflektory rozświetlały szeroki na jakieś dziesięć metrów tunel o niewygładzonych ścianach. To z prawej, to z lewej strony pojawiały się wyloty mniejszych chodników. Kryształ miki iskrzyły się w światłach pojazdów. Po chwili granitowa skała ustąpiła miejsca błyszczącym żyłom chryzoberylu. Nasi przeciwnicy na podziemne schronienie wykorzystali starą kopalnię. Maszyny kontynuowały marsz nie napotykając oporu. Znajdowały się teraz na głębokości ponad jednego kilometra pod powierzchnią ziemi, a korytarz wciąż się obniżał. Nagle zgasy światła reflektorów. Roboty zatrzymały się - przed nimi, w rozległej grocie skapanej w płynącym ze ścian fosforyzującym blasku, rozpościł się las grzybów.

Jedne zdawały się pochodzić od naszych dobrze znanych surowców o ślicznych kapeluszach podobnych kolorowymi blaszkami, inne, wyższe, przypominały rozgałęzione goździenice. Zaokrąglone purchawki w kształcie podziurkowanej kuli lśniły delikatnym pomarańczowym blaskiem.

Po krótkiej chwili wahania wydałem rozkaz ataku dla drugiej brygady. Jednostka ta składała się z transporterów przystosowanych do przewozu ludzi, dowodził nią Krenbourg, specjalista od tego rodzaju akcji. Stoczył pokazową walkę z pajęczakami na Wezen, w wyniku której musiał poddać się przeszczepowi reki i nogi. Był gotów wymienić dwie pozostałe kończyny, gdyby zaszła taka potrzeba. Najwyższa Rada nadała mu order Skorpiona z trzema gwiazdami.

Opuściłem mój kuter desantowy i wskoczyłem do transportera. Zaglebiliśmy się w ciemnościach.

- Kapitanie Krenbourg - odezwałem się - niech pan cofnie kilka maszyn tak, by mogły zaatakować rumowisko z drugiej strony. To pozwoli nam zyskać na czasie...

- Dobry pomysł, admirałe!

- Czy sądzi pan, że skryli się w bocznych korytarzach?

- Na pewno nie! Ta grotą jest doskonałą kryjówką, miejsca tu nie brakuje.

- A to światło na głębokości tysiąca metrów?... Nie mogę zrozumieć skąd ono pochodzi?

- Z pewnością z pokładów fermy, admirałe. Jest go wiele na Acnilamie.

- Cały ten obszar jest radioaktywny?

- W transporterach nie mamy się czego obawiać.

Tak rozmawiając posuwalimy się szybko naprzód i już po chwili skalne odłamy zagroziły nam drogę. Po pół godzinie dezintegratory otworzyły przejście. Znów jechaliśmy z maksymalną prędkością w głąb ziemi. Nie zważałem na wstrząsy, chciałem jak najszybciej znaleźć się w grocie. Dotarliśmy tam po kilku minutach.

Maszyny kierowane przez roboty trwały na stanowiskach z bronią wycelowaną w dziwny las. Piaszczyste podłoże zachowało ślady stóp i gąsienic: nasi wrogowie na pewno tedy przechodzili. Odciski prowadziły prosto pomiędzy grzyby, ale nie widać było żadnej przecinki. Najwyraźniej grzyby z powrotem zdążyły już wyrosnąć, maskując przejście.

- Naprzód! - krzyknąłem.

Soczyste lodygi skreślały się pod naszymi pojazdami wydzielając mleczną ciecz. Posuwalimy się jak po omacku, podobne do siebie grzyby nie stanowiły żadnego punktu odniesienia. Wydawało mi się w zielonkawym świetle sączącym się ze ścian i sklepienia, że marsz był bardzo powolny. Kazałem wygaszać reflektory i nie nawiązywać łączności. Miałem nadzieję, że dzięki temu zdołamy zaskoczyć oddziały ukrywające się w tym grzybowym lesie.

Orientowaliśmy się tylko po wyżłobieniach sklepienia i zmianach pola magnetycznego. Grota, która na pierwszy rzut oka wydawała się tak rozległa, nie mogła mieć naprawdę więcej niż dziesięć kilometrów długości. Posuwaliśmy się jednak już dwie godziny i wciąż nie dotarliśmy do jej drugiego końca! Podzieliłem się moimi obawami z Krenbourgiem.

– Co się dzieje? Daję słowo, że kręcimy się w kółko. Czy wie pan kądredy tutaj weszliśmy? Jaka jest nasza pozycja w stosunku do ścian?

– Admirale, przyznaję ze wstydem, że nic z tego nie rozumiem. Nie można ustalić naszej pozycji, detektory magnetyczne oszalały, a wygląd sklepienia zmienia się bezustannie... Może spróbujemy przechwycić fale radiowe i ustalić nasze położenie goniometrycznie?

– Niech pan przechwytuje, co pan chce, ale niech pan się nie waży nadawać. Jeśli nie jest pan w stanie ustalić naszej pozycji, to musimy mieć nadzieję, że ludzie Borona też nie mogą tego zrobić! Chyba, że to jeszcze jedna pułapka, a w takim razie szybko nas znajdą!

Krenbourg przeszedł do stanowiska operatora radiowego, który uwijał się, zaaferowany, przy swoim urządzeniu. Powrócił chwilę potem wyraźnie zmartwiony.

– Nic nie można przechwycić admira! Sklepienie pochłania fale elektromagnetyczne...

– Trudno, niech pan posłuży się radarem. Niech pan przynajmniej znajdzie skałę. To nie może trwać długo.

Tym razem poszedłem razem z nim. Chciałem mieć czyste sumienie. Operator włączył swój aparat i przez chwilę zamarliśmy w oczekiwaniu spoglądając na ekran. Nic się jednak na nim nie ukazało, przestrzeń dookoła nas wydawała się pusta jak gdyby transporter znajdował się pośrodku Mgławicy Andromedy.

– To coś nowego – zauważyłem trochę zdziwiony. – Aparat działa bez zarzutu?

– Tak, admira!e, potwierdzają to lampki kontrolne. Mogę jednak sprawdzić na wszelki wypadek. Myślę, że mamy do czynienia z zaskakującym przypadkiem absorpcji. Radar jest sprawny, to fale się nie odbijają. Może tak być z dwóch powodów, albo ściany je pochłaniają, albo rozchodzą się zygzakiem.

– Co pan mi tu opowiada?! Zdaje się, że pan stwarza nowe prawa fizyki?

– Nie twierdzą, że tak jest, admira!e, to tylko hipoteza.

★

Zdumiony, wróciłem na miejsce. Kolumny grzybów dalej obojętnie przesuwają się przed nami. Bezmyślnie rejestrowałem je wzrokiem obserwując przez grube szkło wizjera celownika wozy bojowe, które torowały nam drogę. Nagle przestałem je widzieć, ich miejsce zajęła skalna ściana.

– Cała wstecz! – krzyknął Krenbourg, który patrzył mi przez ramię.

– Co się dzieje? Czyżbyśmy w końcu przeszli przez ten las?

Rozległo się wycie przekładni, transporter szarpnął, podrzucając nas jak marionetki i ruszył w tył, ułamek sekundy przed zderzeniem ze skalną ścianą.

– Uf! W ostatniej chwili!

– Silniki stop!

Jak pod wpływem czarów kamienie zamieniły się w gąszcz wysokich goździczków.

– Coś takiego! Nic z tego nie rozumiem! – zawołał ze zdumieniem Krenbourg.

– Nie dzielam pańskiego zdziwienia – odezwał się operator radaru. – Zachowanie radaru tłumaczy to zjawisko.

– Ach tak? W jaki sposób?

– Słyszałem, że w kopalniach fermy nie obowiązują prawa geometrii euklidesowej. Trzeba znaleźć odniesienie do bardziej skomplikowanych systemów wielowymiarowej przestrzeni. Ponieważ posuwanie się naprzód prowadzi donikąd znaczy to, że nasza koncepcja prostej jest fałszywa. Propagacja fal ulega zaburzeniu. Trzeba skorzystać z innych metod. Jeśli dobrze sobie przypominam, takie skrzywienie nie przeszkadza wcale mieszkańcom planety Ferma, na której ten transuranowiec występuje obficie. Ustalili prawa geometryczne, którym podlega i zgodnie z tym zmodyfikowali swoje detektory.

- Wiec na co pan czeka? Niech pan podlubie przy swoim urzadzeniu i nie zepsuje go przy tym. Niech pan sobie przypomni dokonywane na Fermie zmiany.

- Tak jest, kapitanie - westchnal operator.

- Czy wie pan przynajmniej na jakim systemie geometrycznym powinien sie pan oprzeć? - zapytalem zlosliwie.

- Niestety nie, admirale. To bardzo szczegolna sytuacja. Mieliśmy na ten temat wykłady, ale nie wymagano od nas zbyt wiele. Tylko technicy w kopalniach zajmowali sie tym dokladniej. Zrobie, co bede mógł, ale nie moge niczego obiecać.

- Niech pan spróbuje coś sobie przypomniec, to nasza jedyna szansa...

- Bardzo mi przykro, admirale, ale bede musiał próbować w ciemno.

- Trudno, może pan nadawać, ile dusza zapragnie. Pal licha, jeśli dzięki temu nas zlokalizują. Musimy sie jakoś stąd wydostać! - Zwróciłem sie do Krenbourga i zaproponowałem. - A gdyby tak jeden z nas wyszedł w skafandrze i z pulsatorem?

- Szybko straciłby nas z oczu, admirale i nie byłby w stanie znaleźć wyjścia...

- Ale przeciez nie będziemy krećli sie tak w kółko w nieskończoność. Niech pan zatrzyma wóz, piekielnie hałasuje. Muszę sie skoncentrować.

Zamyślony, gapiłem sie w ekran mirowizora. Wypełniały go całkowicie grzyby o różnorodnych kształtach. Wydawało mi sie przez chwile, że odróżniam znajome sylwetki opancerzonych pojazdów. Czy mogłem jednak zaufać moim zmysłom?

- Cała naprzód!

Niestety, omyliłem sie. Plechowce o rozlanych konturach, które przesuwaly sie na naszym ekranie, po chwili zupełnie ustąpiły miejsca skalnym odłomom i w końcu ujrzalem resztę naszych pojazdów. Odechnąłem z ulgą, kiedyś skończy sie wreszcie to jeżdżenie w kółko... Niestety, szybko spostrzegłem omyłkę, po jaśniejszym kolorze poznałem maszyny nieprzyjaciela. Fale radiowe musiały im wskazać nasze położenie.

- Przygotować sie do ataku! - krzyknąłem.

Wieżyczki strzelnicze obróciły sie wokół osi i zostały nastawione na cel...

- Ognia!

Na chwile ogłuszyło mnie wycie dezintegratorów. Skuliłem sie czekając na odpowiedź nieprzyjaciela. Na ekranie zauważyłem jedynie chmure grzybów, wyrzuconych w powietrze eksplozją. Znowu ten przeklęty fading!

- Falszywy alarm, dajcie spokój... - powiedziałem ze złością.

Z miesistych grzybni spadł deszcz zarodników podobnych do płatków róży. Droge przeciął nam strumień, ale przeprawa nie zmoczyła nawet naszych gasienic. Wszystko było złudzeniem! Obrazy zmieniały sie jak w teatrze. Następną sceną przedstawiała strzępy grzybni unoszone lekkim wiatrem, a potem rozległą piaszczystą przestrzeń, na której po chwili pojawiły sie znów gigantyczne podstawczaki. Traciłem poczucie przestrzeni i czasu. Ile to już godzin błądziliśmy po tym piekle? Spojrzałem na mój chronometr, okazalo sie, że ta dziwaczna wędrówka trwała tylko kilka minut. Wszystko przeczyło faktom. Nawet czas płatał figle. Opary mgły spowijały nas teraz całkowicie. Przez krótką chwile obawiałem sie, że uderzymy w rząd stalagmitów, ale było to kolejne złudzenie. Co za koszmar!

Przypomniałem sobie o operatorze radarowym. Co on robił?

- No wiec? - krzyknąłem. - Wymyśliłeś już coś?

- Już niedługo, admirale. Od czasu do czasu są już odbicia.

Dobra wiadomość uspokoiła mnie trochę:

- Stary, jeżeli ci sie uda, mianuje cie porucznikiem. Słowo Blossowa! - obiecałem.

Zdziwiony taką zmianą tonu, spojrzal na mnie i zauważyłem pot spływający mu po twarzy.

- Dziękuję, admirale, robie, co moge...

Jeszcze dwa razy napotkaliśmy tuż przed nami nieprzyjacielskie czołgi. Jeszcze dwa razy zniknęły, zanim zdążyliśmy otworzyć ogień. Najwyraźniej droga, którą obraliśmy była zbyt kręta, by mogli do nas wymierzyć. Mieliśmy szczęście!

Znów poczułem, jak wzbiera we mnie złość. Na szczęście operator skończył już swoją układankę, podniósł się i zameldował:

– Admirale, echo jest stałe.

Spojrzałem na ekran, na którym rysowała się wyraźna krzywa.

– To są ściany groty, admirale. Można nawet odróżnić korytarz wejściowy; tutaj na lewo.

– Pelen gaz! – wydałem rozkaz. – Ruszamy naprzód kierując się wskazaniem radaru.

– A więc to prawda, admirale? – spytał Krenbourg. – Wydostaniemy się na powierzchnię?

– Tak mój drogi, zdaje się, że mamy szczęście. Jeszcze tym razem buntownicy nas nie dostaną.

Wydobyliśmy się z pułapki z łatwością, transporter trafił dokładnie na miejsce, z którego wyruszyliśmy i kwadrans później wsiadałem już do kutra desantowego. Promieniejący radością Xartroff czekał na mnie na pokładzie „Eridanusa”. Mimo swej powszechnie znanej powściągliwości nie mógł powstrzymać się, by mi nie powiedzieć:

– Witamy admirale! Jestem szczęśliwy, że wrócił pan cały i zdrowy. Bałem się już, że nie wyjdzie pan...

Chciałem jak najszybciej wezwać specjalistów od kopalń fermu. W całej mojej flocie było ich tylko czterech. Na szczęście mieli schematy konstrukcji radarów i mirowizorów funkcjonujących w sześciowymiarowej przestrzeni. Technicy wzięli się od razu do pracy i Krenbourg niedługo potem mógł powrócić do groty, by uwolnić z niej naszych towarzyszy błądzących wciąż pośród grzybów. Obserwowałem jego poczynania na mirowizorze. Wszystko odbywało się pomyślnie dzięki zmodyfikowanym urządzeniom lokalizującym. Krenbourg zebrał jeden po drugim transportery swojego oddziału i cała jednostka wydostała się na powierzchnię w komplecie. Udało im się nawet zniszczyć dwie maszyny wroga, które usiłowały przeszkodzić im w powrocie.

Tym razem Boron będzie zmuszony poddać się, odkryliśmy jego ostatni bastion. Mój komunikat został nadany powtórnie. Dodałem do niego jeszcze kilka słów:

...Nie chcę tracić więcej czasu. Jeśli nie poddadacie się w ciągu piętnastu minut, wysadzę w powietrze całą planetę. Sami tego chcecie.

Nareszcie zrozumieli. Pięć minut później zakomunikowano mi odpowiedź Borona, trzy słowa, na które tak długo czekałem:

„Poddajemy się bezwarunkowo”.

Przeglądałem się jak zbuntowani koloniści wychodzili z kopalni na światło dzienne. Szczęsne ekrany odzwierciedlały wiernie rzeczywistość. Wyraźnie można było dostrzec lzy, które spływały po twarzach dowódców, gdy tłumiąc gniew oddawali broń. Stworzyli tę tajną bazę w głębi groty, nad małym jeziorkiem o idealnie przejrzystej wodzie, zebrali tu żywność i amunicję na ponad pół roku. Odzyskałiśmy wszystko.

Potem nastąpił pożalowania godny przemarsz więźniów. Wszyscy byli w identycznych skafandrach, prowadził ich Boron. Dowiedziałem się później, że miał nadzieję, iż uwierzę w jego odlot z Acnilamu. Zainstalowanie receptora, dzięki któremu grupy szturmowców przybyły na planetę, rozwiła jednak te marzenia. Musiał go zniszczyć.

Po wykonaniu pierwszego zadania „Eridanus” przygotowywał się do opuszczenia Acnilamu. Przekazałem Krenbourgowi dowództwo ostatniego etapu ewakuacji. Wszyscy mieszkańcy musieli opuścić planetę. Później inni koloniści przyjadą podjąć jej eksploatację, a przede wszystkim kopalnię fermu, której istnienie Boron zataił.

Potwierdziłem wydany przedtem rozkaz. Wszyscy zbuntowani oficerowie mieli zostać straceni...

Byliśmy już o kilkanaście parseków od Acnilamu, gdy kapitan Krenbourg zameldował o wykonaniu rozkazu. Z ciekawości spytałem go o szczegóły. Wydawał się zażenowany i w końcu przyznał, że nie potrafił dokonać egzekucji. Wysłał ich wszystkich bez urządzeń radiolokacyjnych i bez pożywienia z powrotem do kopalni.

Z trudem pohamowałem wściekłość. Takie postępowanie wydało mi się niepotrzebnym okrucieństwem. Powiedziałem sobie jednak, że przecież wielu moich szturmowców spotkał równie smutny los. Bez słowa przerwałem polaczenie...

VIII. Misja na Szinearze

– α Cygni w polu widzenia, admirale!

Obserwowałem przez chwilę maleńkie światełko, które stanowiło dla mnie zapowiedź początku nowej misji. Kogo spotkam na planecie mutantów – ludzi pełnych goryczy, gdyż postąpiono wobec nich niesprawiedliwie, czy może wyrozumiałych przyjaciół? Miałem z nich zrobić sprzymierzeńców ale wobec tego, że zostali wygnani z Ziemi nie było to łatwe zadanie. Saruka zapewniała mnie o ich uprzejmości, jednak czułem się lepiej w ogniu walki na czele mojej eskadry, niż w roli ambasadora.

Maleńki punkcik zamienił się w świecącą planetę. Nie było już czasu na rozmyślania.

Po wejściu na orbitę, które przebiegło bez zarzutu, „Eridanus” wystrzelił mój kuter desantowy. Znurkowałem w kierunku Mirapolu, stolicy mutantów.

Na Wielkim Placu, Tlekar, przywódca L2 czekał na mnie w otoczeniu innych znakomych obywateli miasta. Po kilku kurtuazyjnych słowach powitania spytał o moje listy uwierzytelniające. Przywiozłem je zarejestrowane na mikrofilmach. Oficer z jego świty po przeczytaniu ich oświadczył, że wszystko jest w porządku.

Jak dotychczas powitanie odbywało się zgodnie z przewidywaniami. Nie było entuzjastyczne, ale też pozbawione jakichkolwiek przejawów wrogości. Otaczający nas L2 przyglądali mi się z ciekawością a potem odchodzili, by ustąpić miejsca następnym.

Obok nas wyróśli niespodziewanie rodzaj wyposażonej w fotele platformy. Tlekar poprosił, bym zajął miejsce. Sam usiadł za plecami pilota i maszyna cicho uniosła się w powietrze.

– Słowo daję – zdziwiłem się – przysięgłbym, że to bezgłośnie urządzenie funkcjonuje w oparciu o siłę anty-G.

– Ma pan rację, admirale. Nie ma tu żadnego silnika. W tym urządzeniu wykorzystujemy tylko anty-grawitację.

– Genialne odkrycie! Zdumiewające... Dzięki temu możecie być bardzo ruchliwi...

– Istotnie, eksploracja planety jest już dość zaawansowana... Dokonałiśmy interesujących odkryć, o których opowiem panu w odpowiedniej chwili. Na razie pozwolę sobie podać panu nową nazwę α Cygni: Szinear! To chyba dowodzi naszych ambicji.

L2 byli naprawdę zadziwiani! Obraz, który miałem przed oczyma świadczył o tym najlepiej. Mirapol, zbudowany przecież tak niedawno, był już rozległym miastem. Podobieństwo poszczególnych budynków kazało mi sądzić, że produkowane były seryjnie. Jeszcze bardziej zaskoczyła mnie obecność na ulicach miasta zwierząt, które razem z L2 zostały deportowane z Ziemi. Wszyscy zdawali się tutaj współżyć ze sobą i mutanci nie zwracali na te dziwaczne stwory więcej uwagi, niż nasi przodkowie na koty czy psy. Dla takiego jak ja Ziemianina widzieć pterodaktyla zwisającego z balkonu głową w dół, czy grupkę dzieci siedzących spokojnie na grzbiecie ceratodonta było czymś nader niezwykle. Powiedziałem to moim gospodarzom. Tlekar z drwiącą miną odparł:

– Dostrzeże pan jeszcze wiele innych zmian w naszym stylu życia, mój drogi. Musi pan zmienić swój punkt widzenia... – I po chwili dodał już poważnie:

– Mimo że na tej planecie szczęście nam dopisuje, jednak nie wszystko się udaje i zarówno Sapientes jak i Superiores mają do rozwiązania jeszcze wiele problemów. A wracając do tych zwierząt, to mogę panu wyjaśnić w jaki sposób zostały przez nas udomowione. Pański gatunek posługuje się językiem, który powstał, gdyż wasze gardła mogą produkować dźwięki. Ziemscy naukowcy dawno już spostrzegli, że inne gatunki wykorzystują odmienne sposoby porozumiewania. Wystarczy wspomnieć o pszczołach, które wykonują w powietrzu prawdziwy balet. Aby porozumiewać się ze zwierzętami o niezwykle niskim poziomie inteligencji, posługujemy się metodą, która jest połączeniem hipnozy i kodu obrazowego. W jednym obrazie wyrażamy to, na co trzeba by wielu słów. Między sobą porozumiewamy się w ten sam sposób. Jest on bardziej ekspresyjny i szybszy niż język mówiony, którego używamy teraz coraz rzadziej. Chciałbym dodać, że pomysłeliśmy również o was, Homines Sapientes. Zbudowaliśmy urządzenie, które i wam pozwoli się tak porozumiewać.

To na pewno jeszcze nie wszystkie niespodzianki L2, pomyślałem. Saruka miała rację, trzeba koniecz-

nie nawiązać współpracy z tym gatunkiem geniuszów. Nadal obserwowałem ulice, L2 zatrzymywali się na nasz widok i pozdrawiali nas przyjaźnie. Nie byłem zbyt popularny, ale nie byłem również intruzem. To dobry znak.

Zafrapowało mnie podobieństwo wszystkich mutantów. Opuszczając Ziemię, jeśli nie brać pod uwagę ich akromegalii, wyglądali przeciętnie, tak jak i my różniąc się między sobą urodą. Wszyscy mieszkańcy Mirapolu byli jednak piękni. Jedyną różnicę między nimi a naszymi bohaterami mirowizji stanowiły włosy. Z pewnością po to, by ukryć zbyt wielkie czaszki, L2 mieli je bardzo długie. Wspominałem o tym Tlekarowi. Uśmiechając się tajemniczo, co czyniło go podobnym do antycznej figury Anioła z Reims, odpowiedział:

– Mój drogi admirale, mówiłem już, że nie raz jeszcze się pan zdziwi. Możliwości intelektualne naszego gatunku mogą być tutaj w pełni wykorzystane, gdyż wszystkie zdobycze techniki są do dyspozycji naszych naukowców. Uroda, która pana tak dziwi, jest skutkiem działania urządzenia zwanego bio-estetyzatorem. Każdy mężczyzna i każda kobieta może wybrać swój idealny wygląd i poprawić to, czym obdarzyła ich natura. Nasi estetycy dostarczają żądanych modeli. Kto pragnie poddać się regeneracji, co wieczór wchodzi do formy i powoli, dzięki migracji jonów wapnia i zmianom w komórkach skóry, jego ciało nabiera upragnionego wyglądu. Potrzeba na to około miesiąca. Opracowujemy w tej chwili dane genetyczne, które pozwolą przekazać potomstwu wybrany fenotyp. Jak pan widzi, to dość proste...

– Jest pan niezwykle skromny, drogi Tlekar! Na Ziemi tylko nieliczni mogą sobie na to pozwolić. Żałuję bardzo, że mój pobyt tutaj nie będzie trwał miesiąc, mógłbym wówczas skorzystać z tej znakomitej metody!

– Ależ admirale, mój powinien pan narzekać na swój wygląd...Jeśli jednak pan sobie życzy, z największą przyjemnością ofiaruję panu takie urządzenie.

– Bardzo dziękuję...

Pojazd zatrzymał się przed domem Tlekara, kulą, która różniła się od innych jedynie swoją wielkością. Wnętrze urządzone było z niemal ascetyczną prostotą i tylko urządzenia stojące pod ścianami wskazywały, że mieszka tu nie byle kto. Tlekar przedstawił mnie swojej żonie o imieniu Xabira. Powściągliwa i dystygowana opuszczała szybko pomieszczenie, w którym znajdowałem się w towarzystwie kilku L2. W ich rękach spoczywał zarząd planety Szinear. Trzej mężczyźni: Tlekar, Dosi i Litto i dwie kobiety: Saura i Maluta.

Nie sądzę, bym na kobietą urodę był wrażliwszy niż kto inny. Muszę jednak przyznać, że Saura wywarła na mnie ogromne wrażenie. Saruka była piękna, lecz jej urody nie dawało się nawet porównać z pięknnością tej kobiety... Przynajmniej ja tak uważałem. Najbardziej niezwykle było to, że już od pierwszego momentu nawiązaliśmy milczące porozumienie.

Wiadomo o czym mówię. Pewnego dnia spotykamy przypadkiem dziewczynę, nasze spojrzenia krzyżują się i doznajemy szoku... Serce zaczyna szybciej bić. Nie możemy od niej oderwać wzroku. Wzajemne przyciąganie jest tak silne, że jeśli nie możemy być razem, mamy rozdarte serca. Ona czuje to samo, jesteśmy tego pewni...

No więc to właśnie spotkało mnie, gdy ujrzałem Saure. Nie znałem jej wcześniej, a ona aż do tego dnia nic nie wiedziała o mnie. Mimo to nie mogliśmy przestać wpatrywać się w siebie. Przestałem słuchać Tlekara, z trudem tylko docierał do mnie dźwięk jego głosu. Ona była mi przeznaczona. Ja należałem do niej i pragnąłem nigdy się z nią nie rozstawać. Ładny początek misji poselskiej!

Po chwili odzyskałem równowagę i mogłem już myśleć o czymś innym niż o jej długich, opadających na ramiona włosach. Znowu stałem się nadzwyczajnym wysłannikiem Rady Najwyższej. Tlekar mówił dalej i wydawało mi się, że trwa to już co najmniej godzinę:

– ...Wszyscy cieszymy się z ponownego nawiązania stosunków z gatunkiem, który dał nam życie. Przybywa pan do nas w aureoli zwycięzcy, admirale Blossow, a dla wszystkich L2 jest to niezwykle ważne. Wśród ludzi znów zapanował pokój. To radosna nowina. Chcemy uczynić wam kilka istotnych propozycji i trzeba, byśmy rozmawiali jak równy z równym, szczerze i otwarcie. Admirale, jest pan przedstawicielem gatunku dynamicznego, który już dawno dowiódł swojej siły. Pochodząc z małej planetki, krążącej wokół zwykłego słońca, Sapientes podbili Galaktykę, planetę za planetą, gwiazdę za

gwiazda, tak daleko, jak pozwolił im na to zasięg ich statków. Walka jest dla was rzeczą zwyczajną i nie przerażają was żadne trudności. Ogrom Wszechświata nie odbiera wam odwagi. Nie straciliście jej nigdy i nigdy nie zabraknie wam nieposkromionej woli, która uczyniła was panami całej Galaktyki. Nasze pojawienie się na Ziemi stanowiło nową próbę, którą przeszlście zwyciesko, nie uciekając się do brutalnej siły, ale i nie ulegając słabości. Ziemia okazała się za mała dla naszych dwóch gatunków i postąpiliście mądrze ofiarowując nam tę planetę. Nie mamy żalu, przeciwnie, cieszymy się z tego. Na Szinearze Superiores mogą się w pełni rozwijać nie przeszkadzając nikomu. Będę szczery i mam nadzieję, że pan także. Pragnę nawiązania jak najściślejszej współpracy z mieszkańcami Ziemi. Nasze osiągnięcia techniczne, nie zaprzeczy pan, przewyższają ziemskie. Jak dotąd kilka z naszych wynalazków wzbudziło pańskie zainteresowanie. Chciałbym, aby pan wiedział, że będą one do waszej dyspozycji.

Czego żądamy w zamian? Niewiele: waszej odwagi. Brakuje nam tej cechy. Używając terminu, którym wy określacie niektórych psychopatów, wszyscy L2 cierpią na agorafobie. Przestrzeń napawa nas strachem. Tylko nieliczni mogą kierować naszymi wspaniałymi statkami kosmicznymi. Gdy nasza załoga oddali się od Szinearu i straci go z oczu, ogarnia ją strach, a statek musi powrócić na planetę. Jedynie Darruth, niech pamięć jego będzie wieczna, obdarzony był tak silną wolą, że potrafił zaprowadzić jeden z naszych statków aż na granice Galaktyki. Muszę panu wyznać, admirale, że jego zadanie było podobne do pańskiej misji: miał znaleźć przyczynę intraplozji. Stronnictwo Tubala i Tedara wytoczyło przeciwko nam poważne oskarżenie i jest rzeczą niezwyklej wagi, byśmy mogli udowodnić naszą niewinność. Jemu także udało się zdemaskować te przeklęte istoty, które pragną zniszczyć całą ludzkość. Niestety, zgubiła go własna odwaga. Znalazł się zbyt blisko wrogiej planety i statek został trafiony. On sam, ciężko ranny, zdołał jedynie zawrócić na kurs na α Cygni. Zmarł podczas drogi, nie mogliśmy go już uratować. Na szczęście cenna dokumentacja, którą zebrał, dotarła do nas... Proponuję, żeby się pan z nią zapoznał. Ale być może ma pan jakieś pytania...

- Tak, chciałbym wyjaśnić kilka spraw...

- Słucham.

- Po pierwsze, chodzi mi o informacje dotyczące waszych osiągnięć technicznych. Wspomniał pan o niezwykłych statkach, a to interesuje mnie szczególnie. Czy również w tym przypadku wykorzystujecie antygravitację?

- Tak, podczas startu silniki wodorowe nie są już potrzebne. Dzięki prostemu oddziaływaniu na masę urządzenia, któremu nadawana jest grawitacja negatywna, zapewniamy napęd statków wewnątrz systemów planetarnych. W przestrzeni międzygwiezdnej zamiast wykorzystywać napęd jonowy, statki emitują negatywne grawitony. Pozwala to na uzyskanie bardzo dalekiego zasięgu, a nawet dotarcie poza granice Galaktyki.

- Chciałbym jak najszybciej zobaczyć z bliska te okręty!

- Niech się pan nie obawia, gdy tylko dojdziemy do porozumienia, do pańskiej dyspozycji będzie cała ich eskadra. Będzie pan mógł objąć jej dowództwo i wyruszyć na polowanie.

- Przekaze te propozycje P.R.N. Hagupianowi. Będę szczęśliwy pilotując jedną z takich maszyn! Albo, przecież jeżeli zaistnieje potrzeba dotarcia aż do sąsiednich galaktyk, będzie to wymagało wielu lat. Nieoczekiwane będą całe generacje... Chyba, że wasze osiągnięcia w biologii...

- Długość naszego życia bardzo się powiększyła, przeciętnie do około dwustu lat. Ponadto nasi naukowcy rozwiązali wszystkie problemy dotyczące kontrakcji czasowej podczas podróży międzygalaktycznych. Wobec tego piloci, którzy wyruszą w przestrzeń mają pewność, że powrócą w swoją epokę. Wy, Ziemianie, o ile się nie myle, rozwiązaliście już ten problem w odniesieniu do krótkich lotów galaktycznych. Z waszą pomocą Wszechświat stoi dla nas otworem. Sapientes i Superiores mogą stworzyć imperium kosmiczne, niszcząc wszystkich głupców, którzy usiłowałiby się im przeciwstawić.

- Wspaniała perspektywa! Zanim jednak zaczniemy rozpatrywać ją z powagą, na jaką zasługuje, pozostaje do rozstrzygnięcia jeszcze jeden problem. Odkryłem satelity, które powodują intraplozję, wasz eksplorator działał więcej, odnajdując bazę istot, które chcą nas zniszczyć...

- Rzeczywiście - odparł Tlekar. - Saura przedstawi panu dokładnie historię tej wyprawy. Od śmierci

Darrutha zajmuje się tym problemem. Jest jednym z nielicznych L2, którzy są w stanie podróżować w przestrzeni kosmicznej. Wielka szkoda, że nasze baterie strumieniowe nie działają bez receptorów! Nie mielibyśmy wówczas wszystkich tych problemów...

Oto kamyk do mojego ogródka, pomyślałem sobie. No, ale w każdym razie nieczęsto zdarza się spotkać astronautę z takim sex-apealem.

Saura rozpoczęła swoją opowieść spokojnym i cichym głosem.

– To wielki zaszczyt dla mnie rozmawiać na ten temat z tak słynnym jak pan astronautą. Jest to również wielka przyjemność, admira! Wszystko zaczęło się podczas wycieczki, którą odbyliśmy razem z Darruthem niedługo po przybyciu na tę planetę. W nocy zwróciło moją uwagę nikle ultrafioletowe światelko. Ziemianie, którzy odwiedzali przed nami α Cygni nie mogli go dostrzec, gdyż wasze oczy nie widzą ani promieni podczerwonych ani ultrafioletowych. Gdy podeszliśmy bliżej, odkryliśmy krystaliczne szkielety, a obok nich resztki statku kosmicznego. Po dokładnym zbadaniu szczątków nasi specjaliści nabrali przekonania, że znajdowały się tutaj od niedawna, mniej więcej od dziesięciu lat. Analiza biologiczna dała zadziwiające rezultaty. Mieliśmy do czynienia z gatunkiem całkowicie różnym od naszego, rozwijającym się w oparciu o prawa mineralogii. Wie pan, że w odpowiednim roztworze soli małe ziarno może dać początek kryształowi, który będzie miał stałe własności. W przypadku tego gatunku wzrost kości, słupów krystalicznych, zachodzi w środowisku ciekłych gazów, z grubsza porównywalnym z naszym płynem ustrojowym, wypełniającym silikonową powłokę spełniającą rolę skóry. Jeszcze bardziej zadziwiający jest fakt, iż jak zauważyli specjaliści, ich statek zbudowany został w oparciu o tę samą zasadę. Małe ziarenko, rodzaj makiety umieszczonej w odpowiednim środowisku, rośnie aż do osiągnięcia gigantycznych rozmiarów ograniczanych jedynie pojemnością zbiornika. Ta niezwykle interesująca technika została wykorzystana przez architektów Mirapolu do seryjnej konstrukcji naszych budynków, a także pozwoliła naszym inżynierom na wyprodukowanie olbrzymich, kulistych kadłubów. Stargrawy zaopatrzone w silniki antygravitacyjne wykorzystywane są do lotów międzyplanetarnych. – Saura przerwała na chwilę.

– Muszę teraz panu wyjaśnić, w jaki sposób udało nam się odnaleźć bazę tajemniczych istot – ciągnęła dalej. – Podczas poszukiwań znaleziono na pokładzie wraku dziwne mapy sferyczne, rozwijające się jak cebulki niektórych roślin. Most gwiazdny, którym Droga Mleczna ciągnie się w kierunku Obłoku Magellana przyciągnął naszą uwagę swym fosforyzującym blaskiem. Obszar ten, mimo że znajduje się w zasięgu waszych statków, nigdy nie był dokładnie badany. Tlekar, dzięki swej genialnej intuicji odgadł, że tam właśnie znajduje się planeta tajemniczych wrogów. Niestety, choć stargrawy umożliwiały taką podróż, załogi nie były w stanie jej odbyć. Gdy tylko α Cygni przestaje być widoczna, L2 odmawiają dalszego lotu. Mimo starań Tlekara, który poddał specjalnym testom wszystkich mieszkańców planety, trzeba było zrezygnować z wyprawy. Tylko Darruth i ja nie cierpieliśmy na agorafobie. Poddano nas intensywnemu szkoleniu, a mechanicy pracowali, by zbudować statek pilotowany przez jednego tylko astronautę. Wyposażyli go w najnowocześniejsze i najdoskonalsze urządzenia, nadzwyczajnie czułe detektory, a nawet w aparaty znalezione we wraku rozbitego pojazdu, które prawdopodobnie były czymś w rodzaju mirowizorów używanych dla potrzeb łączności. Pewnego ranka Darruth odleciał. Ogarnął mnie smutek, gdyż nauczyłam się go cenić a jakieś przeczucie kazało mi obawiać się, że nie zobaczę go już nigdy...

Spojrzałem na nią pytającym wzrokiem. Idiotyczna zazdrość ścisnęła mi serce. Jakie uczucia żywiła dla tego młodego L2, miłość, przyjaźń? Z jej opowieści wynikało, że był wspaniałym, błyskotliwym, młodym bohaterem. Miał wszystkie zalety, by zdobyć serce wrażliwej i delikatnej Saury. Po cóż jednak zastanawiać się nad rywalem, którego już nie ma?

Jakby odgadywać moje myśli Saura zarumieniła się i po chwili na nowo podjęła swoją opowieść:

– Usłysz pan teraz fragmenty meldunków odnalezione w pancernym pojemniku na „Szinear I”.

Na znak Tlekara Maluta wyciągnęła zza paska małą metalową tulejkę, którą włożyła do stojącego obok aparatu. Usłyszeliśmy ciepły, sympatyczny głos:

„Zbadałem już dziesięć gwiazd, których widmo odpowiada widmu Słońca Minelogów, ale na próżno.

Wokół trzech z nich krążą planety. Tylko na jednej odkryłem istoty żyjące, o metabolizmie węglowym, na bardzo niskim szczeblu rozwoju. Ciągłe ani śladu nieprzyjaciela lub jego statków.

Dziś upływa trzydziesty dzień mojej podróży. Wszystkie automatyczne urządzenia działają bez zarzutu. Czuję się samotny, ale nie nieszczśliwy. „Szinear I” sprawuje się doskonale. Nagrania, które znajdują się na pokładzie pomagają zabić czas.

Trzydziesty pierwszy dzień podróży. Zdarzyło się coś nowego! Przekaznik Minelogów odezwał się cichym gwizdem. Średnia długość fali około 1 500 megacykli, z głośnika wydobywają się ultradźwięki. Możliwe, że Minelogowie posługują się językiem zbliżonym do mowy ziemskich delfinów. Jest jeszcze za wcześnie na użycie automatycznego tłumacza, odbiór jest bardzo słaby. Podążam dalej w tym samym kierunku.

Trzydziesty drugi dzień podróży. „Szinear I” zmierza w dobrym kierunku. Siła odbieranych sygnałów wzrasta z godziny na godzinę. Spróbowałem użyć tłumacza, mimo że jest jeszcze wiele zakłóceń. Przełumaczył urywki zdań: „...trzecia eskadra... droga do sektora 780... nic... Capita... Wroz...” To sukces, tłumacz działa wspaniale. Mam nadzieję, że jutro uda mi się przechwycić emisję z planety Minelogów.

Trzydziesty trzeci dzień podróży. Natrafiłem na eskadrę nieprzyjacielskich statków. Kieruje się w stronę układu ALPHARD (Hydra A.R. 09°25'D.8° 4 według namiarów ziemskich). Emisja planetarna jest dość wyraźna, zarejestrowałem co następuje:

„Wiadomość dla trzeciej eskadry – rozszerzenie zadania – umieścić ziarno satelitów wokół następujących gwiazd – (szereg cyfr odpowiadających według map nieprzyjaciela gwiazdom: Nunki, Wezen, Atria) – musicie ominąć każdy statek wroga – wykorzystujcie niewidzialność – jeśli was wykryją, zniszczcie go...”

Muszę się trzymać! Dwie godziny temu zlokalizowałem układ, z którego pochodził komunikat. To tryplet: gwiazda główna jest niebieska, druga żółta, a ostatnia pomarańczowa. Tylko niebieska widoczna jest z daleka.

Trzydziesty czwarty dzień podróży. Zmniejszyłem szybkość. Zaczynają się kłopoty, próbują mnie zlokalizować. Kilka razy fale natrafiły na kadłub „Szineara I”. Mój teleradar sygnalizuje małe punkty na granicy zasięgu. Wiele nieprzyjacielskich statków. Zgodnie z instrukcją włączyłem osłony kamuflujące, które sprawiają, że „Szinear I” wygląda jak meteor. Silniki wyłączone, wszystkie urządzenia elektryczne również. Działa jedynie protonowy teleskop. Orbita, na której się znajduje, przebiega w pobliżu trypletu i mam nadzieję, że znajdę się pomiędzy planetami.

Trzydziesty piąty dzień podróży. Jeden ze statków nieprzyjacielskich znajduje się w pobliżu. Powyginany krzemowy pancierz, który okrywa kadłub „Szineara I” dobrze spełnia swoje zadanie. Minelogowie obserwując mnie z daleka, nie uznali za stosowne zbliżyć się. Meteory, nawet dużej objętości, są częste w tym sektorze. Tym lepiej...

Zbadałem ich planety: nie są kuliste! Wszystkie trzy nie mają określonego kształtu. Na szczęście moja trajektoria wiedzie przez środek orbit, 200 000 kilometrów od drugiej z nich. Znajduje się na płaszczyźnie ekliptyki. Wszystko jest na dobrej drodze i na pewno dowiem się czegoś ciekawego!

Sześć statków podąża w ślad za mną. O co im chodzi? Mam nadzieję, że nie będą chcieli wylądować... Mała rakieta odłączyła się od jednego z nich. Wszystkie silniki wyłączone. Obserwuję ją przez mały optyczny peryskop. Kilka razy prawie otarła się o mnie... No, oddala się nareszcie! Minelogowie uspokoił się i przestali mnie pilnować. Jestem znowu sam.

Trzydziesty szósty dzień podróży. Te trzy planety to resztki większej, która eksplodowała. Wewnętrzna magma uległa krystalizacji i Minelogowie żyją właśnie na takich obszarach krystalizowanej lawy. Czy istnieli przedtem, czy też narodzili się pośród tych kryształów już po katastrofie? Trzeba to wyjaśnić. Odżywiają się szlachetnymi kamieniami, które tworzą tu lasy, tak jak nasze rośliny. Te trzy ciała niebieskie są od siebie odległe o mniej więcej 500 000 kilometrów. Wokół drugiej z planet roi się od statków. Wreszcie jestem w aphelium. Działają już komputery i urządzenia rejestrujące. Wszystko poszło dobrze i mój „meteor” nie został dotąd zauważony. Wkładam nagrania do opancerzonych pojemników. Trzeba teraz czekać, aż „Szinear I” się oddali.

Trzydziesty siódmy dzień podróży. Cała noc odpoczynku dodała mi sił. W ostatnich dniach zbyt wiele czuwałem. Hypnorelaksator przywrócił mi formę. Mój „meteor” kontynuuje swą spokojną wędrówkę po orbicie.

Trzydziesty ósmy dzień podróży. Jutro przeanalizuję zebrane informacje. „Szinear I” wystarczająco oddalił się od planet i mogę zrezygnować z kamuflażu. W polu widzenia nie ma żadnego ze statków nieprzyjaciela. Silniki ruszyły z łatwością. Przyspieszam. Nareszcie jestem w drodze powrotnej!

Trzydziesty dziewiąty dzień podróży. Niedobrze... Sygnał ostrzegawczy odezwał się na chwilę przed tym nim nieprzyjacielski statek otworzył do mnie ogień... Nie osiągnąłem jeszcze pełnej prędkości. To mu pozwoliło mnie trafić... Wystrzelił we mnie strumień ultradźwięków i wszystko zaczęło wibrować. „Szinear I” musiał zmienić pozycję. Głowa o mało mi nie pękła... Odlamki unoszą się wszędzie wokół... Jeden z nich przeciął mi bok... mam podarty skafander... trudno mi oddychać... automatyczne pociski wyrównały rachunek! Jestem ranny i nie mam żadnej szansy na ocalenie... automat medyczny dokonał już kilku transfuzji... jego zdaniem poddając się hibernacji mógłbym się uratować... to niemożliwe... automatyczny pilot został uszkodzony, trzeba naprawić... tylko on może doprowadzić statek z powrotem... W porządku, zreperowałem automatycznego pilota... poddaje się hibernacji... mam szansę wyciągnięcia się z tego jak dziesięć do stu... Żegnaj, Sauro... Niech Tlekar ostrzega się ultradźwiękami...

- Mój drogi Blossow, oto co Darruth przekazał nam po swojej śmierci. Jego zahibernowane ciało nie mogło zostać przywrócone do życia...

- Chwała mu! Zostanie pomszczony... Mamy w końcu rozwiązanie zagadki, dla której zrobił tyle tysięcy parseków. Ci przekleci Mineologowie chcą wyrzucić nas z naszych planet. Policzmy się z nimi. Skoro wiemy już, że satelity powodujące intruzję umieszczane są wokół słońca w stadium ziaren, które rosną żywiąc się materią gwiazdą, będziemy mogli temu przeszkodzić. Później zaś Sapientes wspólnie z Superiores położą kres działalności Mineologów niszcząc ich planety.

- Podziwiam pański zapał, admira! Jeśli cała flota Ziemi złożona jest z takich ludzi, jak pan, Mineologowie nie mają najmniejszych szans! - odezwał się Tlekar. - Nie należy jednak zapominać, że są potężni i że nasze statki nie wystarczą, by odnieść zwycięstwo. Musicie zacząć produkować je także na Ziemi, według planów, które wam przekażę. Wasz przemysł będzie mógł zbudować ich wiele. Wspólnie pokonamy napastników. Zamierzam oddać panu kilka jednostek, by umożliwić szkolenie waszych astronautów, skoro L2 są niezdolni do ich pilotowania. Jeśli Hagupian wyrazi zgodę, przyśle na Ziemię za pomocą baterii strumieniowej mechaników, którzy rozpoczną ich masową produkcję w zbiornikach.

- Zgadza się na wszystko, Eksceleńco. Przedłożę pańską propozycję Najwyższej Radzie. Należy się jednak obawiać, że projekty te napotkają na pewne trudności w realizacji. Postaram się ułatwić ich pokonanie. Kiedy mogę powrócić na Ziemię?

- Za kilka dni. Pańscy ludzie muszą poznać się z pilotowaniem stargawów.

- Doskonale!

- Jeśli pan sobie życzy - dodał z uśmiechem Tlekar - Saura będzie towarzyszyła panu na Ziemi. Przedtem zaś pokaże panu naszą planetę.

- Będzie to dla mnie wielka przyjemność.

- Do zobaczenia, admira!e!

Pożegnałem się i odszedłem w towarzystwie uroczej przewodniczki.

IX. Saura

Na dworze czekał na nas grawimob. Saura poprosiła, bym zajął miejsce na przednim siedzeniu.

- Pokaże panu, jak prowadzi się tę maszynę, admira!e! - zaproponowała wesoło. - To bardzo proste: porusza pan tą dźwignią i pojazd wznosi się wyżej lub opada. Tutaj jest regulator prędkości. Wolant działa tak jak dźwignia sterowy. Ale uwaga: przed startem trzeba zamknąć plastikową kopułę.

- Dokąd lecimy?

- Niech pan wybiera... Może chciałby pan obejrzeć Mirapol?

- Dobry pomysł!

Wykonałem odpowiednie czynności i grawimob lekko uniósł się w powietrze. Kierowanie nim było dziecinnie proste...

- Proszę się trzymać prawej strony, gdy leci pan ponad ulicą - zwróciła mi uwagę Saura.

Miasto wyglądało nowocześnie, technika dominowała tu nad sztuką. Zbudowano je niedawno, dlatego też jego mieszkańcy dbali przede wszystkim o rzeczy niezbędne, mimo to zauważyłem kilka posągów, były też ogrody. Energiczni L2 interesowali mnie jednak o wiele bardziej. Znowu zdziwił mnie widok przechadzających się swobodnie prymitywnych zwierząt.

Saura widząc to odezwała się rozbawiona:

- Intrygują pana te stworzenia, admirałe? Czy chciałby pan przyjrzeć się im z bliska? Mam tu małe urządzenie tłumaczące, które przekaże pana polecenia. Przejazdźka na diplodoku, a może lot pterodaktylem? Są łagodne jak jagnięta!

- Byłaby to ciekawa przygoda. Chciałbym jednak najpierw zobaczyć wasze statki, jeśli mam dowodzić nimi w walce.

- Dobrze. Kosmodrom znajduje się u stóp wzgórza, nabierzmy wysokości i lecmy tam od razu.

Wypróbowywałem szybkość mojego nowego pojazdu. To było zupełne чудо: szybki, cichy, wygodny... W mgnieniu oka pozostawiliśmy za sobą kuliste domy i niebawem zobaczyłem ogromny kosmodrom, większy jeszcze niż ten, który mamy w Galaxii. Najbardziej zdziwiło mnie, że cały teren był porośnięty drzewami. Z trudem tylko można było dojrzeć pomiędzy nimi sferyczne kadłuby stargrawów.

Saura wskazała mój przyszły statek.

- Oto „Szinear” - powiedziała. - Jego załoga składa się z L2, co znaczy mniej więcej tyle, że nie może latać. Niech pan wylądować w luku i zostawi grawimob w służbie.

Znalazłem się w przestronnym pomieszczeniu, pełnym ścigaczy nieznanego mi typu. Zebrali się tu wszyscy prawie członkowie załogi. Jeden z nich podał mi lekki kombinezon i pomógł go włożyć.

- To bardzo wygodne ubranie. Statek jest obszerny, a przy wmontowanym urządzeniu anty-G nie trzeba już poruszać nogami. Może pan latać wzdłuż korytarzy, niech pan popatrzy!

Saura wyjaśniła mi w jaki sposób należało posługiwać się tym urządzeniem i zaprowadziła do centrum dowodzenia.

- To jest aparat mirowizji, niech pan wezwie załogę, ja zajmę się ewakuacją L2. To odpowiednia chwila, by dokonać próbnego lotu w stronę najbliższej gwiazdy. Wokół niej krąży mała planeta, którą chciałabym panu pokazać, admirałe.

Kartroff i dziesięciu astronautów z „Eridanusa” przybyło na pokład. Było ich aż nadto do obsługi tego wspaniałego statku. Saura zrobiła nam krótki wykład. Astronauci słuchali jej z uwagą i szybko zrozumieli, o co chodzi. Pół godziny później byliśmy już w drodze. Nigdy dotąd nie kierowałem tak wspaniałą jednostką. Mając do dyspozycji pojazd tego typu, nasze dwa gatunki mogły obronić się przed każdym wrogiem. Superiores są naprawdę wspaniali!

Jak dotąd Saura zachowywała się w stosunku do mnie po przyjacielsku, nic więcej. Żywiła jednak takie same, jak ja uczucia, bo gdy nasze spojrzenia krzyżowały się, zarumieniona odwracała oczy. Nie usiłowałem ukryć przed samym sobą, że jestem zakochany. Coś podobnego, w moim wieku, a na dodatek w pięknej L2! Czym to się skończy?

Saruka powiedziała mi, że oba nasze gatunki mogą się krzyżować, ale nie omieszkala przestrzec mnie przed taką przygodą. Trudno byłoby Ziemianom pogodzić się z tym, zwłaszcza po wszystkim co się wydarzyło i co spowodowało deportację L2.

Byłem wściekły na samego siebie, a jednocześnie zadowolony... Te dwa trudne do pogodzenia stany ducha powodowały częste zmiany nastroju, które oczywiście odbijały się na całej załodze. Biedny Kartroff nie mógł niczego zrozumieć. Za każdym razem, kiedy byłem sam, obiecywałem sobie, że powiem jej, jak ją kocham. Za każdym razem zwlekałem, nie mogąc się zdecydować.

Czas płynął. Po naszym pierwszym locie w kierunku odległej planety obejrzałem miejsce, gdzie rozbil się statek Minełogów. Same szczątki znajdowały się w muzeum. Zostały zrekonstruowane i osłupiałem na widok jednego z okrętów, z którymi miałem stoczyć walkę.

Już od tygodnia przebywałem na „Szinearze”, gdy Saura, zawsze równie miła i uprzejma, zapropo-

nowała mi następną wycieczkę, tym razem na planetę bmozsów odległą o kilka parseków. Uznałem, że szkolenie moich ludzi jest już dość zaawansowane, a ja wystarczająco poznałem techniczne osiągnięcia L2. Zwiedzanie laboratoriów, szkolenie w fabrykach i godziny spędzone nad projektami trochę mnie zmęczyły. Zgodziłem się więc z przyjemnością. Taka wycieczka to przecież znakomita okazja, by nauczyć się czegoś jeszcze, a także trochę odpocząć.

Wylecieliśmy rano, sami. Balsamiczne powietrze Szinearu i wszystko wokół nastrajało mnie optymistycznie. Saura także była pełna radości życia. Żartowała i śmiała się ze mnie odmawiając jakichkolwiek wyjaśnień na temat celu naszej podróży. Chciała zrobić mi niespodziankę. Na pewno nigdy nie widziałem, podczas żadnej z mych gwiazdnych misji, zwierząt przypominających bmozszy. Miało to być wspiane, bogate we wrażenia polowanie. Ta perspektywa bardzo mi odpowiadała.

Usiłowałem ją przekonać, że liczne wyprawy pozwoliły mi poznać tak różnorodne okazy fauny, że nic nie może mnie już zdziwić. Zdecydowała się w końcu udzielić mi kilku wyjaśnień. Te dziwaczne istoty prowadziły nocny tryb życia. Tylko dezintegrator masy, jeszcze jeden z wynalazków Superiores, mógł im dać rade. Ich trudne do zranienia, pozbawione kształtu ciała były nieosiągalne dla innej broni. Bmozszy najprawdopodobniej nie miały zróżnicowanych organów i bardzo szybko leczyły się z odniesionych ran.

Pilotowałem mały stargraw pod baczynym okiem Saury. Byłem wciąż pełen podziwu dla wspaniałych statków Superiores. Chciałem jak najszybciej zobaczyć w walce te znakomite maszyny pilotowane przez ziemskich astronautów. Podróż minęła błyskawicznie. Wykorzystanie antygravitacji pozwalało na szybkie osiąganie kosmicznych prędkości. Obliczenia naszego pokładowego komputera były dokładne: o zmierzchu znaleźliśmy się na kontynencie, na którym żyły bmozszy.

Gdy wkładaliśmy skafandry, Saura udzieliła mi ostatnich wskazówek:

- Bmozszy są niezwykle bystre, dlatego też nie możemy posługiwać się grawimobem. Natychmiast spostrzegłyby emisję grawitonów. Bardzo trudno jest je zobaczyć. Tak jak wasze kameleony zmieniają wygląd w zależności od otoczenia, a na dodatek ich kontury są płynne. Wyglądają trochę jak ikra. Zbudowane są z ogromnej liczby małych elementów, które nakładają się na siebie. Tylko dezintegrator masy jest w stanie zmusić je do porzucenia zdobyczy. Nie zabija ich jednak, tylko zamienia w spory, zdolne stworzyć następnego osobnika. Dlatego właśnie trzeba zachować niezwykłą ostrożność. Jeszcze jedno... pański hełm zaopatrzonej jest w wizjer podczerwieni, który pozwoli panu widzieć w ciemnościach. Oczywiście w porównaniu ze mną będzie pan widział gorzej. - I dodała ze śmiechem. - Zobaczymy, kto będzie lepszy. Strzelał dość kiepsko, mamy więc równe szanse! Och, zapomniałam! Zwierzyna, której najczęściej poszukują bmozszy to mały ssak kmou. Podobny do zająca, bo ma bardzo długie uszy i trochę do kangura, bo skacze bardzo wysoko. Kmou mieszka na drzewach. Same bmozszy nie latają zbyt dobrze, dają się raczej unosić przez wiatr. No, już teraz wie pan wszystko, idziemy!

Planeta, na której znajdowaliśmy się, była jeszcze w bardzo niskim stadium rozwoju. Jej atmosfera składała się głównie z tlenku węgla. Rosły tu wysokie drzewa liściaste, a ziemię pokrywał miękki dywan trawy. W sumie był to dość banalny krajobraz. Obserwowałem przede wszystkim moją towarzyszkę, żałując, że skafander pozwala mi podziwiać tylko jej twarz... Im więcej mijało czasu, tym trudniej było mi pogodzić się z myślą, że pewnego dnia będę musiał ją opuścić. Postanowiłem wykorzystać każdą chwilę i próbowałem zapomnieć o tym, co czekało mnie w przyszłości.

Szliśmy obok siebie, rozglądając się dookoła. Wbrew sobie wciąż myślałem o naszym rozstaniu. Powinieneś wiedzieć czego chcesz, idioto, mówiłem sobie. Albo ją kochasz i wobec tego powiedz jej o tym, albo to tylko przejściowa fascynacja, a w takim razie przestań być taki ponury...

Gdy przeszliśmy mniej więcej kilometr, roślinność stała się mniej bujna a chwilami mogłem odróżnić w podczerwieni coś w rodzaju gniazd zawieszonych na niższych konarach drzew. Saura nie odzywała się. Ważnie rozglądała się wokół. Prawde mówiąc, nie miałem specjalnej ochoty polować. Jej obecność sprawiała, że nic mnie poza tym nie obchodziło.

Nagle, gwałtownym gestem Saura kazała mi się zatrzymać. Dziwaczne zwierzę skubało trawę jakieś dwadzieścia metrów przed nami. Był to kmou. Na jego grzbiecie siedział, tworząc z nim jedną postać, nieokreślony kształt o zmieniających się konturach. Zanim zdążyłem się zorientować, Saura wycelowa-

ła i strzeliła. Kmou wyskoczył w górę i w konwulsyjnych drgawkach opadł z powrotem na ziemię. Bmozs wybuchł chmurą cząstek, które uniosły się z wiatrem nityczym nasienie teraxacum. Gdy wyregulowałem teleobiektyw mojego helmu, dostrzegłem tysiące mikroskopijnych, wijących się jak węże wibryonów. Kmou był już tylko obrzydliwym ściervem w stanie rozkładu.

– Będą tak lecieć dopóki nie znajdą następnej ofiary – odezwała się Saura. – To pasożyty, które żerują na zwierzęciu, na którym się znajdują. Kiedy najedzą się do syta, przekształcają się w małe galaretowate kulki. Najmniejsze nawet spory bmozsów odznaczają się niezwykłą wirulencją i mogą rozmnażać się bardzo szybko, rekonstruując nową kolonię. Niestety, nie jesteśmy przeciwko nim szczepieni...

– Coś w rodzaju wampirów?...

– Mniej więcej. Ofiary umierają bardzo szybko z wycieńczenia, ale ich zwłoki z mnóstwem pasożytów zachowują się jak żywe stworzenia. Niech pan na nie uważa, Blossow! Nie mogą swoim żądłem przebić naszych skafandrów, ale wystarczy najmniejsze przedarcie. Zarażone kmou gryzą jak wściekłe psy. Niech pan nie pozwoli im się zbliżyć!

To polowanie zaczynało mnie interesować. Saura miała rację, nigdy przedtem nie słyszałem o takich zwierzętach. Było to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie.

Posuwanie się naprzód po skalnych usypiskach bez propulsorów nie było łatwe. Raz po raz traciłszy oddech, mimo zbiorników ze wzbogaconym w tlen powietrzem.

Teraz chodziło o mój honor, musiałem za wszelką cenę upolować choćby jedną sztukę. Moje marzenie szybko się spełniło. Po lewej stronie zobaczyłem obok skały znaną już sylwetkę kmou. Powietrze zadrgało w promieniach mego dezintegratora. Saura zatrzymała się zdziwiona. Trafilem. Ciało zwierzęcia zamieniło się w obrzydliwą kałużę.

Saura pogratulowała mi sukcesu i ruszyliśmy polować dalej w malowniczym wąwozie. Oboje byliśmy zdenerwowani i chcieliśmy popisać się swymi umiejętnościami.

Nagle oślepił mnie pomarańczowy błysk. Kmou zaatakował nas z całą siłą. Zanim Saura zdążyła uczynić jakikolwiek obronny gest wpół się w nią pazurami i dał na niej skafander. Na jego karku dostrzegłem mglistą sylwetkę bmoza.

Pod wpływem uderzenia piękna L2 upadła, blokując dezintegrator. Wściekłe zwierzę zaślinioną paszczą wgryzało się w plasteks jej skafandra. Nie mogłem wystrzelić, nie raniąc Saury. By mieć lepszą pozycję upadłem na ziemię i oczekiwałem chwili, gdy kmou wejdzie mi na celownik. Musiałem być pewien celności strzału.

Upłynęło kilka sekund, które wydawały mi się wiecznością. W końcu nacisnąłem spust. W powietrze uniosła się chmura cząstek. Kmou odrzucony wystrzałem ześliznął się na bok. Nie zwracając uwagi na martwe zwierze, pochyliłem się nad Saurą. Jej skafander był rozerwany na łydce. Na szczęście plecy były nietknięte.

Zdjąłem pasek i zrobiłem z niego coś w rodzaju opaski uciskowej, którą zawiązałem na udzie. Przy najmniej powietrze ze skafandra przestanie uciekać a infekcja rozprzestrzeni się wolniej. Ponad nami bmozs oddalał się w poszukiwaniu nowej zdobyczy. Co stanie się z Saurą? Jeśli mówiła prawdę, te obrzydliwe stworzenia wyssają z niej całą krew! Pochyliłem się nasłuchując oddechu. Jej piersi unosiły się w regularnym rytmie.

– Sauro, słyszysz mnie? – Żeby tylko ten przeklęty mikrofon nie był zepsuty! – Sauro, odpowiedz!

– ...Blossow... tak, słyszę... Och, jak mnie boli! Ugryzł mnie, prawda?

– Tak, w nogę... co mam zrobić?

– Mam jeszcze szansę... u ludzi bmozszy zaczynają się rozwijać dopiero w pół godziny po ukąszeniu... Nasza skóra jest odporna... W stargrawie... szczepionka... która działa jeśli wstrzyknąć ją dość wcześnie... idź po nią.

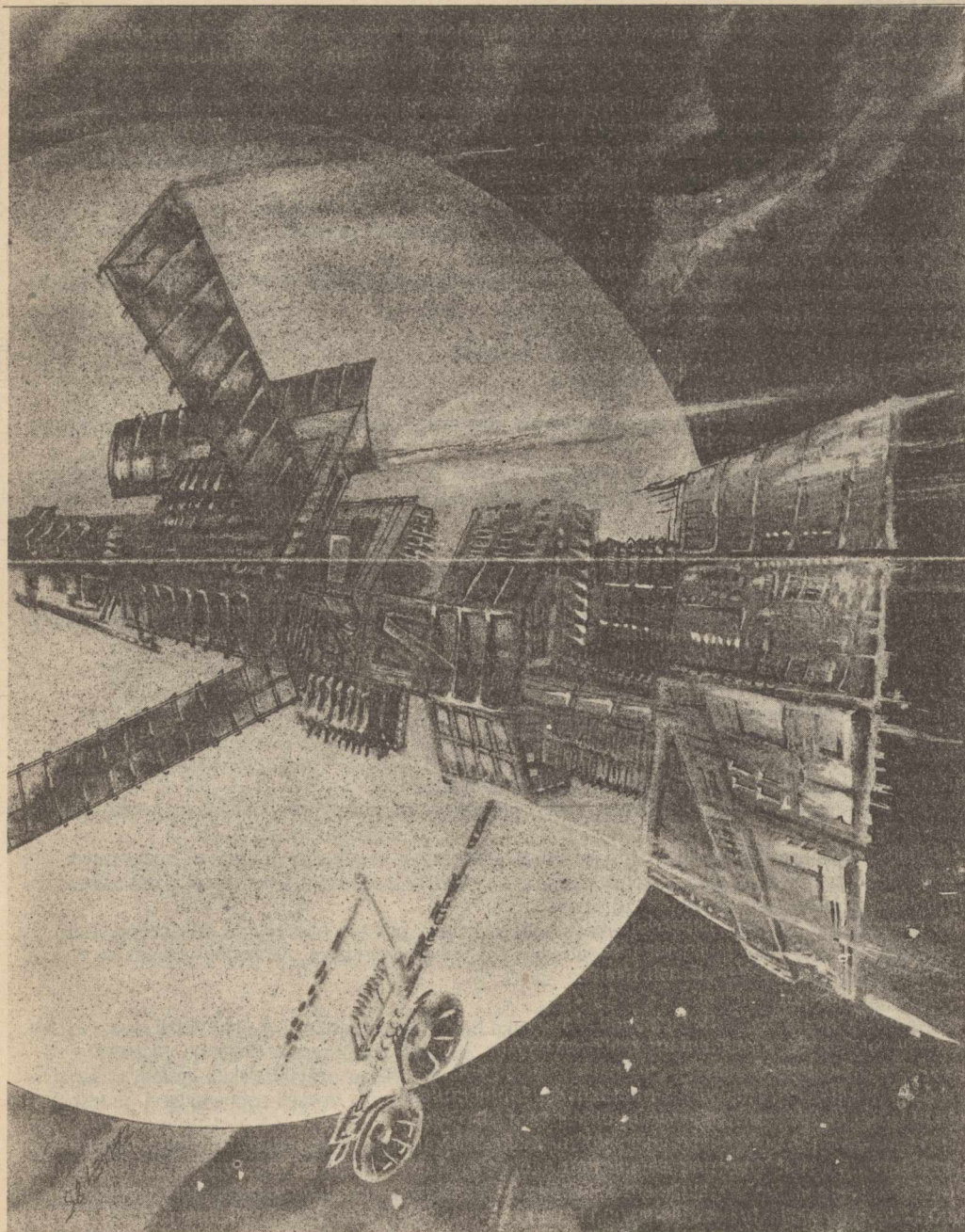
– Nie mogę cię zostawić samej wśród tych potworów, blakających się po nocy.

– Zrób tak, kochanie, tak trzeba!

– Nie, zaniosę cię!

– Nie bedziesz mógł iść dosyć szybko...

– Spróbuj! Nic nie mów i tak straciliśmy już dużo czasu.



Marck Zakajski

Po tych przeżyciach nie byłem w stanie rozsądnie myśleć. Przyczepiłem mój dezintegrator do ramienia. Podniosłem Saure i wzięłem ją na ręce. Rozpoczął się koszmarny powrót.

Biegłem jak mogłem najszybciej, sapiąc i potykając się bez przerwy. Pośród zarośli wypatrywałem dziwnych kształtów, by uprzedzić ewentualny atak kmou. Zahaczyłem nogą o kamień i runąłem na ziemię. Przez chwilę nie mogłem złapać tchu. Ześlizgnałem się po zboczu błotnistego parowu. Musiałem stracić nie wiem ile czasu, by odnaleźć Saure... Wstrzyknąłem sobie ampulkę stymulatora i na nowo rozpocząłem beznadziejny wyścig ze śmiercią.

Klnąc własną nieostrożność posuwałem się naprzód jak automat. Serce łomotało mi w piersi. Przez własną głupotę miałem utracić teraz kobietę, którą kochałem! Zataczałem się i brakowało mi powietrza. Muszę biec jeszcze szybciej! Już nie mam sił...

Wyczerpany zatrzymałem się na chwilę. Gdzie jesteśmy? Droga biegła wciąż w dół, posuwaliśmy się więc w dobrym kierunku. Jeszcze trochę...

- Saura, kochanie, jak się czujesz?
- Myślę, myślę, że dam radę... pośpiesz się... pośpiesz...
- Ktoredy mam iść?
- Tam... na prawo... stargraw...

Miała rację, pośród liści można już było dostrzec nasz statek. Znowu zacząłem biec. Zostało mi już nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

W końcu dobrnąłem do celu. Teraz musiałem wsadzić ją do statku, a później, pomagając sobie propulsorem, przenieść do kabiny medycznej. Jak szalony rzuciłem się do szafki z lekarstwami wrywając drzwiczki zamiast je otworzyć.

- Zielone pudełko... - jęknęła Saura.

Rozdzierając opakowanie wyciągnąłem strzykawkę typu, który na szczęście używany był również na Ziemi. Wystarczyło tylko nacisnąć i cienki strumień płynu przebił skórę.

Zastanawiałem się zrozpaczony, czy nie jest już za późno. Która godzina? Minęło trzydzieści jeden minut... o jedną za dużo!

- Saura, co teraz będzie? Minęło trzydzieści jeden minut...

...

- Sauro, odpowiedz mi, błagam cię!
- Noga... płonie... ogień...
- Czy mam zdjąć opaskę?
- Nie... to jedyna szansa... zabierz mnie szybko na Szinear!

Wystartowaliśmy prawie natychmiast. Tlekar powiedział mi później, że pobili wszystkie rekordy prędkości.

Gdy przybyliśmy na planetę L2, Saura jeszcze żyła. Majaczyła w gorączce. Na prawej nodze utworzyła się bezkształtna torbiel. Na kosmodromie czekał grawimob. W szaleńczym tempie zostaliśmy przetransportowani do centrum medycznego Mirapolu.

Jak mam opisać pełne niepokoju oczekiwanie w korytarzu pod salą operacyjną, do której zawieziono Saure? Jak oszalały chodziłem tam i z powrotem. Jak zwierzę w klatce... W końcu pojawił się Tlekar. Słowa uwieżyły mi w gardle:

- Czy ona...? - wykrztusiłem.

- Uratowana!... Kilka dni odpoczynku i wszystko będzie w porządku. Był najwyższy czas. Opaska, którą pan założył, ograniczyła infekcję tylko do nogi. Zastrzyk zrobił resztę. Dziękuję, Blossow!

Omam nie wybuchnąłem płaczem. Napiecie było zbyt duże. Tlekar przyjacielskim gestem uściśnął mi rękę. Zapomniałem, co było dalej... Podobno lekarze poddali mnie kuracji uspokajającej, przespałem cały dzień...

Rekonwalescencja Saury przebiegała szybko i już następnego dnia mogłem ją odwiedzić. Była równie piękna jak przed naszą wycieczką. I tak samo zakochana!

Przez następne kilka dni miałem dużo wolnego czasu. Zadanie na Szinearze już wykonałem i mogliśmy chodzić razem na długie spacer-y.

Ten ostatni tydzień pozostanie mi na zawsze w pamięci. Codziennie powtarzałem Saurze, jak bardzo ją kocham i jak bardzo bałem się, że ją utracę. Ukryci w zaroślach otaczających Mirapol całowaliśmy się długo, namiętnie. Jakich to wspaniałych planów nie snuliśmy na przyszłość! Spokojny dom, na planecie niezbyt odległej od Szinearu, może dzieci, a przede wszystkim odpoczynek po awanturniczych przygodach. Wszystko wydawało się nam wówczas łatwe i możliwe. Podczas tych spacerów wykorzystywaliśmy stworzenia sprowadzone na planetę, jako zwierzęta pociągowe. Słynne „pudełko z obrazkami” pozwalały nam podporządkować je sobie całkowicie. Raz unosiliśmy się w przestworzach na grzbiecie heterodaktyla, kiedy indziej jeżdżiliśmy cerontosaurom, który biegał jak struś na dwóch nogach. Naszym ulubionym miejscem była mała wysepka tuż przy brzegu. Spokojna i bezлюдna stanowiła dla nas prawdziwy raj. Wierny i inteligentny jak delfin ichtiozaurus czekał na nas przy brzegu. Porozumiewając się z nim nie musieliśmy używać „pudełka z obrazkami”, poznawał dźwięk naszych głosów i przychodził na zawołanie. Bez wysiłku przepływał z nami małą zatoczkę.

W ciągu tych kilku dni zauważyłem, że mutanci bardzo rzadko posługują się językiem mówionym, ich zdaniem zbyt powolnym i za mało wyrazistym. Chcąc być dobrze rozumianym, musiałem korzystać z pomocy „pudełka z obrazkami”. Nie używałem go w rozmowach z Saurą. Wystarczało jedno spojrzenie, byśmy się zrozumieli.

Często wracając z tych spacerów spotykaliśmy Tlekara, który pozdrawiał nas przyjacielskim gestem. Nigdy nie uczynił żadnej uwagi, ale byłem przekonany, że doskonale wiedział, co nas łączy. Nie chcąc wprowadzić nas w zakłopotanie niczego jednak nie okazywał. Oficjalnie Saura i ja badaliśmy zachowania zwierząt przywiezionych na planetę.

Okres ten pozostanie mi na zawsze we wspomnieniach jako jedyne chwile absolutnego szczęścia, których zaznałem w życiu. Niestety, dzień odjazdu zbliżał się szybko...

Czas mijał niepostrzeżenie. Musiałem wracać na ziemię, gdzie Hagupian oczekiwał mnie z niecierpliwością. Nie martwiłem się tym, gdyż Saura miała mi towarzyszyć.

Uważałem, że dobrze będzie, jeżeli Sapientes zgodzą się współpracować z Superiores. Miałem za wiele na Ziemi informacje dotyczące minelogów, te, które Darruth zebrał za cenę życia, kilka grawimobów, dezintegrator masy, i kilka statków, które tak bardzo chciałem poprowadzić do walki. Przyszłość rysowała się przede mną w różowych barwach. Dla mojej ukochanej Saury miałem walczyć i zwyciężyć!

Gdy opuszczaliśmy Szinear, pozostawiając sobie tylko wspomnienia, Saura wiedzioną dziwnym przeczuciem wybuchnęła płaczem. Na moje pytanie o przyczynę łez odpowiedziała:

– Nie wiem kochanie, ale obawiam się, że te chwile już nigdy nie wrócą. Czeka nas coś złego.

X. Xenlee

Raz jeszcze wracałem na dobrą starą Ziemię jako zwycięzca. Flota towarzyszyła mi w komplecie. Statki, jeden po drugim, przelatywały nad Galaxią i docierały do bazy.

Stargrawy dumnie wylądowały na kosmodromie. Tłumy zebrały się by je obejrzeć. Na Ziemi panował spokój. Ludzie zapomnieli już o niedawnych różnicach zdań i na nowo stali się spokojnymi obywatelami.

Xenlee czekał na mnie na kosmodromie. Przedstawiłem mu Saure. Przywitał ją z lodowatą uprzejmością i pomyślałem, że nasz Naczelnny Dowódca wciąż nie ma zaufania do L2. Po odebraniu honorów wojskowych i dokonaniu przeglądu oddziałów straży, wszedłem wraz z Xenlee do grawimobu trzymając przywiezione z Szinearu dokumenty. Stary admirał zachwyił się sprawnością nowego pojazdu, ale nie wyrzekł ani jednego komplementu pod adresem jego konstruktorów. Saura pozornie obojętnie witała planetę, z której deportowano ją jak kryminalistkę. Zaciśnawszy usta siedziała cały czas przytulona do mnie i ze zmarszczonymi brwiami oglądała miasto. By trochę rozluźnić atmosferę zacząłem rozmawiać z towarzyszącym nam oficerem sztabowym. W gruncie rzeczy nikt na Ziemi nie okazywał przesadnego optymizmu. Bunt Tubala i Tedara był tylko epizodem pozbawionym większego znaczenia. Tym, co naprawdę wszystkich martwiło, był brak łączności radiowej z większością ziemskich kolonii. Intraplozje zdarzały się nadal i ocean ognia wciąż pożerał nasze gwiazdne posiadłości.

Staralem się zachowywać powściągliwie i nie robiłem zbyt wielu uwag. Istnienie Minelogów było tajemnicą, którą chciałem wyjawić przede wszystkim Hagupianowi. Przybywając na Ziemię oświadczyłem, że flota będzie miała jeszcze wiele do powiedzenia i że trzeba bardziej niż kiedykolwiek okazać jedność. Musimy być przygotowani na wszystko.

Hagupian przyjął mnie w otoczeniu swoich osobistych doradców. Okazał więcej uprzejmości niż Xenlee, wyciągając ręce na mój widok i pozdrawiając Saure serdecznym „Alam!” Powitanie było krótkie:

– Blossow, drogi przyjacielu! Cała ludzkość podziwia to zwycięstwo. Dzięki panu w naszym Imperium znów zapanowała jedność. Gratuluje! Wiem, że to panu nie wystarcza. Cała flota pod pańskim dowództwem niedługo znów znajdzie się w przestrzeni. Ale zanim zaczniemy mówić o przyszłości niech nam pan zda sprawozdanie z ostatniej podróży. Ciekawi jesteśmy informacji, które zebrał pan o tajemniczych wrogach.

Podniosłem się, witany owacyjnie przez wszystkich członków zgromadzenia i powiedziałem:

– Szanowny Hagupianie, panowie doradcy. Niewiele mogę dodać do mojego raportu. Podczas tej wyprawy odwaga i lojalność całej floty pozwoliły mi zwyciężyć rebeliantów. Dowódcy buntowników sądzili, że Ziemia pozostawi swe kolonie własnemu losowi. Rada Główna tymczasem czyniła wszystko, by wyjaśnić przyczyny intraplozji. Bezsensowna rebelia uniemożliwiała nam właściwą obronę. Teraz problem ten jest już rozwiązany. Zwyciężyłem. I myślę, że walka, którą stoczyłem zniechęci innych do rebelii. Ważniejsze są wyniki mojej podróży na planetę Szinear. Pragnę oświadczyć, że spotkałem się tam z głębokim zrozumieniem, a L2 udzielił mi wszelkiej pomocy.

Zauważyłem, że Xenlee wyszeptał kilka słów do siedzącego obok oficera, a jego pełen dezaprobaty wyraz twarzy wskazywał wyraźnie, że komentarz ten nie był dla mnie przychylny.

– ...Szczęśliwy przypadek sprawił, że L2 odkryli istoty, które pragną wyrzucić nas z Galaktyki i są sprawcami intraplozji. Układ planetarny tych istot, zwanych Minelogami, znajduje się w dużej odległości od Ziemi, na granicy Drogi Mlecznej. Wykorzystując stosowaną przez wroga technikę seryjnej produkcji krystalicznej i odkrytą jeszcze przed deportacją zasadę antygravitacji, L2 zbudowali wspaniałe statek: stargraw. Darruth, jeden z nielicznych mutantów, który mógł podróżować w przestrzeni międzygwiazdnej zdołał, dzięki dużemu zasięgowi tych okrętów nowego typu odnaleźć bazę nieprzyjaciół. Zapłacił za to życiem. Szlachetny Tlekar, przywódca L2 dał mi mapy pozwalające podróżować aż do odległego systemu Minelogów. Obarczył mnie również misją złożenia wam kilku istotnych propozycji. Przede wszystkim pragnie zespolenia naszych sił dla wspólnej walki z Minelogami. Ponieważ L2 nie mogą podróżować w kosmosie na swych wspaniałych jednostkach, lecz tylko za pomocą baterii strumieniowej, Tlekar chciałby przekazać stargrawy produkowane przez mutantów ziemskim załogom. Chciałby również przekazać nam technologię wytwarzania stargrawów w zbiornikach, co pozwoliłoby na ich seryjną produkcję. Zaopatrzone w straszliwą broń okręty te są o wiele potężniejsze od naszych krążowników. Moim zdaniem propozycje powinny zostać przyjęte. To jedyna szansa, by wygnać intruzów z Drogi Mlecznej.

– Panie admirale – przerwał mi Xenlee – chyba okazuje pan przesadny entuzjazm dla wynalazków L2! Czy jednostki budowane przez naszych techników nie okazały się wystarczająco sprawne podczas ostatniej bitwy?

– Jestem daleki od takiej myśli...

– A więc – surowo ciągnął dalej Xenlee – dlaczego mamy korzystać z pomocy tych pariasów? Zostawmy ich w spokoju. Oczywiście nie jestem zwolennikiem teorii Tubala, ale to hańba gdy Ziemia, którzy potrafili zdobyć Galaktykę, wzywają pomocy mając do czynienia z silniejszym na pozór przeciwnikiem. Nie znając pańskich czynów myślałbym, że mam przed sobą tchórza!

Krew uderzyła mi do głowy i niewiele brakowało a powiedziałbym kilka słów o kompetencjach dowódców, którzy walczą siedząc w Sztacie Galaktycznym. Zdołałem się jednak opanować. Po co wywoływać nowe kłótnie? Lepiej okazać się dyplomatą i spróbować przekonać ich o mojej racji.

Wpatrując się w pomarszczoną twarz starego admirała powiedziałem z fałszywą pokorą:

– Pańskie doświadczenie w tej dziedzinie nie ulega żadnej wątpliwości, admirale. Oczywiście, że

nasze okręty to wspaniałe maszyny. Pozwól sobie jednak zauważyć, że flota walczyła dotąd z przeciwnikiem o zbliżonym wyposażeniu. Nigdy nie prowadziła walki przeciwko jednostkom zbudowanym na zupełnie innych zasadach. Jeśli zechce pan przeczytać raport, który złożyłem na rece P.R.N. Hagupiana przekona się pan, że Minelogowie nie są nowicjuszami w dziedzinie astronautyki. Intraplozje powodują sztuczne satelity gwiazd. Minelogowie inaczej konstruują okręty i proszę pamiętać, że walczą również innymi metodami. Darrutha zabili ultradźwięki!

– Właśnie – krzyknął Xenlee. – Jeśli stargrawy pańskich L2 są takie doskonałe, to dlaczego dały się zniszczyć już w pierwszym starciu?!

Szmer aprobaty rozległ się wśród zgromadzonych. Stary lis zdobył przewagę! Saura rzuciła mi szybkie spojrzenie, była oburzona. Nie zwracając na nią uwagi ciągnąłem dalej:

– To prawda, admirale, że pierwsze spotkanie nie zostało uwieńczone sukcesem. Łatwo to można wytłumaczyć. Przede wszystkim Darruth nie był doświadczonym pilotem, a poza tym został zaskoczony. Niech pan nie zapomina, że był to zwiadowca pilotujący pojazd eksperymentalny. Miałem okazję porównać stargrawy z naszymi niszczycielami i stwierdzam, że są o wiele lepsze. By to udowodnić wystarczy sprawdzić ich możliwości – zasięg i siłę ognia. Poza tym nie potrzebują wodoru, by wystartować. Czy można porównywać naszą broń z dezintegratorami masy i pociskami neutronowymi? Żaden ziemski statek nie oprze się ultradźwiękom i oczekując przed nimi ochrony liczę na uczonych L2 bardziej, niż na naszych technikach.

Na sali rozległy się okrzyki:

– To hańba, wstyd!...

– Niech wraca na Szinear, jeśli mu się tak podobają!...

Niewzruszony mówiłem dalej:

– Na zakończenie ostatni argument. Przedstawiam go do przemyślenia zwłaszcza tym, którzy potrafią tak świetnie krytykować. Czy wiecie, że układ Minelogów jest tak daleko, że nasi astronauta nigdy się do niego nawet nie zbliżyli? Dlaczego? Układ ten znajduje się poza zasięgiem naszych okrętów! W jaki sposób polecimy aż tak daleko, a przede wszystkim, w jaki sposób stamtąd wrócimy?

Skończyłem mówić i z powrotem zająłem miejsce. Zapanowała śmiertelna cisza. Moje argumenty nie były bez znaczenia, pozostawało dowiedzieć się, czy trafiły do przekonania...

Nie musiałem długo czekać.

Xenlee zabrał głos i w gwałtownych słowach zaczął mnie pouczać. Żyły na czole nabrzmiały mu tak, że obawiałem się, by nie dostał ataku apopleksji. Na szczęście jego układ krążenia był pod stałą kontrolą personelu medycznego.

– Równie dobrze można uważać Sapientes za niezdolnych do czegokolwiek, admirale Blossow! Ale to chyba przesada! W ustach człowieka obciążonego pańską odpowiedzialnością takie słowa są nie do przyjęcia... Czy muszę panu przypominać odwieczne tradycje naszego gatunku? Czy pierwsze istoty czelkoksztatne dysponowały dezintegratorami masy do walki z mamutami i krwiożerczymi tygrysami? Przecież nie! Ale to nie przeszkodziło im przetrwać! Potrafili być odważni, nawet w beznadziejnej sytuacji... jestem rozczarowany, widząc dzielnego astronautę, w którym pokładaliśmy takie nadzieje, zachowującego się jak tchórz! Te Superiores – wypluł to słowo jak zniewagę – chcą wykorzystać naszych astronautów jako mięso armatnie. To przecież oczywiste! Dla nich to gratka! Odrzucić w pełni sprawne statki, na nie wiadomo jakie stargrawy załadować kwiat naszej młodzieży i sprawić, by wybuchły gdzieś w przestrzeni. To rzeczywiście wspaniały pomysł! Szanowni doradcy, admirał Blossow proponuje wam byćście podporządkowali się ślepo tym kreaturom. Czy pozwolicie mu na to? Czy macie zamiar traktować poważnie statki produkowane w zbiornikach? Nie, jestem o tym przekonany. Nasza flota udowodniła już co potrafi i wiem, że macie do niej całkowite zaufanie!

Wielu doradców podniosło się chcąc zabrać głos. Wybuchło zamieszanie. Ja sam byłem zbyt oszołomiony, by w ogóle zareagować. Jedni brali mnie w obronę, inni popierali admirała Xenlee:

– To jak walka żaglowców z parowcami, przypominajcie sobie...

– Zdrada! Oni chcą pozbawić nas wolności!...

– ...stare spodnie od skafandra...

- ... kryształowe kadhuby, a dlaczego nie gazowe?
- Tradycyjne zasady naszych sił zbrojnych...
- ... świeżo mianowany admirał chce tu nami rządzić!
- No to niech oni się biją, ci L2, jak są tacy mocni!
- ...mają za dużego pietra...
- Uważają nas za idiotów!
- Jeden z moich przodków, admirał Zomeimein miał rację uważając...
- Jeżeli Blossow się boi, trzeba go zastąpić...
- To najdzielniejszy z dzielnych, jak pan śmie podawać w wątpliwość jego odwagę?
- ... te rewolucyjne odkrycia powinny zostać przyjęte...
- ...ty Bari maruku!

I tak właśnie otrzymałem potwierdzenie mego stanowiska Dowódcy Zjednoczonej Floty Ziemskiej.

- ... czy raczej Samobójczej – powiedziałem Saurze kilka dni później, gdy lecieliśmy do bazy niszczycieli, które miały stanowić główne siły naszej wyprawy przeciwko Minelogom.

- Kochanie, nie przesadzaj... Mają do ciebie zaufanie, a to już coś! Poza tym obiecali, że zastanowią się nad kwestią zaopatrzenia twojej floty, będziesz miał do dyspozycji wiele baz w przestrzeni i zaopatrzeniowce kosmiczne. Problem zasięgu będzie więc rozwiązany, pozostaje sprawa uzbrojenia...

- Czy ty kiedykolwiek słyszałeś o procy?

- Nie, kochanie...

- To było takie małe urządzenie, które pozwalało strzelać kamieniami przy pomocy gumki! No więc, obawiam się, że nasza broń przeciw Minelogom nie będzie lepsza niż proca przeciwko tharbakom Mizara!

- Żartujesz chyba! Separatory cząsteczkowe, w które wyposażone są niszczyciele powinny wyrzucić jakiś skutek...

- Tak, ale problem polega na tym, że nie będziemy mieli czasu ich użyć! Ultradźwięki zniszczą nas wcześniej! Wiesz, że żadne pole ochronne nie jest w stanie ich zatrzymać. Hagupian również wie o tym dobrze. Nie ma złudzeń i nie może odżalować, że doradcy mają tak konserwatywne poglądy. Wiesz, co on powiedział?

- "...?

- Że trzeba będzie starać się ograniczyć straty! Będzie szczęśliwy, gdy połowa naszej floty wróci z powrotem na Ziemię. Ale jego zdaniem to jedyny sposób, by przekonać opinię publiczną o konieczności zwrócenia się do was o pomoc.

- To straszne! Poświęcić astronautów, dlatego że kilku doradców ma ograniczone i przestarzałe poglądy. Obiecuję ci, że Superiores zrobią wszystko, co tylko możliwe, by wyprodukować jak najwięcej stargrawów. Trzeba również znaleźć jakąś osłonę przeciw ultradźwiękom... Tlekar dał absolutne pierwszeństwo poszukiwaniom idącym w tym kierunku. Na razie jednak nie osiągnięto jeszcze żadnych rezultatów. Jeśli o mnie chodzi, to nawet jeżeli Ziemianie nie chcą naszych statków, nie mogą mi zabronić, bym na jednym z nich towarzyszyła twojej flocie jako „obserwator”. Jeśli Xenlee będzie niezadowolony, to trudno!

- Najważniejsze, by zgodził się Hagupian...

- Prosił mnie, bym uważała na ciebie! Wiesz, on cię bardzo lubi...

- Coś takiego! Nie podejrzewałem go o taką troskliwość!

Przygotowania do odlotu trwały długo i były bardzo męczące. Hagupian miał duże trudności, chcąc narzucić swe zdanie doradcom. Ale najważniejszy był ostateczny rezultat. Na nowo powierzono mi dowództwo Floty Ziemskiej. Była to ogromna odpowiedzialność i tylko poczucie obowiązku od urodzenia wpajane mi przez hipnotyczne roboty, sprawiło, że podjąłem się tego zadania.

Nie miałem już nawet chwili czasu dla Saury.

Nafaszerowany środkami pobudzającymi potrafiłem spać co drugą noc. Ziemia przygotowywała się do Armageddonu.

Zautomatyzowane fabryki pracowały na pełnych obrotach, niszczyciele, krążowniki, ścigacze scho-

dziły setkami z taśm montażowych. Lecz archaiczna technologia pozwalała produkować jedynie ograniczone ilości tych skomplikowanych statków. Jaka szkoda, że nie przeszliśmy na produkcję w zbiornikach, choćby tylko samych kadłubów, wzdychałem załamując ręce. W tym samym czasie zbudowano by dziesięć razy więcej statków... Nie pozwalał na to tylko bezgraniczny upór Xenlee, mojego dowódcy. Musiałem się z tym pogodzić! Jego skrajny konserwatyzm dopuszczał do walki tylko statki montowane z części! Nie można go było skłonić do żadnych ustępstw...

Trzeba jednak przyznać, że w granicach tych konwencjonalnych metod robił wszystko, co możliwe. Dostawy przeznaczone dla floty miały absolutne pierwszeństwo. W przemyśle obsługującym sektor publiczny zastosowano nawet obostrzenia w dziedzinie dostaw elementów elektronicznych i metali ziem rzadkich. Mózgi elektronowe szkoliły nowych astronautów. Jedna trzecia ludności ziemskiej była zmobilizowana.

W wirze przygotowań do wojny, obecność Saury pozostała prawie nie zauważona. Deportacja L2 należała już do historii. Interesowała się nią tylko garstka spośród niezmobilizowanych mieszkańców Ziemi, uznając, że mimo wszystko było to wyjątkowe wydarzenie.

Podczas każdego wystąpienia na forum publicznym Saura miała do czynienia z dwoma rodzajami równie silnych uczuć. Dla wszystkich kobiet na Ziemi, które wydały na świat mutanta była po trochu dzieckiem odebranym im siłą. Niektóre matki łapały ją za tunikę błagając ze łzami w oczach, by opisała im życie na α Cygni. Podawały imiona swych dzieci, chciały przekazać im wiadomości... Ale ta grupa „zwolenników” była nieliczna w porównaniu ze stronnictwem Tubala i Tedara, wciąż jeszcze popularnych, zwłaszcza wśród rodzin oplakujących stratę zbunowanych astronautów z pokonanej przez Blossowa floty. Dla nich Saura była wrogiem, przyczyną wszelkich nieszczęść, jakie ich spotkały. Kierowali pod jej adresem przekleństwami i obelgami.

Saura wychodziła rzadko i tylko z dobrą eskortą. Zaprzyjaźniła się serdecznie z D.W.M. Saruką, wciąż zafascynowaną wszystkim, co dotyczyło nowego gatunku i jego osiągnięć. Saura zdradziła jej zasadę działania bioestetyzatora, a w zamian za to D.W.M. pokazywała jej Ziemię, którą mutantka oglądała w dzieciństwie tylko zza krat wiwarium. Saura zwierzyła się przyjaciółce ze swojej miłości. Miała nadzieję, że istnieje możliwość połączenia się przedstawicieli gatunków Sapiens i Superior.

Przez cały czas astronauta pracowali wytrwale i wkrótce na kosmodromach wszystko było gotowe do startu.

Przegląd poprzedzający start odbył się na rozległych równinach Syberii, gdzie karłowatej roślinności nie zagrażało morze ognia wyrzucanego przez chemiczne silniki krążowników.

Na złość admirałowi Xenlee – przyznaje, że była to dziecinada – przeglądu pięćdziesięciu grup bojowych mojej floty dokonywałem na grawimobie. Przelatując obok flagowych statków poszczególnych eskadr widziałem twarze moich wiernych towarzyszy walki: Al Dervat, Kiffer, Megrez, Ridda, Zolid i wielu innych. Każdy z nich stał wypreżony na baczność. Ogarnął mnie smutek: ilu spośród nich nie powróci z tej samobójczej wyprawy?

Saura towarzyszyła mi podczas przeglądu, nie odzywała się ani słowem. Spojrzałem na nią i dostrzegłem łzy spływające jej po policzkach. Potrafiła przeczuwać przyszłość lepiej ode mnie, choć tu wnioski nasuwały się same.

Nadszedł w końcu dzień odlotu.

Hagupian osobiście towarzyszył mi na pokład „Eridanusa”. Flota wystartowała z piekielnym hałasem. Prawdę mówiąc nie był to jeszcze ostateczny odlot. Pomiedzy Ziemią a Księżycem oczekiwały na nas statki zaopatrzeniowe. Trzeba było jeszcze dwóch dni, by uzupełnić zbiorniki ciekłym wodorem, który wykorzystaliśmy przy starcie. Podczas drogi przewidziano również dalsze postoje.

Modliłem się, by Mineologowie nie zaskoczyli nas podczas jednego z nich. Wówczas los nasz byłby przesądzony.

Al Dervat, dowódca pierwszej eskadry, został obarczony odpowiedzialnością za zwiad i wykrycie każdej ewentualnej zasadzki. Było to, prawdę mówiąc, trochę iluzoryczne zadanie, nawet Darruth na swym stargrawie nie zdołał wykryć tych, którzy go zaatakowali. Nie można było liczyć, że nam się to uda.

„Szinear III” pilotowany przez Saure towarzyszył głównym siłom Ziemi skoncentrowanym wokół „Eridanusa”. Krażył wokół jak pies dookoła stada, ośmieszając nas swymi możliwościami.

Podczas długich godzin lotu rozważałem plan ataku. Naszym jedynym atutem było i tym razem zaskoczenie. Z pewnością ci przekleci Minelogowie znając możliwości naszych statków sądzili, że nie będziemy mieli odwagi przylecieć i zaatakować na ich terenie. Powinni oczekiwać przybycia szybkich stargrawów, a nie takich archaicznych maszyn, jak nasze statki. Gdyby tylko udało nam się dotrzeć niepostrzeżenie na odległość strzału.

Parseki mijały za parsekami. Podczas trzech postojów uzupełniliśmy zapasy paliwa, dzięki Bogu, bez żadnych problemów.

Na ekranach pojawił się maleńki punkcik: Alphard, gwiazda Minelogów. Musiałem wreszcie podjąć decyzję. Dzięki mapom L2 wiedziałem, że chmura zjonizowanego wapnia rozciąga się po zewnętrznej stronie spiralnego ramienia Galaktyki i jest skierowana w stronę międzygwiazdnej próżni. Nasi przeciwnicy nie powinni obawiać się ataku z tej strony. Gdyby moja flota zdołała dotrzeć bezpiecznie aż do chmury, miała szansę pozostać niezauważona.

Modliłem się, by Minelogowie nie zaskoczyli nas podczas wykonywania tego manewru. Moje marzenia spełniły się.

Oczywiście posuwanie się potężnej floty przez obszary, na których występowały często perturbacje nie mogło przebiegać bez żadnych incydentów. Były kolizje i straty w ludziach, a także kilka zdarzeń z dużymi meteorami. Najważniejsze jednak osiągnęliśmy. Minelogowie jak dotąd nic nie spostrzegali.

Wreszcie wszystkie grupy bojowe znalazły się w obszarze mgławicy. Dowódcy otrzymali rozkaz: naprzód, bez względu na straty. Jeśli tylko kilka naszych krażowników dotrze na odległość strzału, rozniosą planety Alpharda.

Kazałem osłaniać je za wszelką cenę, a potem, gdy cel zostanie osiągnięty, natychmiast zawracać.

Przez ten czas ścigacze zaminują obszar wokół nas, by osłonić odwrót.

Mój sztab przystał na taki plan akcji. Mieliśmy szansę zwyciężyć.

Gdyby tylko udało mi się zaskoczyć Minelogów natarciem pięciu tysięcy statków, marzyłem, rozpoczynając atak...

XI. Kłeska

„Lotem sokoła poza rodzinne cmentarzysko...”

Planety Alpharda znakomicie odpowiadały opisowi w dawnej poezji ziemskiej. Minelogowie zamierzali opanować całą Drogę Mleczną.

Gęste lasy krystalizowanej magmy dostarczały tym istotom obfitego pożywienia. Potworne stworzenia unosiły się wśród fal płynnego amoniaku i metanu jak plankton w naszych ciepłych morzach. Dryfując z prądem lub uczezione nieforemnymi głowami podłoża, rozmnażały się wydzielając w regularnych odstępach czasu chmury krystalicznych ziaren. Ziarna te przytwierdzały się szybko do któregoś z apetycznie wyglądających trójośmiościanów i w mgnieniu oka rozrastały do normalnej wielkości. Wszystkie miały po siedem zwinnnych wyrostków, przekształcających materię o wiele sprawniej niż ludzkie ręce. Minelogowie wrażliwi na najmniejsze wahania ciśnienia, pola magnetycznego i potencjału elektrycznego, wytwarzali statyczne pole grawitacyjne o wiele bardziej skuteczne niż dynamiczna siła Ziemiań. Wysokie, modulowane dźwięki, które tylko sonary mogły ocenić należycie, były oznaką ich wielkiego zadowolenia.

Umieszczone nieco dalej ogromne sześciany, podobne do gigantycznych filarów, tworzyły zbiorniki, w których bez przerwy rodziły się dziwaczne urządzenia. Gdy pękała błona ochronna, kadłuby statków, maszyny i precyzyjne aparaty kierowane były samoczynnie w stronę pobliskich składowisk. Żadnych dźwigów ani transporterów. Prądy konwekcyjne rozchodzące się po całej planecie zapewniły równomierny podział produkcji. Minelogowie zwinnymi palcami koordynowali tylko dystrybucję.

W tym świecie, tak różnym od naszego, siły mechaniczne zdawały się nie istnieć; wszystko odbywało się tak, jakby jego mieszkańcy oddziaływali bezpośrednio na masę ciał. Temperatura otoczenia bliska



była absolutnemu zeru a nadprzewodnictwo nadawało atomom wyjątkowe własności. Dzięki temu Minelogowie dokonywali rzeczy niemożliwych dla mieszkańców ciepłych planet.

Kilku ludzi, uwolnionych potem z tego lodowego piekła potwierdziło hipotezę mutantów dotyczącą genezy systemu. Niedługo wokół trypletu Alpharda krążyła jedna ogromna planeta. Niewielka odległość od gwiazd centralnych powodowała tak potężne pływy, że planeta wybuchła. Skroplony gaz, który ją otaczał został częściowo wessany przez próżnię. Reszta utworzyła morza na powierzchni trzech zlodowaciałych planet o kształtach zbliżonych do ostrosłupa.

Potem, gdy niska temperatura spowodowała ustalenie się magmy wewnętrznej, dzięki eksplozji znajdującej się teraz na powierzchni, nastąpiła era nieznanych na Ziemi kryształów. Między innymi pojawił się też ich specjalny gatunek zdolny do rozmnażania się – byli to przodkowie Minelogów. Posiadali szczególne cechy, które pozwoliły im się rozwinąć, szybko osiągając wysoki poziom techniczny.

Ze szczątków dawnej planety powstało pięć pierścieni otaczających satelitę najbliższego trypletu Alpharda. Oceany płynnego amoniaku o niewielkiej zawartości metali pokryły cienką kulistą błoną powierzchnię nowych planet.

Wzdłuż pęknięć skorupy drugiej planety rozciągał się raj Minelogów. Gruba warstwa płynnego amoniaku utrzymywana siłami przyciągania potrójnego układu gwiazd była w ciągłym ruchu. Fale lazurytu, jaspisu, rzeki szmaragdów i topazowe strumienie przecinały krystaliczny las tworząc przedziwny rysunek.

Jeńcy ziemscy – kilku astronautów ze zniszczonych statków ujętych w lodowej próżni – umieszczeni zostali w wydłużonych trapezodach o zrekonstruowanych ziemskich warunkach klimatycznych. Ich skromne pożywienie stanowiła ohydna breja o metalicznym smaku, produkowana na bazie wodorotlenku węgla. Nieświadomi wszystkiego, co działo się wokół nich, trwali w ponurej beznadziejności. Niepojęty krajobraz, niezrozumiały dla ludzkiego umysłu, doprowadzał ich do szaleństwa.

Oto, co opowiadał porucznik Nasp, jedyny, którego rozum wytrzymał próbę pobytu na planecie Minelogów:

– Trapezoedr, w którym mnie trzymano znajdował się na małym wzniesieniu, na granicy obszaru lasów mineralnych. Otaczały mnie kłęby gazu, który niósł ze sobą ogromne krystaliczne bloki, podobne do gór lodowych. Wszystko wokół było spiralnie wijącym się węzłem zieleni i ciemnego błękitu, przechodzącym nie wiadomo dlaczego w czerwień i ochrę. W nocy, a przynajmniej w ciemnościach, ziemia wydawała się fosforyzować, a rodzaj zorzy polarnej, której towarzyszyły fioletowe błyski, rysował na niebie dziwaczne zygzaki. Nieokreślone struktury poruszały się po tym beładnym oceanie gigantycznych chmur i wirujących kolorowo gwiazdnych kwiatów. Wszystko pojawiało się i zniknęło w absolutnej ciszy. W równych odstępach czasu ze spienionej otchłani wyłaniali się Minelogowie i zaczynali krążyć wokół mego niezniszczalnego więzienia, które na pierwszy rzut oka wyglądało zupełnie niewinnie. Znikali nagle, tak jak się pojawiali, nie zwracając uwagi na moje krzyki i błagalne gesty. Niesamowity blask słonecznego trypletu dodawał jeszcze barw tej fantastycznej scenerii. Gdy fioletowe obłoki, czy też może kry niesione prądem, nie były zbyt gęste mogłem zobaczyć mój potrójny cień. Najgorsza była samotność. Nie potrafiłem już przypomnieć sobie jak wygląda Ziemia, jak wyglądają jej mieszkańcy. Moja wyobraźnia pełna była wizji z tego świata halucynacji. Udało mi się czasem przechwycić wiązkę myśli, zdeformowane słowa niesione wiatrem. Nienawisć, pożądanie, duma ranily mi mózg zmieniając się w nieznane uczucia ponurej rozkoszy. Podświadomie usiłowałem walczyć przywołując wspomnienia szczęśliwych chwil, jakie przeżyłem na Ziemi lub próbując wytworzyć w mym umyśle całkowitą pustkę, dzięki której mógłbym chwilę odpocząć. Minelogowie kradli nawet moje sny... Jak mogłem dać im rade? Posługiwali się mną, jak powolnym automatem, czułem to i zaciskałem pięści w bezsilnej złości. Niczym nie mogłem ich odstraszyć! Fascynujące wizje zmieniające się jak w koszmarnym śnie, zastępowały normalny świat, który pragnąłem sobie przypomnieć. Nawet moje ciało straciło jakiekolwiek poczucie równowagi poddając się rzekomym wstrząsom, skretom i upadkom. Ohydna, poniżająca hipnoza. Nie mogłem się bronić. W końcu straciłem nadzieję. Ściany mojej celi nie pozwalały określić gdzie jest góra, a gdzie dół. Na duchu podtrzymywała mnie tylko nienawisć. Moi dozorczy musieliby ją odczuć, już tylko na krótką chwilę pojawiali się przy mnie. Zastępowały ich nieskazitelne, odporne

na wszystko mechaniczne kryształy, odbierając mi resztkę iluzorycznej wolności. Ile czasu to trwało? Nie wiem. Jedno jest pewne, w którymś momencie mieli już dość i załadowali mnie na statek, by zbadać moje zachowanie. Dużo później jakiś stargraw przyniósł mi wolność...

Tymczasem Minelogowie dalej prowadzili obliczenia poprzedzające kolejne inwazje. Każdy system planetarny zawierał co najmniej trzy lub cztery planety, na których było można założyć kolonie kryształów. Delikatnym przemianom metabolizmu węglowego odpowiadały jedna lub co najwyżej dwie planety w układzie. Ludzie – ten nieszczęsny gatunek, o źle przystosowanych do życia w kosmosie organizmach, byli w gruncie rzeczy godni politowania. Jedyne bezpośredni kontakt ludzi z materią – promieniowanie termiczne, mały przedział spektrum, ograniczały ich do kilku powolnych wibracji molekularnych. Co za ograniczona umysłowość! Co za głupota! Żaden z przedstawicieli tego gatunku nie potrafił zrozumieć języka alpeńskiego bez pomocy urządzeń przekładających informacje zewnętrzne na dane zrozumiałe dla zmysłów ulegających stopniowej atrofii. Nareszcie wybiła godzina, na którą Minelogowie czekali od tysiącleci... Niedługo epoka satelitów intraplozynnych będzie przeszłością. Minelogowie opanują całą Galaktykę i raz na zawsze zniszczą wszystkie ludzkie stworzenia.

W trzecim segmencie planety, w grupie kryształów, których obowiązkiem było nadzorowanie systemu, nastąpiło nagle poruszenie. Macki drgnęły gwałtownie, w polu widzenia znajdowały się nieprzyjacielskie statki!

Tym razem nie był to samotny stargraw, jak ten, który usiłował szpiegować udając meteoryt. Atak podjęła cała nieprzyjacielska eskadra!

Alarm ogłoszony falowo rozszedł się błyskawicznie. Kim byli śmiałkowie? Jeden po drugim Minelogowie przestawali absorbować wspaniałe kryształy i kierowali się w stronę najbliższego pojazdu. Jeden statek, dziesięć, sto, dziesięć tysięcy, wyruszyło w przestrzeń, a nadajniki biegunowe wyrzucały w kosmos pomosty cząsteczek służące jako przekaźniki śmiertelnych ultradźwięków.

Po chwili obłok, z którego wynurzył się nieprzyjaciel drżał jak podczas huraganu. Triuk, dowódca alphasdiankiej floty, dał rozkaz rozpoczęcia bitwy.

Płonące cząsteczki zadrżały. Niektóre z nich wybuchały wpadając w rezonans.

Rozpoczęła się walka...

Zniszczenia dokonywane przez siły Minelogów były poważne, ale Ziemianie ruszali do boju nie zważając na to.

Jak dotąd tylko wielkie nadajniki planetarne emitowały straszliwe ultradźwięki. Ścigacze pierwszej linii wybuchały wstrząsane drganiami.

Wreszcie, gdy statki Triuka znalazły się w odpowiedniej odległości, Ziemianie zaczęli ostrzeliwać je z lekkiej broni pokładowej.

Ze wszystkich stron do admirała Minelogów nadchodziły meldunki:

Prawe skrzydło wypiera wielkich bezsilnych głupców

ruch zewnętrznych elektronów nie zmniejsza siły naszych ultradźwięków

CENTRUM

Melduje

zaporowy kontratak

małych statków

ekspłodują jeden po drugim

TRIUKE

DO CAŁEJ FLOTY

Wyślijcie najszybszych z dwóch stron

Nikt nam nie umknie

LEWE SKRZYDŁO

Melduje

dużą koncentrację

ciężkich maszyn

blisko nas

niewielkie straty

Szaleńcy

Oczyścić kanał

nadajników planetarnych

zagłuszanie emisję pola.

Trzeba oczyścić przestrzeń

Nie zaniedbujcie insektów

które wychodzą

z porozrywanych kadłubów

mogą rzucać granaty

ZWYCIĘSTWO NALEŻY DO NAS

Niestety, potwierdziły się moje najgorsze przypuszczenia. Pięć tysięcy stalowych okretów wyposażonych w broń konwencjonalną nie było w stanie zrównoważyć sił Minelogów.

Nasze pociski nie mogły ich osiągnąć... Z rozpaczą widziałem jak jedna po drugiej topnieją grupy bojowe mojej floty. Te niezniszczalne stworzenia kpiły sobie z naszych rakiet, jak nasze krążowniki z prehistorycznych szrapneli. Nawet miny termiczne rozsiewane przez ścigacze nie zdołały ich powstrzymać.

Wobec tak całkowitej klęski mogliśmy już tylko uciekać.

Wydałem rozkaz odwrotu...kazałem Megrezowi osłaniać nas i opóźniać pogon za wszelką cenę, nawet podejmując walkę bezpośrednią. Każda sekunda była cenna!

Wokół mnie potężne krążowniki, chluba ziemskiej floty, rozpryskiwały się na kawałki. Na szczęście strzały wroga nie były zbyt celne. Emitowali najpierw wachlarze ultradźwięków, a znając już położenie celu koncentrowali je w zwarty strumień lśniących w przestrzeni molekuł. Trafiony statek zachowywał się jak oszalały. Najpotężniejsze części pojazdu odrywały się od reszty jakby ciągnięte gigantyczną ręką. Wewnątrz wszystko stawało się miękkie, kruszyły się ściany i sufity. Astronauci w skafandrach ochronnych czuli się jak w centrum strasznego huraganu. Na szczęście tracili przytomność, zanim mózg ich zamienił się w miazgę.

Kilku udało się uratować. Przeżyli, znajdując osłone w postaci wielkich metalowych płyt. Dla tych, których skafandry były nienaruszone, rozpoczynała się długa agonía w bezkresnej przestrzeni.

Jak dotąd „Eridanus” i „Szinear” miały szczęście. Grupa bojowa, do której należały, ubezpieczała tyły i miała najmniejsze straty. W miarę jak niszczyli i ścigacze dawnej pierwszej linii znikwały, krążowniki znalazły się na przodzie i teraz eksplodowały jeden po drugim. Odwrot zamieniał się w pogrom.

Byłem blady ze wściekłości. Cała ta masakra przez jednego starego mamuta! Xartroff z rękoma zaciskającymi kurczowo na regulatorach ekranu nie odzywał się. Zagryzł drżące wargi i wydawało mi się, że słyszę jak zgrzyta zębami.

– Niech wszystko wyleci w powietrze, ale musimy zwiększyć szybkość, bo inaczej nas dostaną! – krzyknąłem.

Wezwałem Saure, z którą miałem łączność bezpośrednią.

– „Szinear III”, rozkazuje lecieć w kierunku Ziemi. Jedno z nas musi opowiedzieć o tej klęsce! – wrzasnąłem.

Saura odpowiedziała mi nieco ironicznie:

– Żałuję, admirale Blossow, ale nie może mi pan wydawać rozkazów. „Szinear III” należy do L2 i nie stanowi jednostki pańskiej floty! Słucham tylko rozkazów Tlekara...

Zdołałem opanować wybuch złości. Może mimo wszystko jej pancerz wytrzyma...

Usiłując wykonać ostatni manewr, rozkazałem ocalałym krążownikom wyrzucić w przestrzeń wszystkie miny termiczne. Była to jedyna, choć trochę skuteczna broń. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwaliśmy na rezultat. Jednak na próżno! Kilka statków nieprzyjacielskich rozbłysło w płomieniach i zwołniało, ale żaden nie został całkowicie zniszczony...

Paskudnie!...

Tymczasem mgławica, nasze jedyne schronienie, była coraz bliżej.

Wiedziałem, że miny termiczne zrzucone przez ścigacze nie na wiele się przydadzą. Miałem jednak nadzieję, że siła ich eksplozji zwielokrotniona potężnym polem magnetycznym zatrze nasze ślady.

– Admirale – usłyszałem ochrypy głos – za pięć minut ocalałe ścigacze rozpoczną bezpośredni atak na pierwszej linii. Niech pan to wykorzysta. Alarm, admirale!... Niech pan powie Radzie Najwyższej, że...

Sympatyczna twarz Al Dervata zatarła się na ekranie mirowizora, rozplynęła i znikła.

– Jeszcze jedno... – westchnąłem ciężko.

– Admirale, jest mgławica! – zameldował Xartroff.

– Uwaga, przejście jest bardzo wąskie! – krzyknął Nozal.

Lśniące obłoki przemykały obok nas z dużą szybkością. Minelogowie przestali szaleć. Skoncentrowany przy sterach sztab „Eridanusa” prowadził statek przez obszar zjonizowanej materii.

Silna emisja fal elektromagnetycznych całkowicie przerwała łączność. Xartroff, zmuszony korzystać tylko z przyrządów optycznych, dokonywał cudów, by nie zmniejszać prędkości.

– Ani jeden z naszych statków nie dotarł na odległość strzału! – narzekał.

Czas płynął. „Eridanus” zakrecał, leciał zygzakiem. Jony wapnia drgały za nim fosforyzująco. Na ekranach nie było śladu innych krążowników. Nawet „Szinear” pozostawał niewidoczny.

Po chwili, nagle mieliśmy znów przed sobą wolną przestrzeń. Na prawej burcie pojawił się maleńki, rosnący z każdą chwilą punkt: „Szinear” odnalazł nas.

Usłyszałem znajomy głos Saury:

– Nie zmniejszajcie prędkości! Ocalał tylko wasz statek! Nie udało nam się zmylić pościgu. Minelogowie podzielili się na trzy grupy; dwie z nich okrążają mgławicę, a jedna leci na wprost.

Mimo wszystko statki Minelogów musiały mieć trochę kłopotów, zostawione przez nas miny eksplodowały jedna po drugiej. Spokojna mgławica zamieniła się w diabelski kocioł – żółty, pomarańczowy, w końcu purpurowoczerwony.

– Niech ich szlag trafi! – zaklął Xartroff.

Przed dziobem „Eridanusa” rozpościerała się otwarta przestrzeń. Czyżby udało nam się uciec?

– Na Thora, niech pan patrzy, admirale! – usłyszałem głos Nozala.

Skoczyłem w jego stronę i spojrzałem na ekran. Dwa ogromne pryzmaty rysowały się na ciemnym tle nieba. Doganiali nas!

– Po co strzelać... – jęknąłem zrezygnowany.

Zebrani za mną oficerowie z przerażeniem przyglądali się jak Minelogowie zamykają nas w pułapce.

Gdy tylko znaleźli się wystarczająco blisko, zaczęli do nas strzelać. Mogliśmy już tylko się modlić!

Za kilka minut skończy się moja kariera admirała. Tak bardzo wierzyłem w mający nadejść za chwilę kres, że przed oczyma zaczęły przesuwać się obrazy z dzieciństwa, stażu astronauty, twarz Saury, którą miałem teraz opuścić...

Xartroff przerwał te moje rozmyślania. Wyprostowany na baczność zasalutował regulaminowo i rzekł:

– Alam, admirale! Byłoby dla mnie prawdziwą przyjemnością służyć dalej pod pana rozkazami. Szkoda, że pańskie zdanie nie przeważało! Myśle, że jest to moja ostatnia misja i chciałbym panu podziękować za wszystko, czego mnie pan nauczył...

Trochę zakłopotany zamierzałem właśnie odpowiedzieć, gdy Lemaine odezwał się nagle:

– Niech pan patrzy, oni zwalniają!

– Co?

– Porucznik ma rację!

– Skret 30 stopni w prawo, kierunek północ!

– ...

– Nie lecą za nami!

– Co się stało?

– Minelogowie lecą prosto przed siebie...

– Słowo daje, to szaleńcy! Byliśmy zgubieni!

– Chyba, że są martwi, admirale.

– WŁAŚNIE, DROGI ADMIRALE – odezwał się mirowizor. Na ekranie ujrzałem znajomą twarz Saury.

– Moje dwa pociski neutronowe trochę im zaszkodziły, zdaje się, że nie wytrzymują takiej jonizacji...

– Saura, kochanie!... – wyrwało mi się ku wielkiemu zdumieniu moich oficerów, którzy nagle okazali się być bardzo zajęci.

– Oto dowód skuteczności naszej broni – ciągnęła dalej Saura. – Mogliśmy zwyciężyć Minelogów, gdyby...

Zabrakło mi czasu, by docenić w pełni skuteczność pocisków neutronowych. „Eridanus” trafiony wiązką ultradźwięków, bezgłośnie i nieodwołalnie zaczął wibrować.

Zbyt dobrze wiedziałem, co teraz nastąpi. Próbowiałem wydać ostatni rozkaz, zatrzaskując gwałtownym gestem hełm mojego skafandra:

– Żołga na miejsca ewakuacyjne, przygotować kapsuły ratunkowe!

Było już jednak za późno. Hermetyczne drzwi wyskakiwały z zawiasów, ściany przesuwaly się i wyginały we wszystkich kierunkach, a cały kadłub jęczał żałośnie. O dwa kroki ode mnie Xartroff kurczowo usiłował trzymać się stalowej belki, która pojawiła się nie wiadomo skąd.

Poczułem ostry ból głowy, potem mdłości... Unosiłem się pośród szczątków rozbitego statku w przestrzeni kosmicznej, pełnej teraz najprzeróżniejszych przedmiotów.

Saurze nie udało się trafić w jeden ze statków nieprzyjacielskich. Ale oni trafili! Powoli odzyskując świadomość rozglądałem się dookoła. W oddali błyszczało kilka nieznanych gwiazd.

Powyginiane szczątki unosiły się wszędzie. Nie mogłem rozpoznać żadnego przedmiotu. Gdyby tylko udało mi się znaleźć jakąś nie uszkodzoną kapsułę!

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, było sprawdzenie skafandra. Nie był rozdarty, skoro jeszcze żyłem. Musiałem jednak wiedzieć, czy urządzenia, w które go zaopatrzone, działały sprawnie. Ogrzewanie funkcjonowało dobrze, reflektor też, bateria atomowa była więc w porządku. Nadajnik radiowy również nadawał się do użytku; w słuchawkach rozlegało się ciche brzęczenie.

Ustawiłem go na pełną moc.

– Alam, alam! Tu admirał Blossow! Czy ktoś ocalał?

– ...

– Alam,alam! Tu Blossow, odezwiście się

– Krr... Fit... Trzas... u... rtoff... iedź!

Eksplzja „Eridanusa” musiała być potężna, skoro Xartroff został wyrzucony za granicę zasięgu naszych nadajników. Dwadzieścia pięć kilometrów, o ile się nie myle. Zmniejszyłem ile się dało ogrzewanie skafandra, by uzyskać większą moc nadajnika, wyłączyłem reflektor i odezwałem się:

– Halo, Xartroff, słysząc cię bardzo słabo, tu Blossow, odpowiedź!

– Alam, admirał, tu Xartroff, czy jest pan cały i zdrow?

– Tak, a ty?

– Pekł mi kask, ale udało mi się go skleić.

– Czy masz kontakt z innymi, którzy ocalili?

– Nie, a pan?

– Też nie. Czy widzisz gdzieś kapsuły?

– Dwie, ale nie do użytku.

– Uwaga, nadaje sygnał goniometryczny...

– W porządku.

– Sygnał.

– Dwadzieścia sześć kilometrów, nadir, południowy wschód.

– Dobrze lece. Nadawać sygnał ciągły. Włączyć reflektor.

– Tak jest.

Kierując się zgodnie z sygnałem posuwałem się krótkimi skokami i udało mi się odnaleźć Xartroffa. Pomagając sobie nawzajem zdołaliśmy wsiąść do na wpół zniszczonej kapsuły. Stanowiła przynajmniej osłone przed unoszącymi się wszędzie dookoła szczątkami rozbitego statku, które poruszały się w próżni i z różną prędkością.

Połączyliśmy nasze baterie i regulując do minimum ogrzewanie skafandrów, zaczęliśmy nadawać sygnał:

– RL...RL...RL... Ratować ludzi...

Przez pół godziny nie mieliśmy żadnej odpowiedzi. Wycieńczeni, postanowiliśmy odpoczywać po kolei. Ile czasu drzemałem ukolysany delikatnym ruchem gondoli? Nie wiem. Nagle coś kazało mi otworzyć oczy... Saura!

- Jak ci się udało wziąć nas do „Szineara”?

- Och, to nie było takie trudne. Kiedy zostaliście trafieni, nie byłam daleko. Po uregulowaniu rachunków z Minelogami nasłuchiwałam sygnałów alarmowych. Dzięki promieniom przyciągającym mogłam pozierać wielu rozbitków. Jesteś dwudziesty pierwszy, a Xartroff dwudziesty drugi. Straciłam już prawie nadzieję. Wy jesteście ostatni. A teraz uciekamy, nie chcę mieć wszystkich Minelogów na karku!

XII. Zwycięstwo

„Szinear” przywiózł na Ziemię dwudziestu czterech żołnierzy Wielkiej Floty.

Nie zostawiając nam nawet tyle czasu, byśmy mogli odetchnąć, zaprowadzono nas przed oblicze Hagupiana i jego doradców.

Muszę przyznać, że nie byłem z siebie dumny. Kłeska floty, której dowództwo spoczywało na moich barkach, ciążyła mi. Musiałem teraz zdać sprawę z okoliczności, które doprowadziły do katastrofy.

I tym razem Xenlee był na miejscu. Wydawało mi się, że jego pomarszczona twarz starego lisa straciła swój dumny wyraz.

Kiedy P.R.N. wysłuchał mego raportu, w którym szczególnie nacisk położyłem na fakt, iż przewidywałem taką klęskę i prosiłem, by wyrażono zgodę na wykorzystanie pomocy L2, wpadł w taką złość, w jakiej go nigdy przedtem nie widziałem.

Dzięki Bogu, nie wyładowywał jej na mnie, tylko na Xenlee:

- Najwyżsi doradcy, oto do czego prowadzi upór ludzi, którzy nie są w stanie przystosować się do nowej epoki, do postępu naukowego i technicznego. Sapientes pokonali olbrzymie trudności w okresie pierwszych tysiącleci naszej historii i jeśli udało im się przetrwać, to tylko dzięki giętkości ich umysłów. Potrafili, w zależności od warunków, wybrać najlepsze rozwiązanie! Ta walka, a powinienem powiedzieć, to zbiorowe samobójstwo, stanowi najlepszy przykład przestarzałych poglądów niektórych naszych doradców. Mam oczywiście na myśli Xenlee! Admirał Blossow na próżno usiłował go przekonać, ukazując braki naszej floty, o konieczności skorzystania z pomocy technicznej Superiores. Xenlee nie poszedł za głosem rozsądku. I oto mamy rezultat: pięć tysięcy okrętów zostało zniszczonych, tysiące astronautów poniosło śmierć. A wszystko to wynika ze starczego uporu...

Mówił tak przez godzinę. Gdy z powrotem usiadł na swoje miejsce, Xenlee był usunięty z urzędu i aresztowany. Ja zaś zostałem nie tylko uniewinniony, ale jeszcze gratulowano mi odwagi, mego ślepego posłuszeństwa... Powierzono mi również zadanie znalezienia wyjścia z tej sytuacji.

Uważałem, iż należy bezzwłocznie rozpocząć realizację planu Tlekara. Tym gorzej dla tych, którzy sądzą, że Sapientes stracą w ten sposób dominującą pozycję panów Galaktyki. Wszyscy doradcy zgodzili się ze mną.

Przeszedłem wobec tego do akcji. Technicy L2 wykorzystując baterię strumieniową przybyli na Ziemię i natychmiast rozpoczęto produkcję stargrawów.

Mutanci, nie mając złudzeń co do zakończenia bitwy, nie tracili czasu, pięćset statków było już przygotowanych. Ziemscy astronauta przewiezieni na Szinear rozpoczęli szkolenie pod kierunkiem Saury.

Był już najwyższy czas. Flota Minelogów zbliżała się do Układu Słonecznego zdecydowana ukarać nas za zuchwałość.

Produkcja pocisków neutronowych i dezintegratorów masy szła pełną parą.

Największym problemem dla Saury i dla mnie było przygotowanie nowych załóg. Z całej floty, którą poprowadziłem do walki, tylko pięćdziesiąt statków wróciło z powrotem na Ziemię. Nie mieliśmy więc już prawie wcale doświadczonych astronautów.

Na szczęście stargrawy produkowane przez L2 były w dużym stopniu zautomatyzowane i wystarczyło dziesięciu ludzi, by nimi kierować. O wiele mniej niż przy pilotowaniu naszych jednostek.

Ambicją L2 było zbudowanie statku całkowicie zautomatyzowanego, zdalnie sterowanego. Istniały takie prototypy i niewiele już brakowało do końcowego opracowania modelu. Ale w tej walce potrzebni jeszcze będą ludzie.

Ponieważ obsługa stargrawów była dosyć prosta, piloci uczyli się szybko i problem został właściwie rozwiązany.

Minelogowie byli coraz bliżej. Popelnili jednak poważny błąd, być może nie doceniając ludzkich możliwości. Zamiast od razu wykorzystać swą przewagę uderzając na Ziemię, zgodnie z ustalonym przedtem planem zajęli najpierw skolonizowane planety i nasze odległe bazy. Szinear również nie został zaatakowany. Zdaje się, że uważali tę planetę za pozbawioną większego znaczenia.

Całkowicie lekceważąc naszą ewentualną kontrofensywę posuwali się powoli naprzód, metodycznie plądrując bogate w minerały planety i napychając się kryształami na zimnych gwiazdach, gdzie warunki odpowiadały ich przemianom metabolicznym. Nie przejmowali się nami zupełnie.

Miałem pełne ręce roboty i prawie wcale nie widywałem Saury. Raz czy dwa, dzięki baterii strumieniowej pokazałem się na Szinearze, by dokonać inspekcji statków i uzgodnić kilka spraw z Tlekarzem. Wykorzystując te krótkie wizyty spędziłem z nią kilka godzin.

Było tu o wiele przyjemniej niż na Ziemi. Na α Cygni nie musieliśmy się ukrywać. Wszyscy L2 witali nas przyjaźnie, znali nasze plany i aprobowali je.

W Galaxii cały czas musieliśmy zachowywać dyskrecję. Wielu mieszkańców Ziemi potępiało metyzację. Tylko Saruka była wyjątkiem i popierając moje plany czyniła, co było w jej mocy, by nam pomóc.

Wszystko powoli jednak zmieniało się dla nas na lepsze. Hagupian, podobnie jak Tlekar, zgadzał się na nasz związek.

Przypominam sobie ostatnie chwile, jakie spędziłem z Saurą przed bitwą z Minelogami. Pogoda była wspaniała i raz jeszcze planowaliśmy naszą przyszłość. Otaczająca przyroda tchnęła spokojem i radością, każąc zapomnieć o wojnie, która toczyła się w odległości kilku parseków. Żałuję, że nie wykorzystałem lepiej tych kilku godzin! Ale nie był to moment na łażenie po słońcu i kapanie się w chłodnej wodzie morza Szinearu. Obowiązki wzywały mnie na Ziemię i musiałem skracać wizytę.

Zbiorniki wypelnione były po brzegi seryjnie produkowanymi stargrawami. Tylko na Ziemi było ich teraz dziesięć tysięcy.

Wreszcie otrzymałem długo oczekiwany rozkaz zaatakowania Minelogów. Xartroff towarzyszył mi na „Sol”, wspaniałym pojeździe będącym produktem nowej technologii.

Koncentracja okrętów nastąpiła w pół drogi między Ziemią a Szinearem. Saura dołączyła do mojej floty na czele stargrawów z planety mutantów.

Gdy grupy zostały uformowane w szuku bojowym, sprawiła mi niespodziankę pojawiając się na pokładzie. Jej zadowolona mina kazała sądzić, że przynosi dobre wiadomości.

- Zgadnij, co dał mi Tlekar? - spytała z uśmiechem.
- Skąd mogę wiedzieć... Jakieś odznaczenie?
- Lepiej: nową broń!
- Wspaniale! Co to jest?
- Przyrząd, który czyni niewidocznymi moje stargrawy... Wszystkie fale zostają przechwycone i odeślane dalej, tak że nie mają odbicia! I co ty na to?

- Nadzwyczajne! Mam pomysł, dzięki temu będę mógł zrobić niezły kawał tym Minelogom!

Zwołałem na pokład mojej jednostki wszystkich oficerów sztabowych. Rozłożyłem przed nimi sferyczne mapy i wyjaśniłem taktykę, jaką chciałem zastosować.

- Trzy z sześciu grup bojowych zajmą pozycje centralne. Na skrzydłach będą dwie grupy. Gdy nieprzyjaciel zorientuje się w tym rozstawieniu, cały wysiłek skieruje w stronę centrum i będzie usiłował nas oskrzydląć. Wówczas do ataku wkroczy szósta grupa. Przeleci nad nami, niewidoczna, dotrze na tyły Minelogów i otworzy ogień. W ten sposób większość sił przeciwnika znajdzie się w okrążeniu!

- Bardzo słusznie... - zauważył Xartroff. - A kto będzie dowodził tą grupą?
- Herman.
- Mam nadzieję, że stargrawy mogą używać broni również wówczas, gdy są niewidoczne - odezwał się ten ostatni.

- Oczywiście - odpowiedziała Saura. - Statki są wówczas jedynie trochę wolniejsze, gdyż konwertor

promieni pochłania większą część energii, by zakrzywić fale. Działa on wykorzystując sztuczną grawitację. Wiadomo, że gwiazda zmienia kierunek promieni świetlnych, które na nią padają. To urządzenie funkcjonuje w ten sam sposób. Wytwarzając silne pole grawitacyjne przechwytyje promieniowanie i nadaje mu następnie początkowy kierunek.

– Myśle, że wszystko jasne. Saura pozostanie na pokładzie „Sol”, a Herman przejmie dowództwo statków Szinearu.

– Co takiego?! – oburzyła się Saura. – Jestem jedynym L2, który bierze czynny udział w bitwie i mam się chować na tyłach? Te stargrawy są pod moimi rozkazami i pod nimi zostaną!

– Sauro, musisz być rozsądna! Ta operacja jest bardzo niebezpieczna, będziecie cały czas w zasięgu ognia Minelogów. Jeśli odkryją kierunek ataku, trzeba będzie manewrować i zmienić pozycje. Sądze, że nie jest to zadanie dla kobiety, nawet bardzo odważnej. Trzeba powierzyć to stanowisko jednemu z ziemskich dowódców.

– Admirale Blossow – przerwała Saura ze złością – nie chcę podważać pańskiego autorytetu dowódcy całej floty. Proszę jednak przyjąć do wiadomości, że ja również jestem admirałem. Wszystkie stargrawy zaopatrzone w generator niewidzialności zawdzięczacie mnie i ich dowództwo powinno spoczywać w rękach admirała L2! Moi bracia będą urażeni, jeśli postąpi pan inaczej...

– Jeżeli stawia pani sprawę w ten sposób, admirałe, muszę się zgodzić. Powierzam pani to zadanie! Panowie, proszę wrócić na swoje stanowiska. Pani również, admirałe Saura.

Nie brałem tego wszystkiego zbyt poważnie, ale argumenty Saury były przekonujące. Godność L2 wymagała, by Saura wzięła udział w walce i zostało jej powierzono odpowiedzialne zadanie. Mutanci, gdy tylko chodziło o agorafobię odznaczali się podejrzliwością i było to zupełnie naturalne.

Broń, maszyny, urządzenia były tworem L2 i mogłem tylko chylić głowę przed tym żądaniem. Miałem nadzieję, że Saura nie obraziła się. Wolałbym wprawdzie powierzyć jej zadanie, które nie byłoby tak niebezpieczne...

Kwadrans później, gdy powróciła na swój statek, nawiązała ze mną łączność:

– Wiesz, kochanie, masz trochę racji... Tlekar jednak stanowczo tego żądał. Dowódca ziemski miałby o wiele więcej doświadczenia ode mnie, ale nasza opinia publiczna...

– Tak, nie zavracaj już sobie tym głowy. Wszystko rozumiem. Bądź ostrożna, to wszystko, o co cię proszę. Konwertor promieni to z pewnością wspaniałe urządzenie, ale nie zostało jeszcze wypróbowane podczas walki. Więc nie postępuj zbyt ryzykownie, nie zbliżaj się do nich zanadto, bo mogą cię zlokali-zować i poczestować wiązką ultradźwięków.

– Obiecuję! Gdybyś wiedział, jak bardzo chciałabym, żeby ta głupia wojna już się skończyła i żebyśmy mogli nareszcie być razem!

Wyłączyłem się po tych słowach, gdyż z pierwszej linii meldowano o nawiązaniu kontaktu z nieprzyjacielskim patrolem.

Jeszcze nic poważnego, tylko kilka jednostek wysłanych na zwiady. Był to jednak pierwszy zwiastun decydującej bitwy, od której zależała przyszłość Sapientes i Superiores.

Goudard, dowódca straży przedniej meldował:

– Admirale, te przekłete ultradźwięki znów powodują straty. Dużo mniejsze jednak niż poprzednio. A tym razem możemy im odpowiedzieć. Dezintegratory masy są wspaniałe, obracają w proch nieprzyjacielskie okręty. To nie do wiary! Można by powiedzieć, że rozpryskują się tak, jak niektóre diamenty z Transvaalu. Najczęściej nie są w stanie skoncentrować ultradźwięków na celu, a ponieważ kadłuby i wszystkie urządzenia są dużo bardziej wytrzymałe, nasze straty są niewielkie.

– To dobrze, Goudard! Niech pan jeszcze nie strzela pociskami neutronowymi, trzeba je zachować na później, kiedy Minelogowie skoncentrują swoje wysiłki. Niech pan działa zgodnie z planem.

– Tak jest, admirałe, alam!

Wszystko działo się tak, jak przewidywałem. Stargrawy znajdowały się na pozycjach bojowych w okolicy gwiazdy Villarsa, większość zgrupowana centralnie i dwie grupy na skrzydłach. Saura, wraz ze swymi niewidzialnymi stargrawami, unosiła się w przestrzeni ponad moim okrętem oczekując rozkazu ataku.



Marek Zalejski

Nieprzyjacieli, przeprowadziwszy rozpoznanie mego ugrupowania ruszył, jak przewidywałem, na prawe i lewe skrzydło, usiłując mnie otoczyć. Zaatakowałem wówczas większością moich sił. Minelogowie ścigneli posiłki i próbowali zatrzymać stargrawy niedaleko Villarsa. Przerzucając okręty na oba skrzydła, które parły do przodu, zdolali nas zatrzymać. Oczywiście nie uczyniłem nic, by im w tym przeszkodzić.

Przestrzeń w promieniu trzech parseków wokół Villarsa zamieniła się w piekło. Ultradźwięki padały na moje linie nieprzerwanymi wiązkami, przecinając próżnię świetlistą smugą jonów. Ziemską flotą dzielnie wytrzymywała atak, astronauta mimo małego doświadczenia zręcznie dezintegrowali kadłuby jednostek przeciwnika. Zostawały po nich tylko drobne, prawie niezauważalne obłoki pyłu.

W końcu nadszedł decydujący moment i dałem rozkaz, by Saura ruszyła na tyły Minelogów. Nasza sytuacja nie była dobra. Na przodzie wszystko szło nieźle, ale oba skrzydła narażone były na częste ataki wroga. Mało brakowało, a zostałem otoczony. Bilans strat był jednak mimo wszystko korzystny. Dezintegratory masy nie mogły być lepszą bronią, każdy trafiony statek był zniszczony lub wyłączony z walki. Ultradźwięki nieprzyjaciela musiały być najpierw wystrzelone szerokim wachlarzem, potem dopiero koncentrowane w wiązkę mogącą osiągnąć cel. Dawało to czas na ucieczkę.

Wreszcie grupa bojowa, którą dowodziła Saura rozpoczęła atak. Większość sił nieprzyjaciela, wzięta w dwa ognie, uległa totalnej dezintegracji. Moi astronauta zostali pomszczeni! Tylko kilka okrętów zdołało uciec w stronę głównej bazy Minelogów. Wszystkie stargrawy ruszyły za nimi w pościg.

Niestety! Podczas gdy uszczęśliwiony organizowałem pogoń i ustawiałem w szyku moje jednostki, otrzymałem krótki meldunek.

- Admirale Blossow, stargraw „Szinear” z szóstego eszelonu nie odpowiada. Został uznany za zniszczony.

Zaniemówiłem na chwilę. Saura, moja ukochana nie żyje! Jak to się mogło stać?!

Powierzyłem dowództwo Xartroffowi i rozpocząłem poszukiwania. Przeczesałem cały obszar bitwy, ale musiałem pogodzić się z okrutnym faktem: „Szinear” został zniszczony...

Koniec tej walki tytanów, zagłada Minelogów i ich planety zamieniła się dla mnie w koszmarny sen. Działalem automatycznie przytłoczony ogromem nieszczęścia. Jakież posiłki sprowadzone w pośpiechu przez Minelogów usiłowały nas zatrzymać. Skończyliśmy z nimi w dwie godziny. Żaden nie ocalał.

Planeta została zbombardowana pociskami neutronowymi, potem wyładowała na niej oddziały szturmowców. Wszystkie urządzenia tych przeklętych istot dostały się w nasze ręce nienaruszone. Uwolniłiśmy też kilku więźniów.

Przez wiele następnych dni szturmowcy ścigali Minelogów ukrywających się jeszcze na niektórych planetach. Potem w tym sektorze Galaktyki znów zapanował spokój.

Kiedy powróciłem na Ziemię, Rada Najwyższa obdarzyła mnie wszystkimi możliwymi honorami. Przez wiele dni trwał mój triumfalny pochód z miasta do miasta.

Ale życie bez Saury niewiele mnie obchodziło.

Nie mogłem widywać się z L2, zbyt wiele wspomnień łączyło mnie z nimi. Zresztą stosunki między Sapientes a Superiores rozluźniały się coraz bardziej. Nie mówiliśmy tym samym językiem. Każdy gatunek żył po swojemu, nie interesując się drugim.

Opisałem historię tej wojny galaktycznej, by uczcić pamięć Saury. Teraz odjadę daleko, najdalej jak tylko można w przestrzeń kosmiczną. Tu zostawię moje wspomnienia...

Koniec